

NOVAE RES

OLGA WARYKOWSKA

EINE
KLEINE
TRUP

A surreal still life composition. In the background, a human skeleton is visible, with a skull that has been opened and sutured. Various surgical instruments, including a scalpel, a saw, and forceps, are scattered around. In the foreground, a bright orange plate holds two dumplings, one of which is cut open to reveal its filling. Several bones are placed on the plate, including a long femur and a smaller bone. A small green herb garnish is also present on the plate. The background is dark, making the elements stand out.

OLGA WARYKOWSKA

**EINE
KLEINE
TRUP**



NOVAE RES

Amadeusz Wagner był okropnie znudzony. Jechał już osiem godzin pociągiem z Wrocławia do Suwałk i właśnie przed chwilą skończyły mu się wszystkie przekąski, które zapakował na drogę. Nie miał ochoty niczego czytać. Nie miał ochoty słuchać żadnej muzyki. Jego biedne serce jeszcze nie wyleczyło się po okropnej zdradzie miłosnej, która niczym cierń nadal raniła jego duszę. Brzuch mu burczał, domagając się jedzenia. Niestety wagon Wars nie był przygotowany na Amadeusza i na horde głodnych wycieczek szkolnych, które napotkał. Wagner był głodny. Przerażliwie głodny.

Ponieważ nie ma bezpośredniego dojazdu komunikacją państwową z Wrocławia do Suwałk, zmuszony był jechać najkrótszą trasą z jedną przesiadką w Warszawie. Pierwszy pociąg, jadący do stolicy, był czysty i miał w miarę kulturalnych pasażerów. Przez pierwsze sześć godzin Amadeusz dzielił przedział z małżeństwem, które większość drogi siedziało pochylone nad krzyżówkami, oraz z dwiema kobietami, których wzrok nie opuszczał ekranów komórek. Tak – pierwsze sześć godzin podróży z jedenastu, które go czekały, minęło mu stosunkowo spokojnie. Dzięki temu miał okazję popaść w melancholię nad utraconą miłością, nad pierwszą sprawą detektywistyczną, jaką rozwiązał, nad życiem, nad muzyką oraz nad wszystkim, co wymagało myślenia i przemyślenia. Wydawało mu się, że sześć godzin wystarczy, by dumać nad swoim smutnym życiem i nad tym, co oznacza przymusowy darmowy urlop względem jego dalszej pracy we Wrocławiu.

Swoją pierwszą pracę – jako drugi flecista w orkiestrze Filharmonii Wrocławskiej – otrzymał kompletnym przypadkiem. Pojechał do Wrocławia na Festiwal Babek i Babeczek (czyli wyrobów wyłącznie mącznych, polanych lukrem oraz posypanych owocami z bitą śmietaną) i wracając z warsztatu robienia lukru z lukru, zobaczył ogłoszenie o przesłuchaniach do orkiestry. Będąc w cudownym humorze po zjedzeniu około czterdziestu babeczek, postanowił pójść z głupia frant na przesłuchanie.

Do tej pory nie wiedział, co mu strzeliło do głowy. Może czuwała nad nim jakaś wyższa siła, która nakazała mu zagrać melodię zasłyszaną w pizzerii, dzięki czemu kompletnym przypadkiem dostał stanowisko drugiego flecisty i przez pół roku cieszył się, a tak naprawdę męczył grą z ludźmi, którzy kazali nazywać siebie artystami, podczas gdy byli chodzącą listą grzechów i zbrodni. Wściubił nos tam, gdzie nie powinien, uniewinnił koleżankę, więc za karę został zawieszony w prawach pracownika i wysłany na bezterminowy urlop. Skorzystał więc z okazji i postanowił wrócić do domu, do mamusi – by zastanowić się nad swoim życiem i nad tym, jakie kroki ma dalej poczynić. Zwykle to żołądek dyktował, co Wagner ma robić i gdzie iść, ale przez ostatnie kilka dni, kiedy flecista zajmował się rozwiązywaniem zagadki,

zaczął rządzić jego mózg i Amadeusz czuł się przez to fantastycznie. Teraz, kiedy zagadka została już rozwiązana... nudził się. Zajadał więc smutki przypadkowymi paluszkami z sezamem i makiem oraz kamyczkami – słodyczami jego dzieciństwa.

Ponieważ dobra passa nie może trwać wiecznie, drugi pociąg, który miał go zawieźć do Suwałk, był kompletnie przepełniony dziećmi jadącymi na wycieczki oraz prostymi ludźmi ze wsi, którzy nie do końca rozumieli, co to znaczy kulturalnie dzielić pociąg ze swoimi rodakami. Jego przedziałem zawładnęła czteroosobowa rodzina spod Sokółki (o czym zdążyli go już radośnie poinformować na samym początku) z ich dwiema kurami, które pod Małkinią wypuścili z klatek, ponieważ, jak twierdzili, „kury potrzebowały ruchu”.

Myślał, że wypocznie w Warsie nad talerzem pierogów oraz zupą ogórkową, lecz niestety ku jego ubolewaniu wagon był wypełniony uczniami, którzy po pierwsze wykupili wszystkie słodycze, a po drugie całkowicie zajęli uwagę sprzedawcy, tak że Wagner nie mógł się dopchać i doprosić o jedzenie. Wrócił więc zrezygnowany do wagonu i na swoim miejscu pod oknem zobaczył dwie kury, które postanowiły właśnie tam urządzić swoje legowisko. Próbował je stamtąd przepłoszyć, ale głowa rodziny spod Sokółki kategorycznie zabronił mu podchodzenia do kur, żeby nie dostały traumy. A zestresowane kury to kury bez jajek. Tak przynajmniej mu wytłumaczono.

Siedział więc na smutnym miejscu przy korytarzu, bez widoku na świat i bez możliwości wsłuchania się we własne myśli. Znudzony, zrezygnowany i zmuszany chwilami do konwersacji z rodziną spod Sokółki, których nazwał po prostu Sokółkami, czuł, jakby zakończył się pewien etap w jego życiu. Musiał zająć czymś umysł, postanowił więc wydedukować jak najwięcej o współtowarzyszach podróży.

Pan Sokółka miał na oko czterdzieści pięć lat i był wielkim fanem jedzenia i piwa. Widać to było po jego dużym, wystającym brzuchu oraz po plamach na białym podkoszulku. Przeczucie i doświadczenie podpowiadały Amadeuszowi, że były to plamy po kiełbasie, keczupie i majonezie. Do tego twarz zdobiły mu duże brązowe wąsy, podobne do wąsów Lecha Wałęsy, na których miał pełno okruszków jedzenia, a te od czasu do czasu zlizywał językiem.

Pani Sokółka była mniej więcej rozmiarów Amadeusza i tak jak on nie mieściła się na jednym siedzeniu, przez co Amadeusz siedział wciśnięty w kąt, starając się nie dotykać ciała Pani Sokółki. Nie chciał się narazić na gniew Pana Sokółki, który mógł różnie zareagować na przypadkowe zetknięcie się ich ciał na siedzeniach. Była to kobieta, dla której jedzenie było najważniejsze i nic nie sprawiało jej większej radości niż pełne brzuchy jej rodziny.

Mała Sokółka i Mały Sokółka osiągnęli już wymiary swoich rodziców i właśnie wcinali pęta kiełbasy na deser, tuż po zjedzeniu dwóch porcji kurczaka, które Pani Sokółka zapakowała w sreberko. Amadeusz sam chętnie zjadłby kurczaka, ale odczuwałby pewien psychiczny dyskomfort, w gryzając się w mięso, bo miał koło siebie na siedzeniu dwie kury, które wpatrywały się w niego jednocześnie z ciekawością i z naganą. A przynajmniej tak mu się wydawało. Być może Małe Sokółki wcinały właśnie siostry lub ciotki dwóch zwierzaków, ale nic sobie z tego nie

robiły.

Pani Sokółka próbowała wcisnąć Amadeuszowi kanapkę ze smalcem i ogórkami kiszonymi, ale nie dawał się przekonać pomimo desperacji, jaką okazywał jego żołądek. Wiedział, że jak już przyjedzie do domu, to mamusia da mu jeść. Musiał tylko być cierpliwy i nie myśleć o jedzeniu. Nie myśleć.

Jednakże trudno jest nie myśleć o jedzeniu, kiedy w wagonie pachnie prawdziwym polskim jadłem: ogórkami kiszonymi, kiełbasą, pieczonym kurczakiem oraz rozmarynem, w którym widocznie Pani Sokółka zamarynowała mięso. Próbował myśleć o przysmakach, które ma dla niego mamusia, ale to nie pomagało. Potem próbował zająć czymś swoją głowę, ale nie miał żadnych tajemnic do rozwiązania oprócz tej dotyczącej zawartości torby Pani Sokółki.

– Niech pan taki nie będzie, bierz pan. Żona dobrze gotuje, a ja aż pod oknem słyszę, jak panu кишки marsza grają.

Amadeusz się zaczerwienił. Myślał, że panuje nad swoim żołądkiem. Pan Sokółka zliział z wąsów resztki majonezu i beknął zadowolony.

– Tak, bierz pan. – Pani Sokółka wcisnęła mu do ręki kanapkę ze smalcem i z ogórkami kiszonymi. Poczł, jak cieknie mu ślinka i jak świat zaczyna wirować. Jeden kęs i będzie po wszystkim. Jeden kęs i znajdzie się w raju. Jeden kęs i będzie szczęśliwy. Jeden kęs... Ogórki ewidentnie były kiszone na czosnku i na papryczce chili – tak jak robiła to jego mamusia. Papryczka była ledwo wyczuwalna w smaku, ale nadawała ogórkom wspaniałego aromatu, a przy okazji leczyła przeziębienia i infekcje. Za każdym razem, gdy był chory, mamusia dawała mu zupy ogórkowej z chili oraz same pokrojone ogórki do chrupania. Przechodziło mu wtedy wszystko – ból głowy, ból gardła, kaszel, chrypka... Ogórki w chili były lekiem na wszystko. Zateśnił za mamusią i poczuł, jak zaczynają mu łzawić oczy.

– Chyba dodałam za dużo chili. Przepraszam pana, pierwszy raz robię ogórki z nowego przepisu. – Pani Sokółka wpatrywała się uważnie w Amadeusza. Oprócz jej wzroku czuł na sobie spojrzenia całej rodziny oraz dwóch kur.

– Nie... po prostu moja mamusia robi takie same ogórki. Na chili. – Ugryzł kęs i prawie westchnął z rozkoszy. Kanapka była idealna. Gruby kawał chleba, na pewno nie kupny, tylko ręcznie wyrabiany; porządnie doprawiony, tłusty smalec oraz te ogórki...

– A... tęskno się zrobiło. – Pan Sokółka podkreślił zadowolony wąsa. – Widzisz, żono? Nie ma lepszego komplementu dla kucharki.

– Wiem, wiem. – Pani Sokółka napuszyła się jak paw. – Znalazłam ten przepis na stronie z lokalnym jedzeniem. Miał aż pięć gwiazdek! To jak miałam nie wypróbować? – Wyciągnęła z torby takie same kanapki i podała je mężowi, a następnie dzieciom. – Za tydzień uda mi się spotkać oko w oko z jego twórcą. Nie mogę się doczekać!

– Ja też! Słyszał pan o festiwalu Kartacze i Sękacze? – Pan Sokółka pożarł kanapkę dwoma ruchami szczęki.

– Tak – potwierdził Amadeusz, biorąc drugi kęs. Miał wrażenie, jakby się

rozpływał. Świeży, chrupiący chleb, który pachniał jeszcze piekarnią... Chwila... – Festiwal Kartacze i Sękacze?

– To słyszał pan czy nie słyszał? – Pan Sokółka już zdążył zjeść połowę drugiej kanapki, którą troskliwie wręczyła mu żona.

– Słyszałem... – Mamusia mówiła mu coś przez telefon. – Pierwsza edycja festiwalu kulturalnego w Suwałkach, prawda?

– Tak! Całe Podlasie jest podekscytowane. – Pani Sokółka zaczęła szczebiotać i wyciągnęła z torby kielbasę. Następnie wyjęła majonez, odkręciła wieczko i zanurzyła pęto w słoiku. Amadeusz myślał, że zaraz zemdleje z zachwytu. – Będziemy gotować, jeść, pić i jeszcze raz jeść! Wszystkie potrawy regionalne we wszystkich wariantach... i to już za tydzień!

– Przyjedziemy tam całą rodziną – oznajmił Pan Sokółka.

– Tak! Weźmiemy ciotkę i wuja, babciów, dziadków i kuzynków. – Pani Sokółka odgryzła kęs kielbasy i oblizwała palce. Wagner automatycznie wyleczył się ze złamanego serca, patrząc jak zahipnotyzowany na jej ręce. Sam w międzyczasie odgryzł kolejny kawałek kanapki i z trudem powstrzymał się od głośnego oznajmienia wszem wobec zachwytu nad tym tworem człowieczym.

– Będzie pan tam? – Pierścionek Pani Sokółki ubrudził się majonezem, więc zdjęła go z palca, oblizwała, po czym położyła na stoliku obok okna, tuż przy słodko chrapiących kurach.

– Będę – powiedział. – Mieszkam niedaleko, a jestem pewien, że mamusia będzie chciała koniecznie tam pojechać – dodał zahipnotyzowany. W tym momencie był w stanie powiedzieć wszystko, przyrzec wszystko, byle tylko zatrzymać przed oczami widok Pani Sokółki jedzącej kielbasę.

– To się spotkamy! Kiszki najlepiej je się w gromadzie. Rozumie pan? Bo wtedy nie grają marsza. – Pan Sokółka roześmiał się ze swojego żartu. Po chwili zarechotały jego dzieci. Pani Sokółka była zbyt zajęta penetrowaniem zawartości słoika, żeby zauważyć cokolwiek, co się działo dookoła. Amadeusz ją rozumiał. Oj, rozumiał ją bardzo dobrze. – Daj mi pan swój numer telefonu, to się dzwoniemy.

– Dobrze. – Wymienił się kontaktem i zrobił trzeci kęs tej fenomenalnej, wspaniałej, wielkiej, cudownej kanapki, o której będzie śnił i nocami, i dniami. I która nie nasyci go tak, jak powinna, ponieważ robi mu ochotę na kolejną. I potem jeszcze kolejną.

Reszta podróży minęła mu całkiem przyjemnie. Pani Sokółka, zadowolona, że odnalazła kolejnego amatora jedzenia, dosłownie zasypała go potrawami oraz kanapkami, które ze sobą zabrała. Jak się okazało, Państwo spod Sokółki wracali z Warszawy, gdzie pojechali na zakupy, a przy okazji odwiedzili kuzynkę Pani Sokółki.

– Ona jest nie całkiem zdrowa na umyśle – przyznała się Amadeuszowi. – Nic tylko widzi same problemy, nigdy się nie uśmiecha, podskakuje na każdy dziwny dźwięk... Chciałbyś ją poznać? – Pół godziny wcześniej wszyscy przeszli na ty, kiedy to Pan Sokółka wyciągnął nalewkę domowej roboty i podzielił się nią z flecistą.

– Nie... ja... – Wagner przypomniał sobie, że ma złamane serce i że musi się na razie skupić na sobie, odnaleźć siebie w całym tym zgiełku. Nie miał czasu na kolejne złamane serce, bo ile razy można łamać coś, co już kiedyś zostało nadkruszone?

– Dlaczego nie? Myślę, że będziecie idealnie do siebie pasować. Ona jest chuda, wręcz anorektyczka, ale to wszystko przez te nerwy. Jest artystką – powiedziała Pani Sokółka z dumą i podała Amadeuszowi kabanosa.

– Tak? Co robi? – Kabanos był suchy i świeży, ewidentnie wędzony wraz z rybami, bo Wagner czuł delikatny zapach morza. Tak jak lubił.

– Gra na jakimś instrumencie. A może na kilku. Ja tam nigdy nie wiem. W każdym razie gra. – Amadeuszowi zapaliła się czerwona lampka. Żadnych muzyków! Żadnych kobiet artystek! Postanowił poszukać jakiejś normalnej kobiety, która uwielbia jedzenie i która będzie mu dbała o dom. Żadnego fiku-miku i artystycznej duszy. Artystki łamią serca.

– Nie, dziękuję.

– Oj, chłopcze, co ty będziesz wybrzydzał. Przywieziemy ją na festiwal, to się poznać i będzie cacy. – Pan Sokółka właśnie kończył pić naleweczkę, co wprawilo go w fenomenalny nastrój.

– Dokładnie, będzie cacy. – Mały Sokółka wreszcie zabrał głos. Był w trakcie mutacji, bo piszczał, jakby ktoś go dusił. Amadeusz prawie się zakrztusił, wyobrażając sobie Małego Sokółkę czytającego na przykład *Pana Tadeusza*.

– Ale kiedy ja...

– Ale niech nie marudzi, bo starsi wiedzą lepiej, co nie? – Pan Sokółka beknął donośnie, rozśmieszając swoje dzieci. – Mnie i moją różową spiknęli rodzice. Od tego przecież są, nie? Znają lepiej swoje dzieci.

– Tak, tak! Dla mnie to wszystko jest naturalne. – Pani Sokółka pokiwała głową, przekonana o świętości swoich rodziców.

– Ty z Podlasia, więc trza ci kogoś z Podlasia – zdecydował Pan Sokółka, nie pozwalając Amadeuszowi z nim polemizować.

– Ale...

– Żadne ale! Poznasz kuzynkę różowej, a jak nie pyknie, to się znajdzie inną kuzynkę. Władzia chyba jeszcze nie ma chłopca, nie? – zagadnął żonę.

– Władzia? Ona już po drugim ślubie. Ty mnie w ogóle nie słuchasz, jak do ciebie mówię – pożaliła się kobieta. – Dopiero jak wyciągam kielbasę, to się ożywasz.

– Kielbaska dobra jest... – Mrugnął do Amadeusza, czym kompletnie go rozbroił, więc ten w końcu się poddał i powiedział, że chętnie pozna ich kuzynkę z Warszawy. – I piknie. Podlasie musi się trzymać razem, nie dla nas te pannice z zachodu.

– Tylko musimy uważać na przekłete autobusy – rzucił ni stąd, ni zowąd Mały Sokółka.

– Jakie przekłete autobusy? – zaciekawił się Amadeusz.

– Takie tam internetowe baju-baju – machnął ręką Pan Sokółka. – Te, młody, nie przeszkadzaj, jak starsi rozmawiają – pouczył syna. – Więc wracając do kuzynek...

– Gdy w autobusie zobaczysz dziecko i karton, to wydarzy się katastrofa – oznajmił Mały Sokółka.

– Za dużo siedzisz przed tym ekranem, dziecko – westchnęła Pani Sokółka. – To wszystko przez te komputery i komórki. Poprzewracało im się w tych głowach. Masz... – Wyciągnęła ze swojej przepastnej torby kabanosa i siłą wepchnęła go synowi do ust. – Jedz i nie gadaj.

– Tylko mówię, co piszą. – Mały wzruszył ramionami, przeżuwając kawałek mięsa.

– A gdzie piszą? – Brzuch zaburczał Amadeuszowi zaciekawiony.

– Na forach. Ktoś zobaczył dziecko z kartonem w autobusie i złamał nogę. Na innego spadł bagaż. Jeszcze ktoś inny pisał, że...

– Bzdury! – przerwała Pani Sokółka i wepchnęła Młodemu do ust drugiego kabanosa, skutecznie go uciszając.

Reszta podróży minęła bardzo szybko. A kiedy Państwo Sokółkowie i ich dwie kury wysiedli na stacji Sokółka i zostawili Amadeusza w przedziale samego, samego w towarzystwie zapachu jedzenia i potu... nagle zrobiło się cicho. Bardzo cicho, zbyt cicho jak na jego gust. Pozostała godzina przesiadki, myśląc o kobietach oraz o jedzeniu, które przygotowała dla niego mamusia. Nie był już tak bardzo głodny, ale żołądek mu podpowiadał, że z radością jeszcze coś wciśnie.

Kiedy usłyszał komunikat, że zbliżają się do Suwałk, poczuł zapach lasu i zobaczył ten unikalny kolor nieba – wiedział już, że jest w domu. Wiedziało to nie tylko jego serce, ale też dusza. Dusza, która wracała tam, gdzie są jej korzenie. Gdzie są jej przodkowie. Gdzie jest jej... rodzina.

Na peronie w Suwałkach czekała na niego mamusia. Prawie się rozpląkał, gdy zobaczył ją za szybą pociągu. Miała na sobie białą sukienkę w niebieskie kwiaty oraz żółty kapelusz, który ewidentnie odejmował jej lat. Wyglądała jak nastolatka. Nikt, kto zobaczyłby ją z daleka, nie powiedziałby, że ma już dorosłego syna. Patrząc natomiast z bliska, nie można było nie zauważyć między nimi podobieństwa. Zarówno matka, jak i syn mieli taką samą figurę, podobne nosy, ten sam podbródek, te same kości policzkowe, oczy i usta. Do tego mamusia nosiła jeszcze okulary, co jego też czekało w przyszłości. Podobno po tatusiu odziedziczył kręcone brązowe włosy, ale w to nie wierzył, gdyż mamusia także miała kręcone brązowe włosy, których zresztą nie farbowała. Tak przynajmniej mu mówiła. Pomimo że miała... właśnie, ile mamusia miała lat? Bał się jej o to spytać. Pierwszą lekcją życiową, jaką od niej otrzymał, było to, że kobietom nie zadaje się niewygodnych pytań. Więc nie zadawał. Lepiej było żyć w nieświadomości niż ze świadomością, że się kogoś uraziło.

– Duszku, moje ty ukochane dzieciątko, mój chłopczyk cudowny! – Kiedy tylko wysiadł z walizką na peron, mamusia natychmiast podbiegła do niego na swoich krótkich nóżkach i przytuliła go z miłością. Miał wrażenie, że złamie mu zaraz kości, tak mocno go objęła, ale jednocześnie był to przyjemny ból. Ból, za którym tęsknił. – Nareszcie jesteś. – Amadeusz uśmiechnął się radośnie, po czym dostał klapsa w pupę. – A to za to, że nie odwiedzasz mamusi częściej! – Uroniła łzę i westchnęła

radośnie. Mamusia nadal mówiła ze śpiewnym suwalskim akcentem, który u niego, odkąd zamieszkał we Wrocławiu, zanikł. Miał nadzieję, że mamusia mu tego nie wypomni.

– Mamusiu... to jest jedenaście godzin jazdy... – Wagner próbował się wyswobodzić z żelaznych objęć rodzicielki, ale była to z góry przegrana walka. Nikt nigdy nie był w stanie wygrać z mamusią, ponieważ miała bardzo silne ręce. Amadeusz od zawsze domyślał się, że to przez lata wyrabiania pierogów oraz kartaczy.

– Każdy argument jest dobry, byleby tylko nie odwiedzać mamusi! Nosilałam cię, karmiłam, a ty nawet nie raczysz przyjechać!

Dostał kolejnego klapsa w pupę, a zaraz potem całusa w policzek.

– Przecież przyjechałem.

Ludzie zaczęli na nich patrzeć. Musieli wyglądać komicznie – dwa serdelkowate ludziki, jeden w spodniach i jeden w sukience, obejmujący się niczym ludzie, którzy nie widzieli się przez wieki. W tym jeden ludzik bijący drugiego po pupie.

– Właśnie widzę, Duszku. – Mamusia wycalowała go w oba policzki i radośnie się zaśmiała. – Zobaczysz, ile mamusia dla ciebie przygotowała: gołąbki, pierożki, rosółek i kotleciki... – Poczuję, jak ciało mamusi drętwieje. – Duszku... ty tak strasznie schudłeś!

– Nie, mamusiu, wcale nie schudłem.

– Schudłeś, schudłeś. I nie kłóć się ze mną. – Krytycznie objęła wzrokiem jego sylwetkę. – Ale tydzień u mamusi i będzie lepiej. Zaraz nabierzesz trochę ciała... Duszku, wszędzie czuję kości. – Zaczęła go macać.

– To z nerwów, mamusiu. – Próbował się jej wyrwać, ale nieskutecznie.

– I jeszcze to paskudne morderstwo... Nic dziwnego, Duszku, że jesteś sama skóra i kości. – W to akurat wątpił. Spodnie się na nim opinały. Jakiś przechodzień parsknął śmiechem, czego na całe szczęście nie dosłyszała mamusia. Umiała być bardzo nieprzyjemna względem każdego, kto śmiał się z jej syna. – Ja już się tobą zajmę. Chodź, dzieciно. – Wzięła go pod ramię i zaprowadziła do samochodu.

Mamusia od dobrych dwudziestu lat jeździła tym samym białym polonezem o rejestracji BS BOGKH. Jej zamysłem było przekazanie wszystkim kierowcom, że „Bóg cię kocha”, ale niestety nie dało rady zmieścić wszystkich liter na tablicy, więc mamusia musiała być kreatywna. Niestety nie każdy był w stanie odczytać pierwotny zamysł, przez co Amadeusz był w szkole pośmiewiskiem kolegów, którzy wymyślali dla niego różne dziwne przezwiska: „Był on gołonką Kocha” (podziwiał swoich rówieśników za to, że wiedzieli, kim jest Koch), „Boga Kochanek” i „Bobas gruby kocha HIV”.

Amadeusz nie znosił jeździć z mamusią. Może dlatego, że mamusia nie potrafiła jeździć. Zdała prawo jazdy kiedyś, zupełnym przypadkiem, i kompletnie nie przejmowała się znakami drogowymi. Uważała, że Bóg ją chroni i że Bóg zawsze jej daje pierwszeństwo na drogach, więc jeździła tak, jak jej było wygodnie. Znak stopu? To tylko sugestia. Zakaz skrętu w lewo? Tylko Bóg i Biblia tworzą zakazy, a nie byle

jaki człowiek, więc siłą rzeczy należy stosować prawo wyższe niż to na ziemi. Pięćdziesiąt kilometrów na godzinę? Jeśli Bóg chciałby, żeby ludzie jeździli pięćdziesiąt na godzinę, to nie stworzyłby samochodów z prędkościomierzem sięgającym stu dwudziestu kilometrów na godzinę. A poza tym w Biblii nie napisano, że w terenie zabudowanym można jechać maksymalnie pięćdziesiąt, więc można było jechać i sto dwadzieścia. I tak też jeździła mamusia. Klaksonu używała prawie non stop i nigdy się nie podporządkowywała kodeksowi drogowemu. O dziwo nigdy też nie miała wypadku; Amadeusz nie wiedział, w jakim stopniu kobieta zawdzięcza to szczęściu, a w jakim tolerancji i ostrożności kierowców innych pojazdów.

Mamusia wyminęła na zakręcie opła i z piskiem opon przyspieszyła do stu na godzinę. Wagner zaczął się modlić i zrobił się biały ze strachu. Przejechali przez dwie ciągłe linie i w tym momencie auto zaczęło jechać środkiem jezdni. Było już ciemno, a droga nie była oświetlona.

– Mamusiu, proszę, zwolnij. I trzymaj się prawej strony – poprosił ją drżącym głosem.

– Duszku, mamusia czuwa. Drogi robią za wąskie, to muszę jechać środkiem. – Auto zadrżało, kiedy przejechali przez przejazd kolejowy bez zatrzymywania się. – Chyba okulary mi się popsęły, bo coś kiepsko widzę... – Przetarła sobie oczy, a Amadeusz niemal dostał zawału, gdy na zakręcie prawie wpadli na drzewo. – No, trochę lepiej. Tłuszcz z pierogów musiał się dostać na szkła. Tak się czasami dzieje. – Zachichotała jak nastolatka i przyspieszyła, mijając radiowóz. A przynajmniej Amadeuszowi się zdawało, że to radiowóz, bo jechał bez świateł, a było już ciemno.

– To była policja – powiedział Wagner przestraszony, widząc, jak w oddali zapalają się niebieskie światła. Teraz na pewno ich zatrzymają.

– Jaka tam policja! Mięczaki, nie policja. – Nacisnęła pedał gazu i ostro skręciła w prawo na skrzyżowaniu, gdzie nie miała pierwszeństwa. – Nie dogonią nas. Nigdy nie doganiają – powiedziała zadowolona i przecięła zakręt, skręcając w lewo i potem znowu w lewo, i w prawo, wjeżdżając z oszałamiającą prędkością prosto do otwartego garażu.

Amadeusz otworzył drzwiczki samochodu i wysiadł na miękkich nogach. Usłyszał w dali syrenę policyjną, która pomknęła dalej prostą drogą.

– Mówiłam, że to człapaki – prychnęła mamusia i zamknęła wrota. W mieście to byłoby nie do pomyślenia, żeby zostawić garaż i dom otwarte. Tu, w Gawrych Rudzie, niewielkiej wsi liczącej zaledwie trzystu mieszkańców, wszyscy się znali i nawzajem obserwowali, więc nie bali się kradzieży. Bo nie było też co tu kraść.

Tak było od zawsze. Gawrych Ruda leżała w miejscu idealnym na wypoczynek: między jeziorami oraz tuż przy lasach, które wręcz pękały od nadmiaru grzybów i jagód. Niewiele osób jednak decydowało się tu osiedlić poza mieszkańcami Podlasia. Ludzie przyjeżdżali na wakacje, na wypoczynek, po czym odjeżdżali, zostawiając tubylców oraz jeziora, które nie były tak atrakcyjne jesienią i zimą. Był czerwiec, zbliżało się Boże Ciało, więc nie mógł wybrać bardziej idealnego momentu na przyjazd. Słońce, las, jezioro i mamusia... czego chcieć więcej?

Jego rodzinny dom znajdował się sto metrów od lasu i nie był tak do końca

pełnym domem. Był domem podzielonym na cztery części – każda rodzina dostała po idealnym kwadracie. Mamusia miała ogromny ogródek, w którym znajdowały się szklarnia ze świeżymi pomidorami, cukinie, ogórki, fasola, zioła oraz minisad z gruszą, śliwą, jabłonią i czereśnią. W rogu, tuż przy garażu, stał drewniany baraczek, w którym mieszkały ich kury.

Amadeusz już zapomniał, jak to jest żyć na wsi. Było tu cicho i spokojnie, znał wszystkich, którzy tu mieszkali. W mieście było odwrotnie – nikt nikogo nie znał i nie chciał znać, zawsze było głośno, zawsze ktoś gdzieś się śpieszył, ktoś był niemiły, a jak byś upadł, to nikt by się nie zatrzymał, by ci pomóc. Jeden podejrzewał drugiego o wszystko, a drugi podejrzewał trzeciego o nic. Obojętność oraz dystans. To były dwa rzeczowniki, którymi Wagner opisałby Wrocław i jego mieszkańców. Ale nie tylko Wrocław, ale też inne wielkie miasta. To przykre, że im więcej było ludzi, tym mniej chcieli mieć ze sobą wspólnego.

– Nic nie ruszałam od twojego wyjazdu. Bo ja wiedziałam, że wrócisz, Duszku. Przełknęłam te twoje wszystkie fanaberie z wyprowadzką za granicę...

– Na drugi koniec Polski, mamusiu. Nie za granicę.

– Nie kłóć się, dziecko, bo ja wiem lepiej. Czytałam w gazecie, że Wrocław był kiedyś niemiecki, więc nie jest polski. – Ramieniem zamknęła drzwi do garażu. – To teraz możesz się zacząć rozglądać tutaj za pracą.

– Mamusiu, ja nie zostałem zwolniony – postanowił jej wyjaśnić – po prostu jestem na urlopie.

Wagner poprawił plecak, z którym przyjechał, i wszedł do domu. Nic się nie zmieniło. Jego pokój na werandzie, na lewo od wejścia, nadal był taki jak kiedyś. Wersalka przykryta zielonym kocem, regały z licznymi książkami, które jego mamusia kupowała mu w Suwałkach, biurko, przy którym spędzał noce na nauce, oraz jeden plakat z *Gwiezdnych Wojen*, który powiesił na ścianie. Dostał go za darmo w bibliotece, zanim jeszcze ludzie dowiedzieli się, co to są te *Gwiezdne Wojny*. Często zasypiał, patrząc na Hana Solo i wyobrażając sobie, co by zrobił, gdyby miał Sokoła Millennium i gdyby mógł podróżować po całej galaktyce. Tyle planet! Tyle potraw i tyle smaków! W swoich marzeniach zawsze był podróżnikiem intergalaktycznym, który zwiedzał wszystkie restauracje świata i pisał o nich recenzje. Bo po co walczyć, skoro można jeść?

– Duszku, nie gadaj głupot. Chodź, zjesz coś, bo pewnie zgłodniałeś.

Żołądek mu zaburczał, przypominając, że Amadeusz rzeczywiście jest głodny i że zdążył już strawić kanapki, którymi poczęstowano go w pociągu.

– Tak, bardzo zgłodniałem. – Rzucił plecak na wersalkę i poszedł korytarzem prosto do kuchni. Po drodze minął z prawej spiżarnię, do której uwielbiał zakradać się nocami, oraz po lewej miniłazienkę, wykonaną z pomocą wujka, kiedy to we wsi zainstalowano kanalizację.

Po przejściu zaledwie dwóch kroków znalazł się w swoim ukochanym pomieszczeniu. W kuchni. Była ona ucieleśnieniem jego marzeń: piec ze starą płytą kuchenną, nad którą grzał się w zimie i przy której czasami spali wraz z mamusią, kiedy temperatura spadała do minus dwudziestu stopni; lodówka sięgająca sufitu,

zawsze pełna przysmaków i jedzenia – nawet wtedy, gdy było u nich krucho z pieniędzmi. W jego domu zawsze pachniało jedzeniem; nad blatem suszyła się wędlina z rumiankiem, a w rogu stał długo dojrzewający ser, który można było odkrawać nożem, kiedy tylko się zgłodniało. Wszystko to atakowało wchodzącego istną feerią smaków, symfonią piękna i rozpusty. Zapachem jego dzieciństwa.

Usiadł przy stoliku pod oknem, na którym leżał już świeżo wypieczony chleb – z chrupiącą skórką, posypany makiem i słonecznikiem, tak jak lubił. W tej chwili był przeszczęśliwy, jak już nie był od dawna, żyjąc poza domem. Mamusia nastawiła wodę na pierogi oraz podpaliła pod garem, w którym, jak podpowiadał mu nos, gotował się rosół.

Za garażem mieli kurnik z prawie trzydziestoma kurami i dzięki temu nie mogli narzekać na brak mięsa. Jedyne co, to zawsze musiał uważać podczas chodzenia, żeby nie nastąpić na trawie na jajko, które zniosła kura, bo akurat spodobało jej się to miejsce. Ich kury były znane w całej wsi ze swoich charakterów, jak to mawiali ludzie: artystycznych, oraz z jajek, które w smaku były na głowę wszystkie dostępne w sklepie. Tak mamusia dorabiała sobie na boku – sprzedając jajka. Wszyscy wiedzieli o temperamencie kur, więc na ich jajka zawsze był popyt.

– Masz, Duszku, kiełbaski, tak na zakąskę. – Położyła przed Amadeuszem kiełbasę grubości jego ramienia i ukroiła mu ogromny kawałek, który ułożyła na talerzu wraz z pajdą chleba. Posmarował ją masłem i położył na niej mięso. Jego żołądek i nos były w siódmym niebie. Dla uczczenia tej wspaniałej chwili posypał jeszcze kanapkę grubymi kryształkami soli. – Mamusia już grzeje rosółek i pierożki.

Wagner był pewien, że za chwilę zaślini się z radości. Mógłby teraz spokojnie umrzeć bez żadnych wyrzutów oraz żalów. Żalów... Przypomniał sobie Martę. Mina mu trochę zrzędała.

– Co się stało, kochanie?

– Mamusiu... – westchnął i opowiedział jej całą historię. Na koniec dodał: – Myślę, że ją kochałem. Bo jeżeli nie, to dlaczego tak boli?

– Kogo? – zapytała mamusia, jakby w ogóle go nie słuchała.

– Martę – jęknął i odłożył kanapkę. – Opowiadałem ci o niej.

– O tej miastowej dziewczuszce? Zapomnij o niej. – Pomieszała drewnianą łyżką w garnku.

– Nie potrafię... A czy ty zapomniałaś kiedyś o tacie? – Amadeusz spojrzał na mamusię boleśnie.

– Duszku... ja... – Zrobiła dziwną minę, po czym podeszła do lodówki i wyciągnęła kaszankę. – Masz, zjedz na zimno. Najlepsza na złamane serce jest zimna kaszanka.

– Dziękuję, mamusiu. – Wziął sobie pęto do jednej ręki, a do drugiej kanapkę z kiełbasą. Był to stary sposób jego mamusi na pocieszenie: jedzenie w każdej z łapek. Jedzenie symultaniczne.

– A wiesz, kto tu dzisiaj był? – zapytała niewinnie, chowając resztki kaszanki do lodówki.

– Nie, kto? – zapytał Wagner między jednym kęsem a drugim.

– Gizelka. – Mamusia podeszła do płyty kuchennej i ponownie zamieszała w garnku. Po domu rozszedł się zapach rosołu. Pełen koperku oraz marchewki... Kubki smakowe Amadeusza fiknęły koziołka z radości, zanim Wagner zorientował się, co powiedziała jego rodzicielka.

– Mamusiu... – zaczął ostrzegawczo.

– Lepiłyśmy pierożki i tak sobie rozmawialiśmy... o pracy... o serialach... i o tobie.

– Prosiłem cię przecież...

Jedzenie stanęło mu gulą w gardle. Gizela Kozłowska była ich sąsiadką i bardzo daleką kuzynką, z którą mamusia swatała go od dzieciństwa. Mamusia twierdziła, że daleką, ale kiedyś przeszedł drzewo genealogiczne po jej stronie i zorientował się, że z Kozłowską dzielą ich tylko dwa pokolenia. Potem za każdym razem, gdy ją widział, robiło mu się niedobrze. Gizeli z kolei swatanie nie przeszkadzało. Pamiętał ją z czasów, jak była mała i jak gonila go naga po ogródku ze świeżo wyrwaną z ziemi pokrzywą. Potem, kiedy już dorośli, Gizela dołączyła do grupy popularnych dzieciaków i zajęła się prześladowaniem tych mniej popularnych – w tym i Amadeusza. Przezywali go, gonili oraz dręczyli przy każdej okazji. Gdy się skarżył mamusi, ta lekceważyła zachowania Gizeli, mówiąc, że tak dziewczyna okazuje mu swoją sympatię. On w to jakoś nie wierzył.

Podstawówka była dla niego piekłem. Na całe szczęście udało mu się dostać do innego, lepszego liceum niż Gizela i trafić na innych ludzi, a nawet znaleźć kolegów. Potem dostał się na studia muzyczne i zrobił magistra z muzykologii oraz fletu w Białymstoku, w czasie gdy Gizela zdążyła wyjść dwa razy za mąż, rozwieść się dwa razy oraz urodzić dwójkę dzieci, każde z innego ojca. Mieszkała teraz z matką dwa kwadraty dalej od ich domu i ewidentnie szukała kandydata numer trzy, który zająłby się nią i jej dwójką dzieci o rudych i blond włosach.

– Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

– Ja nadal nie rozumiem dlaczego. To jest taka gospodarna kobieta. Fakt, nie udało jej się w życiu, bo wybierała złych partnerów, ale każdy ma prawo do błędów. Ty też wybrałaś złą partnerkę – wytknęła mu mamusia.

– Ja i Marta nigdy nie byliśmy razem. – Rosół się zagotował i mamusia wlała go do dużej wazy. – Poza tym Gizela jest moją kuzynką.

– Daleką kuzynką – poprawiła go i postawiła wazę wraz z talerzami na stole.

– Mamusiu, powiedziałem przecież: nie. Ty też nie wyszłaś za Kozłowskiego, z którym cię swatali, tylko wybrałaś tatę. Wagnera.

Mamusia zastygła nad talerzem rosołu.

– Nie mów mi o nim. Byłam młoda i głupia. Więcej błędów nie popełnię i tobie też nie dam. Nie wszystko złoto, co się świeci, Duszku. – Podniosła łyżkę do ust i dodała jeszcze trochę pieprzu. Mamusia nigdy nie chciała mówić o jego ojcu. Wiedział tylko, że wzięli ślub i że nie był z województwa podlaskiego. Dzięki ojcu miał na nazwisko Wagner, a na imię Amadeusz, przez co bardzo dokuczali mu

w szkole. Zresztą dobrze ich rozumiał – on też by się znęcał nad grubawym chłopcem, który nazywa się Amadeusz Wagner, gdy cała klasa była złożona z Kozłowskich, Nowaków, Jankowskich czy Laskowskich.

– Dobrze, mamusiu, ale i tak nie jestem zainteresowany Gizelą.

– Wrócimy do tego. – Mamusia ucięła dyskusję, wstała i wrzuciła do wrzątku pierwszą partię pierogów, które trzymała pod płócienną szmatką. Był to jej stary przepis na to, żeby ciasto się nie zeschło zaraz po ulepieniu.

Z mamusią nie było co dyskutować. Zawsze jej ulegał we wszystkim, we wszystkim oprócz Gizeli. Była to jedyna rzecz, a tak naprawdę osoba, której nie chciał całym sobą i której się sprzeciwiał. Wolał już zostać starym kawalerem i umrzeć w samotności niż spędzić swoje krótkie życie z Gizelą, której nie znosił. Nie podda się. I nawet sześć talerzy rosółu, który zjadł wraz z mamusią, a potem trzydzieści pierogów posypanych smażoną cebulą i skwarkami nie zachwiały go w tym postanowieniu.

Gdy już zjedli, popili i poczuli, że są w miarę pełni, usiedli sobie z kubkami herbaty z mięty przed wejściem, gdzie razem, zainspirowani telewizyjnym serialem *Doktor Queen*, zrobili sobie minitaras, skąd mieli pełen widok na swój ogródek. Dwadzieścia lat temu mamusia posadziła od strony ulicy żywopłot, dzięki czemu teraz byli niewidzialni dla sąsiedzkich oczu z naprzeciwka, z boku i z tyłu. Sąsiadka z lewej pewnej nocy ścięła maminy żywopłot i wdała się z mamusią w kłótnię, która skończyła się interwencją księdza; od tamtej pory był on na wysokości pasa – oficjalnie żeby sąsiadce nie zasłaniać słońca, a tak naprawdę żeby mogła podsłuchiwać i podglądać mamusię bez zastrzeżeń.

– Jest bardzo cicho – powiedział zrelaksowany i najedzony Amadeusz.

– Jakie cicho? Kury się dra, sąsiadka ogląda głośno telewizor, a w oddali jest jakaś impreza. Jest bardzo głośno. – Mamusia chwyciła się za skronie.

– W porównaniu do miasta jest bardzo cicho – powiedział.

– Ty moje biedne, znerwicowane małeństwo... Po co ci to było? Po co ci był ten Wrocław i to jeszcze tak daleko od mamusi? – Amadeusz napił się herbaty, chcąc uniknąć odpowiedzi. Było mu tam w miarę dobrze, może dzięki Marcie. Teraz nie miał tam nikogo.

– Już zapomniałem, jak tu jest cicho. Ciszej niż w mieście – poprawił się, widząc, że mamusia marszczy brwi.

– Ostatnio nie mam ani chwili spokoju – przyznała mamusia. – Najpierw kogut, potem złodziej i jeszcze Kowalczyk cały czas próbuje się wieszać...

– Złodziej? – zainteresował się Amadeusz.

– Kogut Zenek. Naskakiwał kury na każdym rogu. Bałam się, że jest seksoholikiem i że trzeba będzie go egzorcyzmować. Kiedy przerabiałam go na galaretkę, myślałam, że wreszcie będę miała spokój, ale niestety przekazał geny swoim potomkom. I teraz mam dwa koguty seksoholiki. Nie nadążam ze zbieraniem jajek! – poskarżyła się. – A jak nie zbiorę i kury gdzieś je pochowają, to potem znajduję pisklęta, które chowają mi się w kapuście. W zeszłym miesiącu znalazłam

takich dziesięć!

– Ale mamusiu, nie chodziło mi o koguta... Co ze złodziejem?

– Nie mówiłam ci? – zdziwiła się. – Myślałam, że wytłumaczyłam ci co nieco przez telefon.

– Coś wspominałaś o jakiejś dziwnej sprawie – przyznał Amadeusz i wlepil w mamę zainteresowane spojrzenie.

– A więc tak... – Mamusia wzięła głęboki oddech. – Mamy we wsi złodzieja.

Amadeusz przełknął ślinę zaintrygowany.

– Złodzieja?

W Gawrych Rudzie prawie nie było przestępczości. Policję wzywano jedynie do pijaczków oraz letników, którzy wdali się między sobą w kłótnie. Dlatego też nie mieli tu posterunku policji, lecz podlegali bezpośrednio pod rewir suwalski.

– Ostatni raz coś ukradziono za życia mojej prababki. I to przez przypadek, jak się okazało. Dlatego też wszyscy zdziwiliśmy się, kiedy zaczęły ginąć rzeczy – kontynuowała mamusia, patrząc beztrosko w niebo.

– Jakie rzeczy? – Oczy Wagnera zaczęły świecić dziwnym blaskiem.

– Amadeuszu, uspokój się – złajała go. – Nie chodzi o takie rzeczy, jakie sobie wyobrazasz. To nie kosztowności czy pieniądze.

– To co w takim razie ginie?

– I właśnie to jest dziwne, Duszku. – Mamusia wypła łyk herbaty i wyrwała zwiędły kwiat z doniczki stojącej na parapecie. Kiedy Amadeusza nie było, zrobiła na parapecie wystawę pelargonii. – Nowakowa ma wspaniałe pomidory, pamiętasz?

– Tak. – Nikt we wsi nie wiedział, jak udaje jej się je hodować, a były przepyszne. W suwalskim bardzo często pada i nie ma za dużo słońca, ale to nie przeszkadzało jej warzywom, które były jędrne i słodkie. Zupa pomidorowa właśnie z tych pomidorów śniła mu się czasami po nocach. Słodka, a jednocześnie gęsta... pomidory kapiące po podbródku przy każdym kęsie... lepki sok, przypominający sok brzoskwiń...

– Zaczęło się to trzy tygodnie temu. Nowakowa wstała i chciała podlać pomidory, zobaczyć, które można już zerwać, i zauważyła... że pomidorów nie ma!

– Co?

– Prawie wszystkie gałązki zostały oskubane! Prawie dostała zawału! – prychnęła mamusia.

– Wezwała policję? – Brzuch Amadeusza zaburczał. Wagner czuł, że trafił na ślad tajemnicy. Wiedział, że dobrze zrobił, wracając do mamusi.

– Nie, skądże. Kto by przyjechał do skradzionych pomidorów? Ale nie to jest w tym dziwne.

– A co?

– To, że jak Nowakowa się obejrzała, pod ścianą stał kosz pełen zebranych pomidorów!

– Słucham? – Amadeuszowi oczy prawie wyszły z orbit.

– Ktoś w nocy zakradł się do jej ogródka i zerwał wszystkie dojrzałe i na wpół dojrzałe pomidory, z czego połowę zostawił Nowakowej w koszyku. Niewiarygodne,

prawda?

– Ukradł połowę, a połowę zostawił? To dlaczego nie zabrał tyle, ile chciał... i dlaczego resztę pomidorów zostawił na krzaczkach?

– Myślę, że dlatego, że były niedojrzałe. Po co złodziejowi niedojrzałe pomidory? Ale to nie koniec. Kozłowska spod cztery be miała to samo, tylko że złodziej zabrał jej połowę czereśni. Nie zebrał wszystkich z drzewa, bo to fizycznie niemożliwe, ale znacznie je oskubał i część owoców zostawił w koszyku przed domem. Z kolei Laskowska tak straciła połowę hodowanych truskawek. U mnie też był złodziej.

– Był?

– Cztery dni temu wstaję i co widzę? Kosz pełen jajek przed domem. Ktoś musiał zebrać wszystkie jajka, które poznosiły nam kury, część zabrać, a część ładnie wsadzić do koszyka. Nawet nie musiałam szukać po kapustach i innych warzywach, ponieważ tam też zajrzał. I nic więcej nie zabrał.

– Skąd wiesz, że zabrał połowę? – Amadeusz podrapał się po nosie.

– Wiem, ile nasze kury dziennie znoszą jajek. Ewidentnie zostawił mi połowę.

– To jest podejrzane... Kto kradnie, a jednocześnie zostawia?

– Jakiś dobry złodziej. – Mamusia wzruszyła ramionami. – Oszczędził mi dużo pracy, bo miałam już wszystko zebrane i gotowe do sprzedaży. Dlatego też nikt nie wzywa policji. Mamy wrażenie, że to jest taka pokuta tego złodzieja za kradzież.

– Ciekawe... – Amadeusz się zamyślił. Brzuch zaczął mu burczeć.

– Duszku... jesteś głodny? Został jeszcze rosółek, może go zjesz?

– Nie, mamusiu, to tak z ciekawości mi burczy. – Uśmiechnął się do siebie.

– Także widzisz, nie ma tu spokoju. Za dnia koguty szaleją, w nocy złodziej nas okrada, a po południu męczy nas ksiądz.

– Ksiądz Karol? – zdziwił się Amadeusz.

– Duszku... – Mamusia spojrzała na niego z naganą. – Nie pamiętasz, jakie święto wypada za kilka dni?

– Ja... – Od kiedy tylko się wyprowadził, ani razu nie był w kościele. Nie czuł, że tego potrzebuje, a i miał dość spędzania każdej niedzieli na mszy, tak jak zwykł to robić z matką.

– Boże Ciało, Duszku, Boże Ciało. – Mamusia napiła się mięty i westchnęła. – Ksiądz ma wielkie plany... wielkie plany. Procesja będzie szła przez las, jeziora i kolejkę i ma być tak zróżnicowana, jak wędrówka Jezusa na Golgotę. Wszystkiego sam nie robi, więc mu pomagamy. Robimy wianki, skubimy kwiatki, wiążemy wstążeczki i szyjemy stroje dla dzieci...

– Po co?

– Nie mówiłam ci? Myślałam, że ci mówiłam. Twoja dawna nauczycielka przygotowuje chór dziecięcy na ostatnią stację procesji i musimy zrobić im jednakowe stroje.

– Pani Franz? – Mamusia kiwnęła głową.

Pani Małgorzata Franz była powodem, dla którego Amadeusz panicznie bał się kobiet i z żadną się nie umawiał. Jego była nauczycielka polskiego, historii, WOS-

u i muzyki z podstawówki była chodzącym potworem. Mierzyła metr pięćdziesiąt pięć, dlatego też cały czas nosiła buty na bardzo wysokim obcasie, przez co gdy stała, wydawało się, że się chwieje i że lada chwila upadnie. Swoje kompleksy związane ze wzrostem oraz z tym, że była starą panną, rekompensowała paskudnym charakterem. Kiedy jeszcze można było bić dzieci, to uderzała kogo popadnie i czym popadnie: linijką, książką, a raz nawet rzuciła w dziecko doniczką. Amadeuszowi dostało się kilka razy kluczem w czoło, a po jednym z nich została mu nawet blizna na skroni. Tak jak każdy, on też nienawidził pani Franz. Jej wrednych komentarzy, jej agresji, jej kompletnego braku talentu do nauczania. Dzięki niej nienawidził polskiego i nienawidził pisać. Jej małe brązowe oczka, jej farbowane blond włosy oraz usta zacisnięte w wąską kreskę sprawiły, że przez całą podstawówkę moczył się ze strachu w nocy do łóżka. Franca, jak ją nazywały całe pokolenia z Gawrych Rudy, była niezniszczalna i nieodwoływalna. Ile ona musiała mieć lat? Chyba już ponad sześćdziesiąt. Każda klasa, którą uczyła, obiecywała sobie, że nie pośle do niej dzieci, lecz niestety rodziny, których nie było stać na dowozy dziecka do Suwałk, musiały zapisywać pociechy do szkoły w Gawrych Rudzie, do klas Francji. I tak koło nie miało końca.

– To ona jeszcze uczy?

– Tak, ostatnio obchodziła swoje czterdziestolecie pracy w zawodzie. Dostała nawet jakieś medale... Wiem, że jej nie lubiłeś.

– To mało powiedziane – parsknął Amadeusz. Jego dłonie automatycznie zacisnęły się w pięści.

– Ale to dzięki niej grasz teraz na flecie.

Mamusia miała rację. Kiedy miał siedem lat, Franca wybrała go do szkolnego pokazu chóru, miał akompaniować na flecie. To był najgorszy miesiąc w jego życiu, kiedy musiał zostawać po szkole i spędzać codziennie dodatkowe trzy godziny na nauce fletu pod jej czujnym okiem. I codziennie dostawał od niej linijką po głowie, codziennie wyzywała go, pluła na niego i ciągnęła go za uszy. Tak bardzo go zmotywowała poprzez strach, że rzeczywiście nauczył się grać. Po raz pierwszy w swoim życiu zagrał przed dużą publicznością i prezydent Suwałk przyznał mu stypendium muzyczne, dzięki któremu mógł pójść do szkoły muzycznej, która znajdowała się w mieście.

– To ona odkryła u ciebie talent muzyczny na jednych z zajęć. Tak mi przynajmniej wtedy tłumaczyła – westchnęła mamusia. – Pamiętam, jak wracałeś od niej z siniakami, z ranami i cały we łzach. Nie mogłam nic wtedy zrobić, Duszku, bo nie było mnie stać na inną szkołę, a gdybym coś jej powiedziała, toby cię wyrzucili. – Chlipnęła cichutko.

– Nie mam do ciebie żalu, mamusiu – powiedział Amadeusz pocieszająco.

– Dziękuję, Duszku. – Jedna łza pocięła jej po policzku. – Więc w tym roku czeka nas chór dzieci. Pójdziesz ze mną na pochód, prawda?

– Tak, mamusiu. Pójdę. – Amadeusz westchnął i odpłynął myślami do czasów młodości, do dziwnego złodzieja i do Francji, dzięki której powiedzenie „złego licha nie bierze” nabierało sensu.

Następnego dnia Wagnerowie wstali razem z kurami i dwoma kogutami, które rzeczywiście wzięły sobie bardzo poważnie do serca misję przekazaną przez ich tatusia. Jeden przez przypadek skoczył Amadeuszowi na nogę – najwyraźniej pomylił go z kurą. Flecista postanowił omijać okolice garażu szerokim łukiem. Na całe szczęście nie miał nawet czasu się zastanowić, co będzie robił i jak zamierza odpoczywać, ponieważ mamusia od razu zagoniła go do roboty.

– Obiecałam księdzu, że pomożemy mu przy organizacji – oznajmiła Amadeuszowi radośnie, po czym dodała, że wyjadą z samego rana. Wyjaśniła mu, że jego głównym obowiązkiem będzie akompaniowanie chórowi podczas mszy oraz procesji w zastępstwie organisty, który złamał rękę i pojechał do sanatorium.

Mamusia w ciągu dosłownie trzech sekund wyjechała z garażu, robiąc kolejne ślady po oponach na ulicy, i ruszyła z piskiem w stronę kościoła. Nie zamknęła nawet za sobą bramki. Nie bała się, że jej kury gdzieś uciekną – było im tam za dobrze. Jedyne, czego pilnowała, to to, żeby inne kury do nich nie doszły, bo wszystkie ze wsi wydawały się do nich ciągnąć. Albo do wielkiego libido ich dwóch kogutów.

Gawrych Ruda na mapie przypominała igłę. Wioska ciągnęła się wzdłuż drogi, lasu i jezior przez prawie dziesięć kilometrów. Na jej końcu, dokładnie w miejscu, gdzie igła ma ucho, było skrzyżowanie, w którego samym centrum stał ogromny kościół, a z boku kolejka wąskotorowa, która promowała Gawrych Rudę na całą okolicę. Turyści zjeżdżali, żeby móc z piwem w rękę przejechać się kolejką przez las i przez chwilę odetchnąć od zgiełku miasta.

Osiedle, na którym mieszkali Wagnerowie, leżało w środku igły i było pasem łączącym kościół i rejon, gdzie wybudowali się nowobogaccy ze swoimi basenami, willami oraz garażami na cztery auta. Z drugiej strony leżały osiedla biedaków i tych, którzy mieszkali po osiem osób w jednym domu, ponieważ nie było ich stać na własne mieszkania.

Amadeusz wcisnął się w siedzenie i zamknął oczy, modląc się, żeby bezpiecznie dojechać do kościoła. Nagle poczuł, że samochód zwalnia i zatrzymuje się po zaledwie kilku sekundach jazdy.

– Duszku, idź do tyłu – usłyszał głos mamusi i otworzył oczy. Auto stanęło przed domem Gizeli Kozłowskiej.

– Mamusiu... dlaczego? – jęknął.

– Bo jej obiecałam – powiedziała beztrosko i zatrąbiła pięć razy klaksonem, przez co w oknach pojawiły się głowy ciekawskich sąsiadek. – Jadę w kierunku szkoły, to mogę zabrać ją i jej maleństwa.

Amadeusz jęknął przeciągle, wysiadł z auta i przesiadł się na tylne siedzenie. Już wolał spędzić tydzień z Francją niż minutę z Gizelą.

Kiedy się rozsiadł, zobaczył ją w oddali, jak wychodziła z domu. Zmieniła się. Jej blond włosy zrobiły się ciemniejsze, skóra poszarzała i obwisła. Przytyła dwadzieścia kilo, przez co kształtami nie odbiegała od kształtów mamusi. Usta miała pomalowane na krwisty kolor, a jej paznokcie zdobiły, jak się później z bliska okazało, srebrne

tipsy z klejnocikami. Dodatkowo nosiła czerwoną obcisłą sukienkę w kolorze szminki do ust. Był to dla niego bardzo nieapetyczny widok. Wyglądała jak wampir.

– To są jej maleństwa? – parsknął Amadeusz, widząc dwóch mężczyzn mierzących metr osiemdziesiąt, z załączkami wąsów i przyszczami, którzy szli przygarbieni za matką.

– Tak. Chodzą do siódmej klasy podstawówki – powiedziała mamusia i pomachała Gizeli przez okno.

– Chyba powtarzają klasę od kilku lat – mruknął pod nosem i przysunął się jak najbliżej okna, robiąc miejsce synom Gizeli. – A po co ich bierzemy?

– Przecież jest poniedziałek. Muszą iść do szkoły.

Wagner zerknął na zegarek. Była za kwadrans ósma.

– Amadeuszu! – Gizela uśmiechnęła się na jego widok. Zauważył, że nie ma jednego zęba z boku. – Tyle cię nie widziałam! – Wsiadła na tylne siedzenie i wyczołowała go w oba policzki. Poczuł, że zbiera mu się na wymioty. – Siądę tu. – Zapięła pas obok niego. – Zdzisio, Kazio, przywitajcie się. – Gizela zaciągała jeszcze bardziej od mamusi, do tego stopnia, że chwilami brzmiało to jak inny język.

– Dzień dobry. – Dwa basy zabrzmiały unisono i Amadeusz poczuł na sobie dwa ciekawskie spojrzenia przyszłych recydywistów. Jeden, zwany Zdzisiem, z blond włosami i niebieskimi oczami, usiadł koło Gizeli i podkurczył nogi. Drugi – Kazio o rudych włosach i niebieskich oczach – usiadł na przednim siedzeniu.

– Chłopcy, jak tam szkoła? – zapytała radośnie mamusia.

– Dobrze – zabasował Kazik.

– Będziemy śpiewać w chórze – oznajmił Zbyszek. Amadeusz zerknął ukradkiem na chłopców. Obaj mieli niebieskie oczy Gizeli oraz jej nos, natomiast reszta genów musiała pochodzić od ich ojców. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy do jego nozdrzy napłynęła fala potu ze strony nastolatków oraz duszących perfum od jego dawnej znajomej z klasy.

– W tym roku w szkole jest bardzo mało dzieci – wyjaśniła Amadeuszowi Gizela. – Dlatego Franca bierze do chóru każdego, kto potrafi śpiewać.

– Racja, mamy może z osiemdziesiąt dzieci. To bardzo mało – powiedziała mamusia i ruszyła z piskiem opon.

Młodym bardzo podobała się szalona jazda w wykonaniu mamusi, bo piszczeli radośnie i pokazywali język przechodniom. Amadeuszowi było niedobrze, gdyż na zakrętach Gizela bezwstydnie go obmacywała.

– To dlatego, że ci nowobogaccy wolą zapisywać dzieci do Suwałk, do bardziej ekskluzywnych klas z językami niż tutaj. Jakby to było coś gorszego: uczyć się z biednymi. – Gizela przeciągnęła się i przypadkowo położyła rękę na jego kolanie. Strzepnęła ją przedramieniem, licząc, że kobieta zrozumie aluzję. Nie zrozumiała. – Masz takie piękne włosy... to po pani, pani Wagner.

– Och, Gizelko, ty zawsze jesteś taka grzeczna i dobrze wychowana...

Na jednym z szybkich zakrętów Zdzisio zapytał Kazia:

– To ten?

Spojrzeni na Amadeusza i kiwnęli głowami.

– To ten. – Kazio pokazał kciuk w górę.

– Chłopcy, zachowujcie się.

Mamusia wzięła jeden ostry zakręt, tak że Gizela wylądowała na Amadeuszu. Nie zamierzała go puścić.

– Jesteś tak nieśmiały jak dawniej. Lubię nieśmiałych – powiedziała bezwstydnie.

– Jesteśmy! – Mamusia zahamowała z piskiem opon przed wejściem do szkoły. Amadeusz zobaczył ogromne ilości dzieci, które z pochyloną głową szły na lekcje. Zupełnie jakby wybierały się na własną egzekucję – pomyślał.

– Bry i dzięki – powiedzieli Zdzisio i Kazio i wyszli z samochodu.

– Dziękuję, że pani zawsze jest taka chętna do pomocy – powiedziała Gizela. – Amadeuszu, masz fantastyczną mamę.

– Wiem – uciał temat i delikatnie zepchnął ze swoich kolan jej nogi, które położyła mu tam na zakręcie.

– To sama przyjemność – stwierdziła mamusia i mrugnęła do Gizeli.

– Właśnie. Tak wypada robić, jak jest się rodziną i jak jest się spokrewnionym – rzekł, akcentując słowo „spokrewniony”

– Daleką rodziną – sprostowała Gizela i się roześmiała.

– A, właśnie, Duszku. Przypomniałam sobie. Idź, proszę, spotkaj się z panią Franz i przedyskutujcie temat akompaniowania. Chyba mają próbę na pierwszej lekcji. Tak mi przynajmniej tłumaczył ksiądz Karol.

– Muszę? – jęknął Wagner i dostrzegł, jak Gizela się do niego przysuwa. Lepszy diabeł niż apokalipsa. Decyzja była prosta. Idzie do Francji. – Idę.

– Jaki z ciebie grzeczny chłopczyk – rozczuliła się mamusia. – Dołącz potem do nas w kościele – rozkazała mu i nie czekając, aż bezpiecznie wysiadzie z samochodu, ruszyła spod szkoły z piskiem opon, wioząc ze sobą Gizelę patrzącą na niego zza tylnej szyby.

– Lepszy diabeł w szkole niż apokalipsa w aucie – stwierdził i pochylił głowę, tak jak reszta zrozpaczonych uczniów.

Budynek szkoły usytuowany był między drogą a jeziorem, z każdej strony otoczony lasem oraz pomalowany żółtą farbą, która, o dziwo, odkąd tylko Wagner pamiętał, nie była ani razu odmalowywana. Zawsze miała tę samą barwę, zupełnie jakby ktoś codziennie dokładał kolejną warstwę koloru. Przez to żółty zawsze kojarzył mu się z cierpieniem i bólem, a nie z radością. Na ścianach nie było żadnego graffiti, ponieważ przyłapanie grafficiarza byłoby murowane. Franca znała charakter pisma każdego i byłaby w stanie prawie od razu wskazać winnego. Nic się nie zmieniło. Czas się tu zatrzymał. Amadeusz westchnął i wkroczył do budynku.

Wiedział dokładnie, gdzie może znaleźć Francę. Od blisko trzydziestu lat okupowała tę samą salę, w której uczyła wszystkich swoich przedmiotów: polskiego, muzyki, plastyki, kultury, historii i WOS-u. Amadeusz zawsze się dziwił, jak tak

kompletnie pozbawiona gustu osoba jest w stanie prowadzić zajęcia artystyczne, ale – jak się później okazało – w lekcjach sztuki nie chodziło o zmysł artystyczny, ale o wykuwanie na pamięć dat urodzeń i śmierci malarzy oraz listy ich dzieł.

Przed salą numer trzynaście – ulubioną Franczy – stała grupka uczniów. Wszyscy mieli miny, jakby szli na ścięcie i nic nie mogli z tym zrobić. Znał to uczucie. Dzieci, dobra rada: pogódźcie się z tym. Czeka was jeszcze osiem lat pod jej kuratelą. Ponieważ szkoła była mała, gmina nie miała pieniędzy na zatrudnienie wielu nauczycieli, więc humaniści uczyli wszystkich przedmiotów humanistycznych, a ścisłowcy ścisłych. Dzięki temu szkoła miała tylko pięciu nauczycieli na etacie. I jakoś wiązała koniec z końcem.

Amadeusz zapukał do drzwi, wzdychając. Miał prawie trzydzieści lat i jeszcze się nie pozbył strachu, który wpoila w niego Franca. Przez nią bał się kobiet. A pierwsza kobieta, która autentycznie mu się spodobała, którą był gotów kiedyś gdzieś zaprosić, okazała się nim kompletnie niezainteresowana. Odczekał chwilę i otworzył drzwi.

Franca siedziała przy biurku i wyglądała, jakby była ucieleśnieniem samej śmierci. Ubrana cała na czarno, na wysokich obcasach, obecnie siwe włosy jak zawsze spięte, usta zaciśnięte w wąską kreskę, mordercze spojrzenie i cała jej sylwetka napięta do granic możliwości. Szyja zamiast koralami ozdobiona była warstwą nabrzmiałych żył. Jej zakrzywiony nos i wąskie oczka wcale nie pomagały ocieplić jej wizerunku. Dopiero teraz Amadeusz przypomniał sobie, jak bardzo jej nienawidził, jak często przez nią płakał i jak często marzył, że przyjdzie do szkoły i usłyszy, że tego dnia nie ma lekcji, bo Franca wykorkowała. Albo zachorowała. Ale nawet bakterie nie chciały się do niej zbliżyć – nigdy dotąd nie wzięła L4.

– Amadeusz Wagner, rocznik dwa tysiące dwa – wycedziła Franca głosem, który każdego przyprawiłby o ciarki. Było to coś pomiędzy przeciąganiem paznokciem po szybie a obdzieraniem kota ze skóry. Do tego miała świetną pamięć. A miał nadzieję, że go zapomniła. – Flecista – doprecyzowała i zmarszczyła się nieprzyjemnie.

– Dzień dobry – powiedział jej grzecznie, chociaż miał ochotę wypchnąć ją przez otwarte okno. Jednakże zgodnie z zasadą, że złego licha nie bierze, Franca pewnie wyszłaby cało z upadku. Potarł bliznę na skroni, którą mu kiedyś zrobiła, i czekał na jej odpowiedź. Gardził sobą, że w jej obecności czuje tylko nienawiść.

Franca popatrzyła na niego jak jastrząb na ofiarę i przekrzywiła głowę, skupiając uwagę na dzienniku.

– Mam za chwilę lekcję – powiedziała tonem jakby zaraz miała się porzygać i uzupełniła coś w dzienniku.

– Przyszedłem akompaniować. Mam grać na Boże Ciało – przypomniał jej, na wypadek gdyby zapomniła.

– I? – Dalej kreśliła coś w dzienniku. Współczuł temu dziecku, któremu wystawiała właśnie opinię.

– Miałem tu przyjść – wyjaśnił Amadeusz.

– I? – Nie wiedział, czy Franca się z nim przekomarza, czy po prostu zapomniła.

– Więc jestem.

– Widzę. I nic nie wnosisz, chłopcze, prócz zużywania powietrza. – Machnęła wielki podpis na dokumentach i odłożyła kartkę na schludnie ustawioną stertę. – Pokaż mi, jak grasz na flecie – rozkazała.

– Słucham? – zdziwił się.

– Chodziłeś na te bzdurne zajęcia, to teraz pokaż, czego cię nauczono. – Wściekła nauczycielka odłożyła pióro.

– Nie wziąłem mojego fletu... Myślałem, że...

– Chłopcze, ty nigdy nie byłeś dobry w myśleniu, więc mnie nie rozśmieszaj. – Palcem wskazała na szafkę, która pamiętała jeszcze czasy młodości Amadeusza. – Tam jest flet, wybierz jakiś i mi zagraj.

– Dobrze. – Wagner przełknął ślinę i podszedł do szafki. Brzuch mu zaburczał, sugerując, że to nie najlepszy pomysł. Pamiętał, jak kiedyś chodził do Francy na naukę fletu, i pamiętał jej linijkę, którą dostawał po głowie... Otworzył drzwiczki i zobaczył trzy flety, pewnie te, na których wtedy się uczył, bo szkoła nie miała pieniędzy na zakup nowych, a obok... linijkę.

– Linijkę też chcę. Przynieś – rozkazała, dalej gryzmołąc coś na kartce. Trzęsącymi się rękami chwycił i flet, i linijkę i jak za dawnych lat podszedł ze schyloną głową do tablicy. – Graj – powiedziała pani Franz tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A co? – zapytał nierozważnie, po czym ugryzł się w język.

– *Eine kleine Nachtmusik*. Pamiętasz jeszcze jak czy mam wstać i poszukać ci nut?

Wagner pamiętał, że za każdym razem, gdy Franca zadawała pytanie, była w bardzo złym humorze. A zły humor zawsze kończył się biciem, dlatego Amadeusz szybko przyłożył flet do ust i zaczął grać.

Mozart był fantastycznym kompozytorem, ale nie dla Wagnera. Nie dlatego, że mieli to samo imię. Jego tata nazwał go na cześć austriackiego wirtuoza, a przez to Amadeusz nie znosił Mozarta. Mozart wymagał zręczności, szybkości, werwy i energii, których Wagner... po prostu nie miał.

Eine kleine Nachtmusik powstała oryginalnie na skrzypce, altówkę i wiolonczelę, a nie na flet, więc Wagner grał z pamięci, transponując w głowie skrzypce na ten właśnie instrument. Wiedział, że Franca specjalnie wybrała ten utwór, gdyż patrzyła teraz na niego złośliwie, gdy on pocił się nad każdą nutą i z trudem łapał oddech. *Mała nocna muzyka* była dla niego wielkim utrapieniem. Nienawidził tej starej flądry. Żołądek zaburczał, sekundując mu w tej myśli.

A stara flądra dalej patrzyła na Amadeusza krwiożerczym wzrokiem i nagle wybuchnęła śmiechem.

– Przestań! Stop! Starczy! – Jej śmiech przypominał odgłos przebijanej opony oraz krzyk umierającego ptaka. Małgorzata Franz klepnęła się w kolano. – Kto cię uczył grać? Janko Muzykant?

– Nie, proszę pani. – Pochylił głowę. Nie uważał, że źle zagrał. Zagrał... poprawnie.

– Uczyłam cię, jak ustawiać palce, więc czemu tego nie stosujesz?

– Nie wiem. – Pochylił głowę jeszcze niżej, zamiast jej odpyskować, bo wiejska nauczycielka polskiego nie miała racji w tej kwestii. Wszyscy jego nauczyciele pokazywali mu inaczej. Lepiej.

– Zawsze byłeś sromotną porażką i ciapą! – Nauczycielka mocno uderzyła linijką o stół. Blizna na głowie Amadeusza zaczęła go boleć. – I ty masz mi akompaniować?! Ty?! – prychnęła. – Jak ja nienawidzę dzieci! I dorosłych, którzy z nich wyrastają, jeszcze bardziej. – Żyła na jej czole się napięła. Franca była wściekła. – Przygotowałam chór i zamiast profesjonalnego muzyka mam mieć partacza, który nie potrafi nawet utrzymać dobrego rytmu? Lepiej się zabij, grubasie, bo na nic innego nie zasługujesz! – Linijka ponownie uderzyła o biurko.

– Przepraszam.

Łza pociekła mu po policzku, a jego podbródek prawie dotykał już klatki piersiowej. Jeszcze trochę, a złożysz się w pół od tego kłaniania się – odpowiedział mu chochlik w głowie i Amadeusz uśmiechnął się lekko. Franca pisnęła wściekła.

– Śmiesz cię to? Śmiesz cię to, ty beczko sadła? Umrzyj jak najszybciej, bo mnie męczysz swoją obecnością. A nawet tego pewnie nie potrafiłbyś dobrze zrobić! Mam znowu wszystko robić sama?! – Wyrwała mu flet. – Zaraz ci pokażę, ty porażko człowieka, jak to się robi! – Uniosła rękę z fletem i rozbiła go na jego głowie. Amadeusz się zachwiał, gdyż trafiła w guza, którego we Wrocławiu narobił mu Krzysiu Nowak. – Ile razy mam cię bić, żebyś się nauczył, ty pokrako?! – Odrzuciła połamane kawałki i podniosła linijkę. Brzuch mu zaburczał. Zaraz... przecież dopiero co nauczył się być asertywnym... Dlaczego przeszłość dogania go tak szybko? Sam rozwikłał zagadkę... on sam... Podniósł głowę i spojrzał z nienawiścią w oczy Francji.

– Jeszcze raz mnie uderz, ty stara wywłoko, a ci oddam – powiedział on i nie on. Małgorzata zrobiła się blada i cofnęła się o krok, a jemu zaczęły się trząść kolana. Co on najlepszego zrobił? Przecież mamusia zawsze go uczyła, że nie należy ulegać emocjom, bo są najgorszym doradcą. Jak on teraz to wszystko naprawi? Przecież jej nie przeprosi... Może jak padnie na ziemię, to Franca mu wybaczy... Co go podkuśliło, żeby tak się zwrócić do starszej osoby?

– Chyba za mocno cię uderzyłam, dziecko. Bredzisz. – Rzuciła linijkę na biurko i prychnęła. Jej spojrzenie napotkało wzrok wściekłego Amadeusza i otworzyła usta, chcąc coś dodać, ale jej myśl przerwał dźwięk dzwonka.

Dziesięcioro dzieci markotnie weszło do klasy i cicho powiedziało „dzień dobry”. Jeden z chłopców zatrzymał się w połowie drogi, widząc szczątki fletu na podłodze.

– Co się stało? – zapytał.

– Zamknij, Banan, swoją głupią mordę i siadaj w ławce! – krzyknęła Franca na małego blondyna ubranego w koszulkę z bananem i stare dzinsy. Chłopiec natychmiast wykonał jej polecenie. – Co za tępe bachory. – Pokręciła głową. – To jest Amadeusz Wagner, mój były uczeń. Beznadziejny bachor, beznadziejny dorosły. Będzie wam akompaniować – powiedziała.

– Jestem flecistą w Filharmonii Wrocławskiej. Przyjechałem specjalnie, żeby wam zagrać – rzekł Amadeusz, kłaniając się dzieciom. Kolana nadal mu drżały. Czwórka

dzieci z ostatniej ławki mrugnęła do niego zachęcająco. – Powiedzcie mi, moi mili, co będziecie śpiewać – poprosił pomimo trzęsących się nóg. Nie lubił występować solo publicznie.

– *Eine kleine Nachtmusik*, a co innego? – wyjaśniła nauczycielka, kalecząc niemiecki i wściekle tupiąc swoją krótką nóżką na wysokim obcasie. – A Amadeusz zamknie jadaczkę, bo nie on prowadzi lekcję.

– Pani Franca napisała słowa – wyjaśniła mała dziewczynka z warkoczykami, która siedziała w ostatnim rzędzie.

– Zamknij się, Dżesika! – krzyknęła Franz i rzuciła w dziewczynkę linijką. Na całe szczęście linijka trafiła w szafkę, bo dziecko zdołało się uchylić. – Nazwij mnie jeszcze raz po nazwisku, to twój brat zostanie jedynakiem! Ty brudna, zawszona cholero! – Nauczycielka rzuciła w międzyczasie kredą, która uderzyła Dżesikę w czoło. Dziewczynka z trudem powstrzymywała łzy. – Coraz gorsze te bachory. Zero szacunku! A teraz stawać w koło i mi śpiewać!

– Pani nie powinna... – zaczął siedzący z tyłu klasy chłopiec o imieniu Mundial.

– Czego nie powinnam? Chcesz znowu dostać w brzuch? I co, znowu mi rzygniesz na buty? Żałosny padalec – prychnęła. – Śpiewamy!

Dzieci szybko ustawiły się w kółku z zeszytami i wpatrywały się we Francę jak jagnię w wilka. Amadeuszowi zrobiło się żal tych maluchów, które ze względu na biedę w domu nie mogły uczęszczać do szkoły w Suwałkach. Skazane na bicie, obrażanie i na Francę. Tak jak i on kiedyś. Dlaczego nikt nigdy nie mógł zareagować? Dlaczego nikt nigdy się jej nie postawił?

– A ty chcesz mieć specjalne zaproszenie, baryło sadła? – Nauczycielka przypomniała sobie jego stare przezwisko, które sama dla niego wymyśliła. – Nie rozumiem, jak matka może na ciebie patrzeć. Gdybym ja miała takie dziecko, dawno bym je utopiła w studni.

Amadeusz westchnął i podszedł do szafki wziąć jeszcze jeden flet, po czym ustawił się tuż obok Franczy i patrzył na nią przeciągle. Był z siebie dumny, że tak się jej postawił. Był pewien, że flądra naskarzy jego mamusi, ale nie dbał już o to. Postawił się jej! Najchętniej by jeszcze na nią napluł, ale żal mu było śliny. Zapomniał już o tym, że chciał ją przeprosić.

Małgorzata Franz podniosła dłonie do dyrygowania i zachwiała się na swoich szpilkach. Z twarzy dzieci można było wyczytać, że życzyły jej upadku. Ku ich niepokieszeniu Franca dała znak do śpiewu i do gry. Nie wywróciła się.

Amadeusz słyszał kiedyś od kogoś, że Franca jest niespełnioną poetką, zmuszoną do uczenia dzieci. Kiedyś ktoś mówił, że próbowała wydawać książki, ale nikt nie był zainteresowany, więc wzięła pierwszą lepszą robotę, która jej się nawinęła. Po usłyszeniu słów, które napisała do *Eine kleine Nachtmusik*, zrozumiał, dlaczego nikt nie chciał wydać jej wierszy. Mozart pewnie wyprze się autorstwa tego utworu, jak wykonają go publicznie.

*Panie Boże, śpiewam ci ku czci,
Słońce dawno zgasło i już ćmi.*

*Jezus nas błogosławi wciąż,
Gdy w lesie kąśnie wąż,
Gdy umrze mamie mąż,
Gdy jest mi smutno, gdy jest mi źle, to się cieszę, że mam ciebie!
To jest moja pieśń, na Boże Ciało
Tyle dzieci śpiewało.
To jest moja pieśń, gdy jest pleśń, nadgarstka cieśń,
Więc ci będę śpiewać, choć nie umiem,
Będę śpiewać, choć nic nie umiem!
Będę śpiewać, choć nie umiem!*

Po jakimś czasie Amadeusz przestał zwracać uwagę na słowa, tylko skupiał się na muzyce. Współczuł dzieciom, które zostały zmuszone do występu. Nie widział tu Kazia i Zdzisia, chłopców Gizeli, którzy mówili, że będą śpiewać. Może każda klasa ma osobne zajęcia? Czy to znaczy, że będzie musiał siedzieć w szkole wraz z Francą i akompaniować każdej z nich? Przecież to się dobrze nie skończy... Pokręcił głową. Musi w takim razie zająć się czymś innym, żeby nie dać się jej sprowokować. Postawił się, z czego był niezmiernie dumny, i chciał jak najdłużej utrzymać ten stan. Nie wiedział, na jak długo starczy mu odwagi.

Pomyślał o dziwnym złodzieju. Kradnie połowę, a resztę wsadza do koszyka i zostawia? Przez pomyłkę? Czy to w ramach przeprosin za kradzież? Kto mógłby to robić? Popatrzył po dzieciach i zrobiło mu się smutno. Pochodziły z biednych, czasami patologicznych rodzin, których nie było stać na nowe ubrania. Dziewczynka, która podobno nazywała się Dżesika miała za dużą koszulę – ewidentnie po starszej siostrze lub po matce – i za duże buty, które kłapały jej przy chodzeniu, a które obwinęła sznurkiem, żeby się lepiej trzymały. Miała brud za paznokciami i ślady jakiejś wysypki na głowie. Obok niej stał chłopiec, zapewne jej brat, ponieważ miał takie same oczy i nos. Amadeusz popatrzył na plakietkę z imieniem, którą nosił przypiętą do niebieskiej koszulki z dziurą pod pachą: Brajan. Brajan i Dżesika – brat i siostra. Dalej był chłopiec w żółtej koszulce z bananem, którego Franca nazwała Bananem. Dlaczego? Zerknął na nalepkę i prawie stracił rytm. Chłopiec miał po prostu na imię Banan! Siedział w ławce z kolegą, pewnie jego najlepszym przyjacielem, widać, że bogatszym, bo miał dobrze dopasowane ubrania. Imię na plakietce brzmiało: Mundial. Amadeuszowi z wrażenia prawie pomyliły się palce. Dżesika, Brajan, Banan i Mundial. Już nie miał siły czytać imion reszty dzieci. Po prostu się bał, że trafi na Pralkę czy Śledzia. Miał też dziwne wrażenie, że te dzieci wydają mu się znajome. Ale skąd mógłby je znać?

Maluchy prześpiewały utwór kilka razy, dopóki Franca nie zmęczyła się machaniem rękami.

– Byliście beznadziejni! Tak chcecie się zaprezentować rodzicom i księdzu?! Co za gówniarzeria...

– Jaki nauczyciel, taki chór – wymusnęło się Amadeuszowi.

Franca zrobiła się czerwona z wściekłości. Co on najlepszego narobił? Od kiedy to zrobił się taki pyskaty? Mamusia nie będzie zadowolona. Może za mało zjadł na śniadanie?

– Wynoś się! – powiedziała po chwili ciszy. – Wynoś się z mojej klasy!

– Z przyjemnością – powiedział, kładąc flet na jej biurku.

Wyszedł. Przy drzwiach cudem uniknął dostania w głowę fletem, który rzuciła za nim Małgorzata.

– Drugiego ci szkoła nie kupi. – rzucił na fali buty i trzasnął drzwiami. Serce mu waliło, jakby przebiegł maraton. Ręce mu się pociły. Więc tak wygląda bunt? Tak wygląda sprzeciwienie się nauczycielowi? To uczucie było cudowne!

Dopiero na korytarzu zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Po dwudziestu latach nareszcie odpyskował Francę! Niewiele osób było w stanie tego dokonać. Wszyscy się jej bali, nawet dorośli. Co on najlepszego narobił? Miasto go zmieniło. Dawniej szanował starszych, nieważne, jak bardzo się mylili i jak bardzo byli złośliwi. To przez to morderstwo. Na pewno przez to morderstwo. I przez filharmonię. I muzyków. Przeprosi ją. Albo i nie. Zasłużyła sobie.

Ale to starsza kobieta – jak się zdenerwuje, to może dostać zawału. Nie chciał być odpowiedzialny za czyjąś śmierć.

Ale z drugiej strony złego licha nie bierze. Przez tyle lat jej nie wzięło, to teraz też jej nie weźmie.

Chwycił się za głowę. Zaczynał mieć schizofrenię. Słyszał głosy, których nie było. A może ma rozdwojenie jaźni spowodowane szokiem, jaki przeżył w filharmonii? Brzuch mu zaburczał.

Zmierzając korytarzem szkolnym na zewnątrz, kompletnie nie myślał już o Francę. Przypomniawszy sobie, że rano z mamusią namoczyli trzy kapusty na gołąbki i rozmrozili schab... Do tego zrobią sos pomidorowy na gęstej śmietanie z koperkiem i szczypiorkiem... Jeśli mamusia pozwoli, a zawsze pozwalała, to wylizze garnek po sosie pomidorowym... A na deser schab. Z sosem miętowym. Miętę koniecznie zerwie z ogródka. Wczoraj widział, że w ogródku prawie dojrzały maliny. Może mamusia robi z nich ciasto posypane kruszonką? Taki sernik posypany malinami, kruszonką i cukrem pudrem i mierzący koniecznie dwadzieścia centymetrów. Nie mniej. Może więcej. Będzie go jadł palcami, tak jak to robił, kiedy był mały... Kiedy był mały... Franca.

Oszalał. Co on powie mamusi? Jak on się z tego wytłumaczy? Oszalał.

Gdy wyszedł z budynku, nie skierował się najpierw do kościoła, gdzie umówił się z mamusią. Usiadł sobie na ławeczce przed szkołą i zaczął myśleć o tym, jak to wszystko naprawić. Nie przeprosi Francy – nie ma takiej opcji. Po prostu się pojawi, jak gdyby nigdy nic. Przyjdzie następnego dnia rano i zagra. I będzie ją ignorował aż do Bożego Ciała. Zagra i jej więcej nie zobaczy. Uderzył pięścią w dłoń. Tak – postanowił. Tak właśnie robi. Wszystko jakoś samo się ułoży – był tego pewien.

Dźwięk dzwonka wyrwał go z rozważań. Skończyła się lekcja. Po raz kolejny ucieszył się, że już nie chodzi do szkoły. Drzwi do budynku otworzyły się szybko i jak błyskawica wypadły z niego cztery postacie. Stały na dziedzińcu i zaczęły się rozglądać. Amadeusz je poznał. To była czwórka dzieci o osobliwych imionach, którą zdążył zaobserwować podczas próby. Wtem chłopiec o imieniu Mundial obrócił się i ujrzał Wagnera.

– Tam jest.

Szturchnął swoich kolegów i podbiegli do ławki. Po nich ze szkoły dosłownie wylała się fala uczniów. Każdy chciał korzystać z odrobiny słońca i ułamka wolności, jaki dawała im przerwa od pobytu w zatęchłych klasach. Podwórze zaroilo się od dzieci. Ku zdziwieniu Amadeusza nikt w nic nie grał, nikt nie biegał – każdy znalazł sobie nieocienione miejsce i albo się położył, albo usiadł. Mężczyzna po raz pierwszy widział szkołę, w której na przerwie nie było głośno. Wszyscy wyglądali na takich zmęczonych...

– Dzień dobry! – powiedziała Dzesika i usiadła obok Amadeusza.

– Dzień dobry – odpowiedział.

Banan, Mundial i Brajan padli zmęczeni na ziemię przed ławką i wbili w niego swoje oczy.

– Pan jest moim bohaterem. – powiedział chłopiec o imieniu Banan.

– Moim też! – zapisała dziewczynka.

– Jak taki Superman! – dodał Brajan.

– Tylko troszeczkę grubszy – dorzucił roztropnie Mundial i poprawił okulary, przez co prawie wypadła mu z rąk książka o Robin Hoodzie.

– Dziękuję – powiedział zawstydzony Amadeusz. Brzuch mu zaburczał. Czyżby znowu za mało zjadł na śniadanie? A może zdążył już wszystko strawić?

– Pan jest głodny – stwierdził Banan i wyciągnął z kieszeni cukierka, który wyglądał, jakby ktoś go podniósł z ziemi. – Trzymałem go na koniec roku, ale myślę, że pan bardziej na niego zasługuje.

Brudna mała rączka podała Amadeuszowi słodycz. Przyjrzał się bliżej dziecku. Było przeraźliwie chude, miało na sobie za dużą żółtą koszulkę z bananem oraz

spodnie, jakie noszono za czasów jego młodości. Chłopiec nie pochodził z bogatej rodziny. Pewnie rzeczywiście znalazł cukierka na ulicy i nie jadł go, pragnąc zrobić sobie prezent na zakończenie szkoły. I chciał go oddać Amadeuszowi, bo zaburczało mu w brzuchu? Zachciało mu się płakać z wdzięczności, ze smutku i z czegoś jeszcze. Pewnie głodu.

– Nie śmiałybym – powiedział po chwili przerwy. W gardle go drapało.

– Ale to dla pana. – Banan był nieustępliwy.

– Wiesz co? Zrobimy inaczej. Po szkole zaproszę was na lody. Nie będziemy sobie psuć teraz apetytu cukierkami, skoro później zjemy...

– Lody? – Oczy Dżesiki się zamglily. Wyglądała, jakby miała się lada chwila rozpłakać.

– Takie z czekoladą? – upewnił się Banan i schował cukierek do kieszeni.

– Tak, takie z czekoladą.

– Umowa stoi. – Banan podał Amadeuszowi rękę.

– Ale ja się nie zgadzam, żeby pan stawiał. Każdy zapłaci za siebie – powiedział Mundial, poprawiając okulary.

Brajan pochylił głowę zasmucony. Nie było ich stać na lody. Amadeusz z opowieści mamusi wiedział, jak ciężki los mają te dzieci. Ich rodzice, pomimo że dostawali od państwa dodatki na wychowanie swoich potomków, przeznaczali wszystko na spłatę kredytów, kupowali sobie nowe auta i robili wszystko, tylko nie wydawali pieniędzy na dzieci. Mamusia mówiła mu o Nowakowskich, którzy mieli w domu szóstkę pociech, dziurę w dachu, ubrania cztery na krzyż i najnowszej generacji telewizor, nad którym wisiała folia zabezpieczająca najcenniejszą rzecz w domu przed deszczem. Bo każdy w życiu ma swoje priorytety, prawda? Dla niektórych jest to najnowszej klasy monitor, a dla innych... jeden lód na patyku.

– Mundial, tak? – upewnił się Amadeusz. Chłopiec kiwnął głową. – Bardzo rezolutny z ciebie człowiek. Ale widzisz, proponuję wam lody, bo chciałbym was nagrodzić za tak wspaniałą próbę.

– Ale mama mówiła, że nie wolno brać prezentów od obcych – powiedział Mundial. – I co to znaczy rezolutny?

– To znaczy mądry. I racja, nie powinniście brać prezentów od obcych, ale widzicie, to nie będzie prezent, tylko zapłata. – Już dawno nie musiał się tak napocić, żeby kogoś do czegoś przekonać. Zwykle jak ktoś mówił „nie”, to Amadeusz odchodził i nie kontynuował tematu.

– Za co? – zaciekała się Dżesika.

– W przyszłości mogę potrzebować waszej pomocy, więc te lody to... – kombinował – tak naprawdę przedpłata za waszą pracę.

– Jaką pracę? – Mundial był nieugięty. Wyrośnie z niego wspaniały prokurator.

– Zobaczmy jeszcze. – Już myślał, jak poprosi dzieci o pomoc mamusi w robieniu sernika lub zbieraniu owoców.

– Ale nie usługi seksualne? – upewnił się Mundial.

– Nie, broń cię Boże! – Amadeuszowi zaparło dech w piersiach.

– To umowa stoi. – Banan wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Amadeusza.

– Świetnie – ucieszył się flecista. – Powiedz mi tylko... skąd takie imię? – zapytał z ciekawości.

– Banan? – Chłopiec w żółtej koszulce się roześmiał. – Mama mówiła, że jadła banana, gdy mnie zrobiła z tatusem.

– Rozumiem. – Wagner próbował zachować kamienną twarz z nie dość dobrym skutkiem. – A ty? – zwrócił się do okularnika.

– Tata mnie nazwał Mundial, bo się urodziłem, kiedy był Mundial i kiedy Polacy wygrywali. Po moim urodzeniu zaczęli przegrywać, więc podobno przynoszą pecha. – Chłopiec poprawił okulary na nosie. – A skąd pan wie, jak się nazywamy?

– Bo masz imię na plakietce, ciołku. – Brajan szturchnął kolegę i się uśmiechnął. Nie miał kilku zębów. – Ja jestem Brajan, a to moja siostra Dżesika.

– Rodzice nazwali nas tak, żebyśmy w przyszłości pojechali za granicę i żeby było nam łatwiej ze znalezieniem pracy – wyjaśniła dziewczynka. – Bo będziemy się nazywać jak nie-Polacy.

– Sprytnie.

– Przy zbieraniu truskawek. – Mundial poprawił okulary.

– A pan nazywa się tak strasznie dziwnie... – powiedział Banan ze śmiechem.

– Pan jest synem pani Wagner – zaznaczył Mundial.

– A skąd znasz moją mamę? – zapytał chłopca Amadeusz.

– Bo mój tata kupuje od niej jajka – wyjaśnił Mundial, znów poprawiając okulary. Amadeusz nie wiedział, czy oprawki są źle dopasowane, bo zjeżdżają z nosa, czy jest to nerwowy tik, który wyrobiło w sobie dziecko i używało go, kiedy czuło się niezręcznie.

– Twój tata? A jak się nazywa? – Twarz dziecka wydawała mu się znajoma.

– Mój tata nazywa się Krystian Kowal.

– Krystian? – zdziwił się Amadeusz. To był jego dawny kolega z klasy! Kiedy popatrzył na chłopca, rzeczywiście dostrzegł podobieństwo do swojego dawnego kumpla. – A co twój tata teraz robi?

– Jest mechanikiem – powiedział dumnie Mundial. Dlatego był bogatszy od reszty swoich kolegów. Dlatego wyglądał na lepiej ubranego.

– A mój tata to Stanisław Kowalczyk – wtrącił się szybko Banan. – I my nie znamy pani Wagner, bo mieszkamy na zachodzie Gawrych Rudy.

– O, my też! – powiedział Brajan, błyskając szczerbatym uśmiechem.

– Nasz tata to Antoni Leśnik – dorzuciła Dżesika.

– No proszę, proszę... – Amadeusz się roześmiał. Stasio i Antek także byli jego kolegami z klasy. Nie dokuczali mu, ale też nie byli jego przyjaciółmi. Byli neutralni. Jedna tajemnica się wyjaśniła – skąd miał to przecucie, że musi znać te dzieci. Domyślał się też, że musieli mieszkać na zachodzie wioski. Gdy na wschodzie budowali się bogaci, na zachodzie z jednorodzinnych domów powojennych robiono bloki, w których później zamieszkiwali ci biedni.

– Kończymy lekcje o trzynastej! – krzyknął rozradowany Banan. Perspektywa

lodów musiała go bardzo uszczęśliwić.

– Dobrze, spotkamy się tu przy wejściu – kiwnął głową Amadeusz. Rozległ się dzwonek. Kiedy dzieci wstały i ze smutkiem zaczęły wchodzić do szkoły, poczucie przerażenia i beznadziejności wydawało się prawie namacalne.

– Pan jest super – powiedziała Dżesika i wraz z kolegami pomachała mu rączką na pożegnanie. Uśmiechnął się. Mijały go dzieci o twarzach dorosłych, które wydawały się już zmęczone życiem. A miały dopiero po dziesięć lat.

Jako ostatni do szkoły weszli Zdzisio i Kazio. Popatrzyli na Amadeusza, tak jakby przejrzeni go na wylot i wiedzieli, czego się po nim spodziewać. Zniknęli tak szybko, jak się pojawili.

Franca zdążyła w przerwie zadzwonić do księdza Karola i do mamusi na skargę. Kiedy Amadeusz wszedł na plebanie, przywitała go niezadowolona mina mamusi. W tym wszystkim nie zdążył przygotować argumentów obronnych.

– Duszku... – zaczęła głosem pełnym nagany.

– To nie moja wina – powiedział na wstępie. – Uderzyła mnie fletem.

– Duszku...

– Będę akompaniował, ale jej nie przeproszę – powiedział hardo.

– Amadeusz ma rację. Wie pani, jaka jest Franca. – Gizela stanęła obok niego i objęła go ramieniem. – Jesteśmy z ciebie dumne... Duszku.

– Ważne, żeby nie zawieść dzieci. – Mamusia skapitulowała, co nie było częstym widokiem. Amadeusz strzepnął rękę Gizeli z ramienia.

– Nie zawiodę. Zabieram je potem na lody.

– Na lody? – Oczy Gizeli się rozjaśniły. – Będziesz idealnym ojcem.

– Oj, będzie... – Mamusia się rozczuliła. Jakim cudem tak szybko przeszła jej złość?

– Gdzie jest reszta kobiet? – Amadeusz zmienił temat. Na plebanii były tylko jego mamusia i Gizela. Zmieniło się tu od jego ostatniej wizyty. Ściany pomalowano na czerwony kolor i wstawiono wielki stół, krzesła i kanapę. Gdyby nie to, że na ścianach wisały krzyże i obrazy Jezusa, pomieszczenie wyglądałoby jak klub.

– Przystrajają kościół i przystanki – powiedziała Gizela. – A tak w ogóle... znowu zaatakował złodziej! – dodała szybko. Amadeusz przysunął się do niej zaciekawiony, co ją bardzo ucieszyło.

– Co ukradziono?

– Marchewki od Wiśniewskiej!

– Też połowę? – dopytał Wagner.

– Tak! – Gizela kiwnęła podekscytowana głową. – Mnie jeszcze nie okradziono, bo w sumie nie ma z czego, ale...

– Ten sam schemat... – wymruczał pod nosem. – To musi być ten sam złodziej.

– Po co mu aż tyle warzyw i owoców? – zdziwiła się mamusia, przyszywając

wstążkę do obrusa.

– Pewnie je sprzedaje w Suwałkach – zamyślił się Amadeusz. Złodziej albo jest bardzo biedny i nie ma co jeść, albo na gwałt potrzebuje pieniędzy. Albo i jedno, i drugie.

– Wiśniewska chciała wzywać policję, ale ksiądz jej to wyperswadował – powiedziała Gizela, siadając obok mamusi. Razem wyszywały na brzegach obrusa litery „INRI”.

– Pewnie też podejrzewa, że złodziej jest zdesperowany i biedny – rzekł Amadeusz na głos.

Mamusia spojrzała na niego przeciągle.

– Duszku, nie angażuj się, proszę, w tę sprawę. Zajmą się nią ksiądz i policja. Nie chcę, żebyś się niepotrzebnie narażał. – Zmarszczyła brwi.

– Pani Wagner, kiedy to jest takie ekscytujące! – Gizela zwróciła się do Amadeusza: – Gdy twoja mama opowiedziała mi o tym, jak sam znalazłeś mordercę... Nie wiedziałam, że masz żyłkę detektywistyczną! – Zamruczała z zachwytem.

– Wolalabym, żeby nie miał. – Mamusia wściekle wbiła igłę w materiał.

– Amadeusz to nasz taki wioskowy Sherlock Holmes. Albo Kloss! Albo... sama już nie wiem. I pomyśleć, że nazywałam cię kiedyś głąbem! Ale się myliłam! – Dzisiejsza czerwona sukienka Gizeli podjechała jej do połowy ud. Jakim cudem ksiądz wpuścił ją na plebanię w takim stroju?

– Nieważne, zmieńmy, proszę, temat. – Amadeusz złapał się za głowę. Powoli zaczynał dostawać migreny.

– Racja, Duszku. Racja.

Mamusia posadziła go obok siebie, pokazując, co ma robić, i przez pewien czas w trójkę wyszywali napisy na obrusach. Amadeuszowi szło to z różnym skutkiem, ponieważ nigdy nie był dobry w pracach ręcznych. Poza tym, że świetnie wychodziła mu gra na flecie. A może się mylił? Po trzech godzinach mamusia najwyraźniej pomyślała podobnie, bo wygoniła go na dwór, żeby poszedł znaleźć księdza i pomógł mu w czymkolwiek innym niż wyszywanie.

Szukał najpierw na dworze, a następnie na cmentarzu z drugiej strony kościoła. Zauważył schodzącą gdzieś farbę oraz kilka dachówek, które leżały roztrzaskane na ziemi. Spojrzał do góry. Kościół potrzebował remontu, ale niemożliwe było zebranie odpowiedniej sumy w tak biednej i jednocześnie tak bogatej Gawrych Rudzie. Biedni dawali, co mieli – czyli grosze, a bogaci nie chodzili do kościoła, bo czcili innego boga.

Ksiądz Karola Amadeusz znalazł w kościele. Mył organy. Miał on na oko pięćdziesiąt lat i ostatnie trzydzieści spędził w Gawrych Rudzie. Był to człowiek będący ucieleśnieniem wszystkich bożych nakazów i zakazów. Chudy i żyłasty, o bardzo wysokim czole i z blizną na jednym z policzków, był ostoją i opoką wsi. Każdy, kto miał problem, szedł do Karola i wychodził z gotowym rozwiązaniem. Ksiądz wszędzie poruszał się swoim rowerem i lubił chodzić w dżinsach

i w niebieskiej koszulce z koloratką. Była to jedna z nielicznych postaci, która emanowała dobrem i która zawsze była gotowa pomóc każdemu grzesznikowi. Gawrych Ruda nie mogła mieć więcej szczęścia. Jediną wadą księdza był fakt, że uwielbiał oglądać telenowele, na temat których potem dyskutował zawięzanie z emerytkami oraz innymi kobietami. Drugą wadą było to, że nie wymawiał litery „r”. I lubił plotkować.

– Amadeuszu! Cieszę się, że cię widzę. – Karol wstał z klęczek i uściśnął Wagnera z radością. – Baldzo ci dziękuję za akompaniament. Nawet nie wiesz, jak wielką ulgą było usłyszenie, że pomoże nam taki wielki altysta.

Amadeuszowi zawsze chcialo się śmiać, gdy słyszał księdza. Zawstydził się jednak, słysząc te słowa.

– Nie ma o czym mówić.

– Ależ jest! Mogę telaz spać spokojnie. – W policzku Karola pojawił się dołeczek.

– Mamusia przysłała mnie z pytaniem, czy mogę księdzu w czymś pomóc.

– Już i tak mi dużo pomagasz, nie potrzebuję nic więcej.

– Na pewno?

– Na pewno! – Zamachnął się szmatką. – Biegnij i szerz słowo boże!

– Na pewno? – dopytał Amadeusz na wszelki wypadek, ale został odgoniony szmatką przez wdzięcznego księdza.

– Na pewno, Amadeuszu. Jeśli chcesz, to możesz iść do Leśnikowej. Z tego, co słyszałem... – nachylił się – ma pewne poblemy natuly kobiecej z mężem. Myślę, że ciebie posłucha. Mężczyzny, któły mieszka w wielkim mieście, któły widział i lozwiązał splawę moldelstwa!

– Nie, to tak wcale nie jest...

– Widziałem te filmy, widziałem te seliale... Uważaj tam na siebie, bo złodzieje i gwałciciele wszystkich obselwują! Tak jak na filmach! – podekscytował się.

– A w czym tkwi problem z Leśnikową? – westchnął.

– Mąż ją zdladza i ona nie chce mu wybaczyć.

– Nie powinna.

– Ale nie o to chodzi. – Ksiądz zmiął szmatkę w rękach. W jego oczach pojawiła się ekscytacja. – Opowiedz jej, jak żyją ludzie w mieście, że tam każdy z każdym to lobi i sobie wybaczą!

– Kiedy wcale tam tak... – Amadeusz się zamyślił. Nie miał kontaktu z mieszkańcami, tylko z artystami. A oni robili właśnie tak, jak to opisał ksiądz. – Zobaczę, co da się zrobić. – Na pewno nie będzie jej nakłaniał do powrotu do męża. Niech się facet trochę nagimnastykuje.

– Cudnie. Dziękuję ci w imię Boga! Wszystko idzie po jego myśli! – Duchowny ucieszył się jak dziecko.

– A tak skoro mamy chwilę... czy słyszał ksiądz o kradzieżach? – zagadnął Amadeusz. Karol zasępił się zaniepokojony.

– Tak. Biedna dusza... modłę się za nią, by odnalazła spokój.

– Nie wie ksiądz, kto to może być?

– Nie wiem... pewnie jakiś potrzebujący. Gdyby do mnie przyszedł, to sam dałbym mu wszystko, o co by tylko poprosił, nie musiałyby kłaść tych pieniędzy...

– Pieniądzy? Ktoś ukradł pieniądze?

– Ojej, zagalopowałem się. – Ksiądz Karol podrapał się po głowie. – Od jakiegoś czasu znikają nam pieniądze z ofiał wielnych. Mieliśmy za to wylemontować dach, któły przecieka, ale cóż...

– Kiedy ksiądz się zorientował, że pieniądze znikają?

– Zawsze zamykam je w metalowej kasetce, na kłódkę. Codziennie jest colaz mniej banknotów, a kłódka zamknięta jest z nie tej stłony. Albo w ogóle nie jest zamknięta.

– Nie z tej strony? – zdziwił się Amadeusz. Brzuch mu zaburczał, czuł, że tajemnica czai się tuż za rogiem.

– Jestem lewolęczny, więc zawsze zamykam ją tyłem do siebie. A gdy przychodzę nad lanem, to jest założona przodem do mnie.

– Czy ktoś jeszcze ma klucz do kłódky?

– Nie... tylko ja. – Ksiądz Karol westchnął. – A przecież jestem taki ostłozny. Zawsze odwieszam klucz na ścianie w zakłystii...

Amadeusz prawie parsknął z niedowierzenia.

– A czy dużo osób wie o tym kluczu?

Karol podniósł na niego swoje zatroskane oczy.

– Pani Wagnel opowiadała mi o twoich wyczynach w wielkim mieście, o tym, jak pojmałeś zabójcę. Jednakże tutaj nie potrzebujesz tego łobić. Taka jest wola boża. Jeśli ma to ulatować jakieś dziecko od śmielci głodowej, to niech i dalej dach przecieka.

– A próbował ksiądz zmienić kłódky? Chować klucz pod poduszkę? – Amadeusz nie ustępował. Czyżby to był jeden i ten sam złodziej? Podkładał tylko część pieniędzy...

– Zostawmy to, Amadeuszu. Taka była wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba. – Ksiądz wrócił do polerowania organów. – Piękne, nieplawdaż? Umiałbyś na nich zagłać?

– Nie wiem. – Umysł Amadeusza był już gdzie indziej. Po co złodziej miałby kraść i pieniądze, i owoce? A może było ich kilku? Ale po co? Dla pieniędzy? – A ile mniej więcej ginęło pieniędzy? Tak na oko?

– Trzydzieści do cztełdziestu złotych dziennie – odpowiedział od razu ksiądz. Musiał w takim razie dokładnie przeliczać datki i całkowite sumy ofiarowane przez parafian. Dlaczego więc nie zabezpieczał się lepiej?

– A ile ksiądz ma pieniędzy w kasetce?

– Amadeuszu! – Karol przestał polerować i spojrział na niego zaskoczony.

– Pytam tylko, żeby ustalić mniej więcej, co się wydarzyło.

– To i tak nie usłławiedliwia... – Wpadł w swój ton, którym zawsze szerzył ewangelię i którego używał, spowiadając.

– Proszę księdza. Chcę pomóc. – Amadeusz westchnął. Nie miał siły na dalsze

protesty, ponieważ cała energia poszła na Francję.

– Wiem, że chcesz, dziecko – westchnął Karol i wcisnął klawisz organów. Kościół wypełnił dźwięk „mi”. – Zbielamy na dach. Mam w tym momencie dwanaście tysięcy złotych. Około.

– W tej kasetce?

– Tak.

– I zginęło tylko trzydzieści, czterdzieści złotych?

– Dziennie. Przez jakiś czas.

– Co nam daje... – Amadeusz szybko przeliczył w głowie – dwieście dziesięć złotych. Tygodniowo.

– Czyli metl dachu. – Karol zaczął pucować klawisze z miłością. – Kocham ten kościół. Chcę dla niego jak najlepiej. Ale jeśli Bóg chce inaczej, to nie mnie się sprzeciwiać. Chciałem, żeby na Boże Ciało przyjechało dużo ludzi, żeby ofiadowali nam coś na kościół...

– Stąd te chóry i wyszywanie obrusów?

– Tak. – Ksiądz się ożywił i spojrzął radośnie na Amadeusza. – Będzie telewizja, będzie też plezydent miasta, dzieci zaśpiewają, a Bóg ześle nam pieniądze. – Uśmiechnął się pełen nadziei.

– Być może – mruknął Amadeusz pod nosem. Zagadka zaczynała się rozrastać... Znowu będzie miał co robić. W nagrodę za ten trop kupi sobie czekoladę. Albo dwie. Albo osiem.

Pożegnawszy się z księdzem, poszedł do sklepu, gdzie czekał na dzieci, z którymi się umówił. W międzyczasie zdążył zjeść sześć tabliczek czekolady i porządnie zgłodnieć. Marzył o obiedzie mamusi, o tym, co dzisiaj sobie przygotowują. Może flaczki? Albo placki ziemniaczane z buraczkami i sosem gulaszowym? Koniecznie posypane serem żółtym i oregano. A na deser ciasto. I może jeszcze zupa. Nabrał ochoty na grzyby. Borowikowa zupa na gęstej śmietanie, posypana świeżo ściętym koperkiem, z dużymi kawałkami ziemniaków... Do diaska. Znowu ten głód. I potem przypomniał sobie o gołąbkach. Jego umysłem zawładnęła sprawa złodzieja, przez co zapomniał już o kapuście i o schabie...

Zaczął myśleć nad tropami, które pojawiły się tego dnia. We wsi grasował złodziej. Kradł tylko drobne rzeczy: owoce i warzywa, z tym że zawsze połowę, a drugą zbierał i zostawiał w koszu właścicielowi. Do tego codziennie w kościele giną pieniądze. Drobne kwoty, ale giną. Może powinien zasugerować księdzu, żeby zainstalował kamerę? Już sobie wyobraził jego minę. Taka wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Dziwne było to, że żaden z mieszkańców nie widział złodziejaszka. Było to niebywałe w tak małej miejscowości, gdzie starsze panie mają słuch wyczulony na wszystko. Psy nie ujadają... czyli musi to być ktoś ze wsi. Ktoś, kogo znają wszystkie psy. Ale kto?

Usłyszał melodię *Eine kleine Nachtmusik* i się skrzywił. Jak tak dalej pójdzie, to całkowicie znienawidzi klasykę. Ujrzał Dżesikę, Brajana, Banana i Mundiala, jak idą drogą, wlokąc za sobą swoje tornistry, i podśpiewują pod nosem:

*Franco, zdychaj, zdychaj Franco, pa!
Szkoła bez ciebie nie będzie taka zła.
W nosie masz gile, nie lubimy cię,
Z chęcią kopniemy cię
Z całej naszej mocy
W ten chudy, brzydki, stary, zakrzywiony, pokręcony zad!*

Amadeusz uśmiechnął się pod nosem. Każdy potrzebował czegoś na odreagowanie. Nawet dzieci.

– Dzień dobry! – Uśmiechnął się serdecznie.

– Dzień dobry, panie Amadeuszu – powiedział grzecznie Banan, a reszta dzieci kiwnęła głowami. – Idziemy na lody?

Wbiły w niego wyczekujące spojrzenie. Ich chęć na lody była prawie że namacalna.

– Oczywiście – parsknął śmiechem.

Kupił każdemu po lodzie, a nawet wyraził zgodę na kolejne. I gdy tak siedzieli – ramię w ramię, lód przy lodzie – Amadeusz stwierdził, że jest szczęśliwy. I że przetrzyma Francę, żeby móc jakoś pomóc dzieciom.

– Franca była strasznie wściekła po tym, jak pan poszedł – powiedział spokojnie Mundial, liżąc rozek.

– Tak, używała strasznie dużo epitetów! Strasznie! – Brajan machał rękami, pokazując, jak dużo według niego to było.

– I zadała nam dużo pracy domowej – dodała jego siostra.

– Czyli tyle! – Jej brat zamachał rękami, ponownie ilustrując ile.

– No, kompletnie jej odbiło. – Banan wzruszył ramionami, wgrzyzając się w swojego magnum. Zażyczył sobie najdroższego loda. Pewnie zawsze o nim marzył, ale nigdy nie było go stać, żeby go kupić.

– Nie przejmujcie się nią. Skończcie szkołę i zapomnijcie, że ktoś taki w ogóle istniał – poradził im Amadeusz.

– Tak zrobimy. – Mundial poprawił okulary na nosie.

– A powiedzcie mi... Słyszeliście może o złodzieju, który nęka Gawrych Rudę?

– Tak! – Wszyscy pokiwali głowami.

– Macie jakieś podejrzenia? Słyszeliście coś? – Dzieci nikt nigdy nie pyta, bo uznaje się, że nic nie wiedzą, ale Amadeusz miał przecucie. Żołądek grał mu walca.

– Ja chyba... – zaczęła Dżesika, ale Brajan uciszył ją gestem. – Nieważne.

– Mi możecie powiedzieć – przekonywał Amadeusz.

– Za mało pana znamy – rzekł Mundial, wymachując swoim różkiem.

Banan z zawstyżeniem spojrzał na swoje za duże buty. Tak samo Dżesika

unikająca wzroku Wagnera. Źle do tego podszedł. Wiedział już, że nic od nich nie uzyska. Co takiego mogły wiedzieć dzieci? Albo co takiego mogły widzieć?

Amadeusz próbował przekonać dzieci do rozmowy we wtorek i środę, kompletnie ignorując złośliwe komentarze Francy pod jego adresem oraz umizgi Gizeli. Jadł wszystko, na co miał ochotę, i czuł się naprawdę dobrze. Mamusia wynajdywała mu coraz to nowsze zadania, tak że nie miał kompletnie czasu na zastanawianie się nad tożsamością złodzieja. Pozbierać, pociąć, zanieść, podnieść, podać, przebrać, przeprać... Roboty było co niemiara.

W końcu nadszedł czwartkowy ranek. Procesja miała zacząć się o godzinie dziesiątej, więc mamusia zwlekła go z łóżka o siódmej i pojechali do kościoła. Po drodze złamali chyba z milion przepisów, ale mamusia była nieugięta.

– To oni niech się nauczą jeździć. Nie ja! – stwierdziła, wyprzedzając parę dzieci na rowerach i trąbiąc na nich przeraźliwie.

Po kilku minutach, które wydawały się godzinami, dojechali wreszcie do kościoła. Był on cały przystrojony kwiatami oraz banerem „Zbieramy na dach kościoła” z obrazkiem Maryi oraz dzieciątka Jezus wrzucających grosik do skarbonki.

– Ja zaparkuję, a ty idź, zobacz, czy czegoś księdzu nie potrzeba.

Nie musiała mu więcej powtarzać. Szybko wysiadł z auta i z ulgą ruszył ku wejściu. Wokół kręciło się już sporo ludzi, podlewając kwiatki i myjąc płot z kurzu. Uśmiechnął się radośnie do sąsiadek, uparcie ignorując wdzięczącą się Gizelę.

Nagle usłyszał krzyk. Rozejrzał się dookoła, ale panie nie wydawały się zaalarmowane. Brzuch mu zaburczał. Na drżących z ciekawości nogach podreptał na zakrystię. Drzwi były otwarte. Ostrożnie je uchylił i... zobaczył trupa.

Małgorzata Franz leżała z rozrzuconymi rękami i nogami, a jej wzrok był skierowany na ścianę. Wokół niej uzbierała się spora kałuża krwi. Jedna jej ręka była zaciśnięta w pięść, a druga wyciągniętym palcem wskazywała na drzwi prowadzące do kościoła. Jej szeroko otwarte oczy ziały nienawiścią i czymś jeszcze. Summa summarum, jej ciało prezentowało makabryczny widok i za życia, i po śmierci. Amadeusz zrobił jeden krok w stronę trupa i zrobiło mu się niedobrze. Spojrzał na solidny, drewniany stół i zobaczył ślady krwi. Najwyraźniej upadła, uderzyła głową o kant i się wykrwawiła. Na śmierć.

Doigrała się. Nawet złego licha kiedyś weźmie. Poczł drobnią satysfakcję, która została natychmiast zganiona przez jego burczący brzuch. Umarła bolesną śmiercią. Nie wiadomo, jak długo od uderzenia była jeszcze przytomna. Pochylił głowę; na znak szacunku, nie dlatego, że współczuł Francy. Powinien zadzwonić na policję. Ale najpierw popatrzy sobie na jej martwe ciało. Wyciągnął komórkę z kieszeni i zrobił jej zdjęcie. Brzuch zaburczał mu ponownie. Amadeusz był strasznym człowiekiem. Westchnął i wybrał numer 112.

– To nie ja. – Usłyszał za sobą trzęsący się głos. Obrócił się zaskoczony i ujrzał sylwetkę człowieka chowającego się za drzwiami wejściowymi. Mężczyzna był dziwnie znajomy, ale nie dało się go rozpoznać, ponieważ twarz schował w dłoniach, a jego ciało zakrywała sutanna. Obok niego leżała torba, z której wyleciała zielona stuła.

– Pan Wikary. Wiesław – przypomniał sobie Amadeusz. Wikary zaczął szlochać. – Będzie dobrze... Ojciec ją znalazł? – Zrobił krok w jego stronę, nie chcąc go przestraszyć.

– Niech Pan będzie pochwalony na wszystkie wieki, amen. – Wiesław wreszcie odsłonił twarz. Był to człowiek, którego nie dało się zapomnieć: miał na twarzy myszkę wielkości pięćdziesiątówki oraz diastemę. Ten ciekawy obraz uzupełniał fakt, że był łyśy jak kolano, tylko z uszu sterczały mu resztki rudawych włosów.

– Czy widział ksiądz kogoś? Kogokolwiek? – Amadeusz zrobił kolejny krok w jego stronę. Mężczyzna zadygotał, a w drzwiach stanęła nagle Gizela.

– Amadeuszu... gdzieś ty się podział, ty niedobry, niedobry... – Kobieta zatrzymała się, spojrzała na Amadeusza, następnie na trupa Francy za nim, wrzasnęła wniebogłosy i zemdląła.

– Co tu się... – Mamusia przybiegła prawie natychmiast. – Gizela, co... Duszku... – Ujrzała trupa Francy. – Duszku...

– To nie ja, mamusiu – zaprotestował nieskładnie. Co on najlepszego zrobił? Powinien od razu kogoś zawołać i zadzwonić na policję, a nie dywagować nad trupem

byłej nauczycielki.

– Oczywiście, że to nie ty! – Mamusia przekroczyła wściekle próg i mocno chwyciła go za ucho. – Puścić cię do miasta! I co ze sobą przywlokłeś? Diabła! – Splunęła kilka razy na podłogę.

– Boli, proszę cię... – Amadeusz próbował się jej wyrwać, ale tylko uderzył stopą o próg.

– Ja ci zaraz dam zabawę w detektywa! Nikt nienaturalnie nie zginął w Gawrych Rudzie, odkąd Rosjanie się stąd wynieśli zaraz po wojnie! Diabła przyciągnąłeś! Ja powinnam wiedzieć, że te duże miasta to nic, tylko Sodoma i Gomora... A ten Wrocław to już najbardziej!

– Mamusiu! Trzeba zadzwonić na policję! – jęknął słabo, bojąc się ruszyć o centymetr.

– Kto to widział? – Zastygła na moment i zajrzała za drzwi. – To wikary także! Niech wstaje i się nie wygłupia! Dwa chłopcy, a głupsze od kury! – Chwyciła ślaniającego się wikarego i z siłą, o którą nie można było podejrzewać pięćdziesięcioletniej kobiety, wyciągnęła ich za drzwi, po czym je zatrasnęła.

– Mamusiu, ktoś będzie mógł wejść na zakrystię od strony kościoła...

– Nic mnie to nie obchodzi! – Puściła jego ucho. – Budź mi tu zaraz Gizelę. – Na swoje szczęście Gizela zemdląca tuż za progiem.

– Trzeba najpierw zadzwonić po policję. – Amadeusz wyciągnął telefon.

– Zaczniemy od ważniejszej rzeczy. Budź mi no Gizelę.

– Kiedy nie wiem jak...

– Budź mi ją, ale już! – Policja rzeczywiście może poczekać. Podniósł Gizelę za ramiona i zaczął nią potrząsać.

– Nie tak ostro, złotko, jeszcze nie jestem gotowa... – wymamrotała kobieta i szeroko otworzyła oczy. – Amadeusz? Miałam taki dziwny sen...

Pomógł jej wstać.

– Gizela, leć no po wójta. Amadeusz, możesz teraz dzwonić po policję.

– Dlaczego? – Gizela spojrzała niemądrym wzrokiem na mamusię. Jej zielona sukienka miała teraz na sobie plamy od błota i wyglądała komicznie.

– Bo tak powiedziałam. Powiedz mu, że mamy diabła we wsi. A potem leć po księdza Karola. Albo odwrotnie. W sprawach diabła najpierw trzeba nam księdza.

– Niech zstąpi Duch twój... – Wiesław zaczął nucić, ale natychmiast został spoliczkowany przez mamusię.

– Bądź chłop, a nie baba! – rozkazała.

– Oczywiście. – Gizela pokiwała głową i oddaliła się szybkim krokiem.

Przed wejściem zostali tylko mamusia, wikary i Wagner. Udało mu się wreszcie dodzwonić na komendę policji, która poinformowała go, że skoro jest trup, to nie ma pośpiechu, bo nie mają radiowozu do wysłania i trzeba będzie poczekać. A trup nie ucieknie, bo i tak nie żyje.

– Dobrze. – Mamusia puściła Wiesława, który troszkę wyszedł z szoku. – To teraz opowiadajcie mi, co tam się stało.

– Usłyszałem krzyk i...

– Nie ty, Amadeuszu. – Mamusia była wściekła. Tylko wtedy używała pełnej wersji jego imienia. – Wikary Wiesław.

– Poszedłem po krzyż, żeby go przygotować do procesji... i chciałem zanieść torbę... – powiedział drżącym głosem. – I gdy wszedłem... ona tak... tam... sobie leżała... i patrzyła się na mnie jak Jezus umarły na krzyżu... Wystraszyłem się i krzyknąłem.

– Ja to usłyszałem – wtrącił Amadeusz.

– Dobrze. Rozumiem. – Mamusia pokiwała głową i odwróciła się w stronę swojego syna. – Amadeuszu, zabraniam ci jakiegokolwiek kontaktu z tą biedną martwą duszą. Ani śledzenia, ani szukania diabła.

– Ale...

– To, że raz ci się udało, nie znaczy, że możesz tak się zachowywać w domu. Masz szlaban – powiedziała stanowczo. – Zaprowadzę ojca napić się wody, bo jest błądy jak kreda. A ty masz tu stać i pilnować, żeby nikt nie wszedł i nie zdenerwował się niepotrzebnie. Szczególnie dziecko. Broń Boże. – Wzięła mężczyznę pod ramię i odeszła.

Amadeusz oparł się o drzwi. Może mu się to śni? Kto mógłby zabić Francę? Nie, złe pytanie. Kto by jej nie zabił? Dręczyła całe pokolenia. Każdy miał powód, żeby ją zabić. Ale dlaczego teraz? Dlaczego w ten sposób? Czy to był wypadek, czy zaplanowane morderstwo? A co, jeśli poślizgnęła się, uderzyła w głowę i po prostu... umarła? I co robiła na zakrystii w nocy?

W oddali zobaczył Gizelę, która wskazała księdzu Karolowi Amadeusza i poszła szybkim krokiem do wsi szukać wójta. Jego spojrzenie napotkało zatroskany wzrok Karola, który podbiegł do wejścia na zakrystię i się przeżegnał.

– Boże najświętszy... ulituj się nad tą biedną duszą. – Uklęknął i pochylił głowę.

– Proszę księdza... nie wchodził ksiądz w ogóle na zakrystię? – zapytał Amadeusz, tknięty nagłym przeczuciem. Brzuch zaczął mu burczeć, a głowa podpowiadała, że to musi być morderstwo.

– Cisza, Amadeuszu. Telaz się modlimy – złążał go delikatnie Karol i wyszeptał pod nosem modlitwę „Ojcze nasz”, po czym wstał z klęczek. – Wczolaj spędziłem cały wieczór u Kowalskich, lobiąc ostatnie namaszczenie pani Kowalskiej... Dzięki Bogu wczoraj nie umiała, więc lodzina się ładuje.

– I ksiądz wczoraj nie wracał na zakrystię?

– Dlaczego pytasz, Amadeuszu? – Oczy Karola wyrażały troskę.

– Po prostu się zastanawiam, kiedy umarła.

– Amadeuszu... widocznie Bóg tak chciał. – Ksiądz westchnął i przeciągnął dłoń po swojej twarzy. Wyglądał na dziesięć lat starszego, niż w rzeczywistości był.

– Albo człowiek – zastanowił się Amadeusz. Słońce wyszło zza chmur i ukazało ludzi, którzy nieświadomi tragedii, która zdarzyła się w kościele, z radością rozkładali kwiaty i wiązali porporczyki i wstążeczki. – Wikary ją znalazł.

– Biedny Wiesio... – Karol pochylił głowę w modlitwie.

– Dzisiaj rano też księdza nie było na zakrystii?

– Amadeuszu... podejrzewasz mnie? – Karol spojrział mu prosto w oczy. Czały się w nich łzy. Wagner przypomniał sobie, jak kiedyś ksiądz popłakał się nad martwym kotem, którego ktoś potracił przy drodze.

– Nie, ale zastanawiam się, czy mógł ksiądz coś widzieć... lub słyszeć. – Nagle przypomniał sobie o tajemniczych znakach, które zostawiła po sobie Franca. Czy rzeczywiście były to znaki?

– Nie, chłopcze, wczolaj położyłem się od lazdu po powlocie... Nawet nie wiem, któła to była godzina.

– A czy wie ksiądz, co oznacza zaciśnięta pięść? I palec wskazujący?

– Nie lozumiem pytania... – westchnął. – Pięść oznacza wściekłość. A palec wskazuje.

– Czyli skoro pokazywała na wejście do kościoła... – Kiszki Wagnera pracowały na pełnych obrotach. Czuł już, jak trawi całe swoje śniadanie. W swoich najsmielszych snach nie podejrzewał, że drugi raz w miesiącu będzie świadkiem morderstwa! Bo że to było morderstwo, teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

– Amadeuszu... zmieniłeś się. – Karol poklepał go po ramieniu. – Kiedyś byłeś grzeczny, zawsze patrzyłeś na świat z lękiem i uległością, a teraz... Włocław cię zmienił. Nie podobasz mi się taki. Miasta rzeczywiście są takie skalane grzechem, jak pokazują w selialach.

– Przepraszam. Nie chciałem.

Amadeusz zwiesił głowę jak za starych, dobrych czasów. Rzeczywiście się zmienił, zmienił się nie do poznania. Wchłonał większość negatywnych cech muzyków, z którymi przebywał. Pyskował, stał się arogancki i – na Boga! – zrobił zdjęcie trupa! I jeszcze się z tego cieszył! Niewątpliwie oszalał. Oszalał. A jednocześnie... podobał się sobie taki. Brzuch mu zaburczał na potwierdzenie jego słów.

– Kiedyś zapłakałbyś nad swoją stałą nauczycielką. Dzisiaj tlaktujesz wszystkich jak wlogów. Nie tędy dloga, dziecko. Daj się wykazać policji. Oni się na tym znają.

– Przepraszam. – Przełknął ślinę zawstydzony. Czy powinien wykasować zdjęcie Francu? Głowa go zabolala w miejscu, gdzie kilka dni temu nauczycielka uderzyła go fletem. Nie, nie wykasuje go. Za każdym razem, gdy poczuje żal nad jej losem, to na nie popatrzy i mu przejdzie. Umarła tak, jak żyła. Sama i w wielkim bólu. Na tym świecie istnieje jednak sprawiedliwość.

– To była taka nieszczęśliwa dusza... altystka, któła nie znalazła sobie miejsca w tym świecie.

– I wyżywała się przez to na innych. – Amadeusz przypomniał sobie wszystkie blizny, które przez nią miał. Wszystkie przestraszone twarze kolegów i koleżanek, które towarzyszyły mu przez cały okres szkolny. Wszystkie wyzwiska, nienawiść, której nie kryła wobec dzieci...

– Trzeba będzie ją pochować. – Ksiądz położył rękę na klamce, chcąc wejść na zakrystię, ale Amadeusz go powstrzymał.

– To jest miejsce zbrodni. Nie wolno tam wchodzić – powiedział szybko.

– Myślę, że na to już za późno – westchnął Karol i otworzył drzwi.

Na zakrystii w drzwiach prowadzących do kościoła stała grupa dzieci z wytrzeszczonymi oczami, a za nimi ich bezradni rodzice. Widok byłby komiczny, gdyby nie trup leżący pośrodku zakrystii i kałuża zastygłej krwi.

– Mieliśmy mieć plóbę z samego lana – westchnął ksiądz.

Rodzice starali się szybko wyciągnąć dzieci z pomieszczenia, ale było to zadanie przypominające oczyszczenie stajni Augiasza. Kiedy tylko pierwszy szok minął i dzieci rozumiały, że właśnie spełniły się ich najskrytsze marzenia, zaczęły biegać dookoła ciała, wiwatować i stopami trącać martwą Francę. Część dziewczynek płakała, ponieważ nigdy nie widziała martwego człowieka, część tuliła się do matek, a część dołączyła do chłopców w ich tańcu radości.

– Zadepczą miejsce zbrodni! – Amadeusz złapał się za głowę. – Dzieci, proszę, wyjdźcie! Nie powinnyście tu być! – Kiedy jego prośba nie wywołała żadnej reakcji, zwrócił się do rodziców: – Zabierzcie ich stąd, proszę!

Jego wzrok spoczął na znajomych twarzach osób, z którymi kiedyś chodził do szkoły. I zobaczył w nich to samo, co sam poczuł, kiedy zobaczył trupa Francę. Ulgę. Radość. Szok. Niedowierzenie. Dorośli też chcieli popatrzeć, ponapawać się widokiem wroga, który wydawał się niepokonany, a który poległ. I to w kościele, na świętej ziemi.

– Moi dlodzy! – zawołał donośnym głosem ksiądz Karol i uciszył towarzystwo. – Płoszę o uszanowanie zmarłej. Spotkajmy się na zewnątrz.

Dzieci przestały biegać i ociągając się, wraz z dorosłymi wyszły z zakrystii. Zadeptane zostały wszystkie ślady po ewentualnym mordercy, jakie mogły tam zostać. Kilkoro dzieci wdepnęło w krew i wszędzie widniały krwawe odciski stóp. Włosy na głowie Francę zostały potarמושzone, ktoś nawet wsadził jej do nosa ołówek.

Karol podszedł do trupa Małgorzaty i z namaszczeniem zamknął jej oczy. Zmówił pod nosem krótką modlitwę i spojrzął bezradnie na Amadeusza.

– Kiedy przyjedzie policja, nie będą w stanie złapać sprawcy – powiedział flecista.

– Jeśli Bóg da, to złapią. Biedny człowiek, zmuszony do życia w grzechu... Chciałbym, aby ta biedna dusza odnalazła spokój i wybaczenie.

– Jedno wiem na pewno – rzekł spokojnie Amadeusz, przyglądając się beznamiętnie trupowi. – Mordercą jest ktoś z Gawrych Rudy.

– Stąd? – Ksiądz się przeżegnał.

– Prawdopodobnie jej były uczniem. Ktoś, kto miał jej dość. Nie było to zaplanowane. Myślę, że doszło do szarpaniny. Znajac Francę, pewnie sprowokowała mordercę, uderzyła go, a on jej oddał. Myślę, że ją popchnął – rzekł, przyglądając się jej twarzy.

– Boże mój, dzieciaku! Skąd ty wiesz takie rzeczy? To przez ten Włocław... to musi być przez to wielkie miasto.

– Nie ma śladów na policzkach, więc nie uderzono jej w twarz. Ktoś ją musiał

pchnąć, potknęła się i nieszczęśliwie upadła na kant stołu – stwierdził. Brzuch mu grał marsza. Wagner miał rację. Musiał mieć.

– Dlaczego wszędzie szukasz zła? Dlaczego wszystko jest dla ciebie złe i każdy jest podejrzanym? Chłopcze, jestem zmaltwiony. – Ksiądz westchnął przeciągle. Amadeusz się zawstydził.

– Dlatego, że dojrzał – usłyszeli głos mamusi, która przez otwarte drzwi weszła na zakrystię. – Wikary leży w łóżku, dałam mu melisy na sen. Co robimy z Bożym Ciałem? I procesją? – Spojrzała na Francę i odwróciła wzrok. Od tej pory patrzyła tylko na sufit. Amadeusz dobrze znał swoją mamę. Nie miała skrupułów, nie bała się niczego, ale w tym momencie była przerażona. Jej dłonie drżały i mówiła wolniej niż zazwyczaj.

– Płocesia... Pan mój mnie splawdza. – Karol chwycił się za głowę. – Tyle dusz jest zapłoszonych, tyle dusz chce przyjść... Musimy kontynuować. Choćby ku czci zmarłej.

– A chór?

– Zaśpiewają. Uczczą nieboszczkę. – Ksiądz otarł pot z czoła, przeżegnał się i poprawił koloratkę.

– Duszek ich poprowadzi. Wie jak – stwierdziła mamusia i mając już gotowe swoje rozkazy i plan działania, chwyciła Amadeusza za ramię i wywlokła z zakrystii.

Policja przyjechała pół godziny później. Amadeusz nie miał okazji przyglądać się pracy funkcjonariuszy, ponieważ mamusia zaprzęła go roboty. Teraz, gdy Franca nie żyła, musiał:

1. Zebrać dzieci, które miały śpiewać w chórze. Nie było to proste, ponieważ część została zabrana przez rodziców do domu, a część pobiegła bawić się w lesie lub wykąpać w jeziorze.

2. Uspokoić rodziców, że dzieci nie będą miały traury, kiedy będą śpiewać.

3. Znowu pozbierać dzieci, które uciekły, w trakcie gdy przekonywał rodziców, że nie będą miały traury.

4. Przekupić Banana, który wypłynął na środek jeziora, że jeśli zaśpiewa, to Amadeusz kupi mu paczkę chipsów.

5. Kupić paczkę chipsów dla wszystkich dzieci, które usłyszały, jak targował się z Bananem.

6. Poczekać, aż dzieci zjedzą chipsy.

7. Wyprać cztery białe koszulki, które zostały zabrudzone przez paprykowe chipsy.

8. Przeprzić rodziców dzieci, że bez ich zgody kupił im chipsy.

9. Wydrukować słowa do piosenki, których zapomniało dziesięcioro dzieci.

10. Uspokoić Brajana, który dostał czkawki.
11. Rozdzielić Mundiala i jego starszego kolegę, którzy się pobili.
12. Nosić Dżesikę na plecach, ponieważ wdepnęła w krew Francy i bała się chodzić po ziemi.
13. Znowu przeprosić rodziców dzieci, że mają opóźnienie z próbą i że to wszystko przez jego nieudolne wysiłki zaprowadzenia porządku.

Kiedy już zebrał dzieci, trudno mu było wymusić na nich dyscyplinę. Śpiewały półgębkiem albo kręciły się w miejscu, jeden chłopiec zaczął jeść gile z nosa, a starszy syn Gizeli robił z bratem zawody charkania w dal. Amadeusz zaczął rozumieć, dlaczego Franca nienawidziła swojej pracy. On przebywał z dziećmi zaledwie trzydzieści minut, a już był potwornie zmęczony. Jego brzuch ciągle burczał, domagając się pożywienia i robiąc mu wyrzuty, że sam nie dostał chipsów. Kiedy wreszcie udało mu się przekonać dzieci, że jak ładnie zaśpiewają, to im wszystkim kupi lody, zrozumiał, że dyrygenci wcale nie mają tak łatwo. Trzeba być odpowiednio znienawidzonym i wzbudzać taki strach, żeby przymusić dzieci do współpracy. Bo przecież ile można przekupywać?

Po dwóch powtórkach materiału – piosenki napisanej przez świętej pamięci Francę – stwierdził, że ma dość i że lepiej nie będzie. Piosenka przypominała wycie wilka do księżyca, jakby skarżył się, że ma zranioną łapę. Każdy śpiewał na inną melodię i każdy zmieniał rytm. Zawsze będzie mógł zrzucić winę za nieudany występ na traumę po stracie nauczycielki.

Amadeusz zarządził koniec próby i poprosił rodziców, żeby przyprowadzili dzieci na dwunastą – kiedy przybędą telewizja oraz goście.

Brajan podszedł do niego z lizakiem w buzi.

– A zna pan to? – Pomachał mu słodyczem przed buzią i zaryczał: – KSIĄDZ KAROL KUPIŁ GIZELI I KAROLINIE KORALE KOLORU KORALOWEGO!

– Nie wrzeszcz tak, bo bębni mi pękają – zrugął go Mundial, który właśnie podszedł, poprawiając okulary.

– Kto to wymyślił? – Amadeusz schował flet do kieszeni.

– A ja znam jeszcze jeden. ONA CZUJE WE MNIE PINIĄDZ...! – zaintonował Banan, ale został natychmiast stuknięty w ramię przez Mundiala.

– Zamknij się! Mówiłem ci, że nie umiesz śpiewać!

– A ja ci mówiłem, żebyś nie dotykał mnie w szczepionkę, ty Karolu, ty! – Banan zabrał Mundialowi okulary.

– Karolu? – zdziwił się Amadeusz.

– Ja ci dam, ty neandertalczyku! – Mundial na ślepo próbował złapać Banana, ale ten był za szybki.

– Trzeba było nie walić w szczepionkę! Jak teraz umrę, to zobaczysz! – wrzasnął Banan, a jego przyjaciel zamachnął się i wytrącił mu lizaka z dłoni. Na chwilę zapadła cisza. Amadeusz widział, jak na twarzy Banana pojawia się najpierw szok, następnie niedowierzanie, a później wściekłość.

– Co się stało? Nic nie widzę! – Mundial na ślepo próbował znaleźć przyjaciela, ale cały czas wpadał na Amadeusza.

– Zabiję cię! Misiąc na niego zbierałem! – Banan rzucił okulary kolegi przed siebie i skoczył mu na plecy. Chłopcy zaczęli się boksować, kopać i ciągnąć za włosy. Bili się tak, dopóki nie podbiegło do nich dwóch mężczyzn i ich rozdzieliło. Amadeusz poznał ich od razu. A oni Amadeusza.

– Staszek? – zapytał z niedowierzaniem ojca Banana.

Stanisław Kowalczyk był jego kolegą z klasy. Kiedyś nazywano go „Szczęściarz”, ponieważ nie miał przedniego zęba i dzięki temu potrafił gwizdać niesamowite melodie. Wagner po raz ostatni usłyszał o nim wówczas, gdy ten podobno grał w suwalskiej drużynie piłki nożnej i odnosił sukcesy. Teraz stał przed nim mężczyzna bez jednego zęba, który ze szczęściem miał tyle wspólnego co nic. Jego czarne niegdyś włosy przerzedziły się i posiwiały, a sylwetka zgarbiła się, jakby przyciągnięta ku ziemi ciężarem dużego brzucha, którego Staszek zapewne nabawił się, pijąc ogromne ilości piwa. Ubrany był w swoją najlepszą koszulę, która była na niego za mała i której nie mógł do końca zapiąć na piersi. Na twarzy miał ślady po ospie, a nos czerwony od picia.

– Wagnerek? Kopę lat, stary! – Uścisnęli sobie dłonie zadowoleni. Staszek miał cienie pod oczami i wyglądał, jakby nie miał nic do stracenia.

– Wagnerek?

Drugi mężczyzna nie zmienił się w ogóle od czasów szkolnych. Krystian Kowal był mały i chudy, a gdy dorósł, nadal był mały i chudy. Widać było, że mu się powodzi, bo miał na sobie świeżo wyprasowaną białą koszulę z logo Nike oraz czarne lakierki, w których odbijało się słońce. Tak jak syn nosił okulary i takim samym gestem jej poprawiał. W szkole nazywali go „Krystian Zakole Oczko”, ponieważ już wtedy miał na głowie zakola w kształcie ludzkiego oka. Nie był najmądrzejszy w klasie, ale zawsze miał smykałkę do mechaniki. Mamusia opowiadała Amadeuszowi, że Krystian skończył klasę mechaniczną i założył swój warsztat samochodowy, ożenił się i postawił dom w Gawrych Rudzie na jakichś dawnych nieużytkach. Krążyła też legenda, że w piwnicy wybudował sobie basen, żeby nie kąpać się w jeziorach jak reszta hołoty.

– Zakole Oczko? – Amadeusz uścisnął serdecznie starego kolegę, czując ogromną ilość perfum, którymi ten był spryskany, a które nie były w stanie ukryć zapachu smaru.

– Tato, Banan mi wyrzucił okulary! – poskarżył się Mundial, który miał zadrapanie na policzku.

– A on mnie uderzył w szczepionkę! – Banan z trudem powstrzymywał łzy.

– Banan, przynieś koledze jego okulary – polecił Staszek.

– Nie. – Chłopiec odwrócił się plecami do ojca i uciekł.

– Skaranie boskie z tym chłopakiem – westchnął Szczęściarz. – Zwrócę ci koszt okularów, jeśli mój syn je zepsuł. – Wyciągnął z kieszeni plik banknotów dziesięciozłotowych i zacerwienił się, zawstydzony swoim ubóstwem.

– Nie trzeba, stary. – Krystian machnął ręką.

– To były bardzo drogie okulary! Od Hugo Bossa! Tyle to może starczy tylko na benzynę na dojazd do salonu optycznego! – stwierdził podenerwowany Mundial, za co dostał od swojego ojca klapsa w pupę.

– Cicho bądź, smarkaczu! – warknął jego ojciec.

– Ja wiem, gdzie one są, ja je znajdę – ofiarował się Amadeusz, chcąc jakoś rozładować sytuację.

Podszedł w miejsce, gdzie upadły, i podniósł je triumfująco. Okularom nic się nie stało, nie było ani jednego zadrapania.

– Wagner, jak za starych czasów – powiedział Staszek, chowając pieniądze do kieszeni. Ręce nadal mu drżały, zapewne ciało domagało się alkoholu. – Zawsze rozładowywałeś sytuację.

– Może się spotkamy, co? Cała nasza czwórka? Trzeba tylko powiadomić Antka – zaproponował Krystian, trzymając syna za ucho. Okulary znalazły się już z powrotem na oburzonym obliczu Mundiala.

– Szkoda tylko, że spotykamy się w tak tragicznych okolicznościach... – westchnął Staszek Szczęściarz. – Niech no ja tylko znajdę mojego syna. Kości mu porachuję! – Zaciśnął dłonie w pięści. – Taki niesforny dzieciak! Po kim on to ma? – jęknął i potarł szyję, na której znajdował się ślad po siniaku.

Amadeusz przypomniał sobie słowa mamusi o tym, że jego kolega znowu próbował się wieszać, ale go odratowano... Jak ciężko ktoś musi mieć, żeby próbować zejść z tego świata? Jak bardzo nieszczęśliwy musi być?

– Pewnie po tobie, Szczęściarz. – Krystian przyciągnął do siebie wierzgającego syna i pocałował go w czubek głowy. – To co? U mnie o osiemnastej? Zrobimy sobie grillczka i męski wieczór.

– Ja też chcę! – podekscytował się Mundial.

– Jak będziesz starszy, smarkaczu. Leć do matki. – Puścił syna, który pobiegł w stronę kościoła. – Nazwałem go Mundial, bo jak się urodził, był tak okrągły jak piłeczka – zarechotał i przyglądał czarne włosy, które przyliżał sobie żelem.

– Muszę iść znaleźć Banana. – Staszek rozejrzał się zaniepokojony. – Ten chłopiec napyta sobie kiedyś biedy, jak się nim nie zajmę. – Kiwnął im głową na pożegnanie i wolnym krokiem poszedł w stronę lasu. Wyglądał, jakby nosił świat na swoich barkach.

– Ja też już pójdę. Moja różowa trzyma mnie bardzo silną ręką – zarżał i klepnął Amadeusza w ramię. – Mieszkam na Polnej trzynaście a.

– Tam, gdzie są te nowe domy? – Wagner skojarzył nazwę ulicy z tej bogatszej części wioski.

– Tak. Nie pomylisz się. To ten największy. – Krystian się roześmiał. – O osiemnastej. Czuwaj! – Zasalutował i zniknął tak, jak się pojawił, zostawiając Amadeusza samego.

Brzuch Wagnera zaczął burczeć. Powoli zbliżała się godzina procesji i godzina pokazu, na który w ogóle nie był gotowy. Na całe szczęście mamusia zabrała ze sobą

kanapki z ogórkiem i polędwicą, więc był w stanie lekko wypełnić brzuch połową pokrojonego bochna. I z racji tego, że miał kierować chórem i musiał się przygotować, mamusia zezwoliła na to, żeby nie szedł w procesji. Pochód ruszył pół godziny wcześniej, więc Amadeusz miał jeszcze około godziny spokoju. Usiadł na plebanii i w ciszy rozpakowywał kanapeczki, które rano zrobił wraz z mamusią. Wtem poczuł ciężki zapach damskich perfum i skrzywił się w środku.

– Ale historia, co nie? – zagadnęła go Gizela. – Twoja mama ma rację, przyciągasz trupy.

– No dzięki – burknął, wgrzyzając się w chrupiącą skórkę.

Siadła tuż obok niego i wbiła w niego spojrzenie.

– Mnie się tam podoba – szczeękła radośnie i poklepała się po udzie. Dopiero teraz Amadeusz zauważył, że przebrała się znowu w czerwoną sukienkę i miała bardzo duży dekolt, z którego wylewały jej się piersi. Amadeusz nie byłby mężczyzną, gdyby nie spojrzał w tym kierunku – nic na to nie mógł poradzić. To jego prehistoryczne geny przejęły nad nim na chwilę kontrolę. Jego wzrok nie umknął uwadze Gizeli. – Jesteśmy tu teraz sami – powiedziała miękko.

– Nie.

– Ależ tak! Cała wioska jest na procesji. Moi chłopcy noszą baldachim! – pochwaliła się. – Więc nikt nam nie przeszkodzi... jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Nie.

– To ja cię uświadomię... naszego biednego, zakompleksionego Amadeuszka.

Palcami powoli zmierzała od ramienia aż do jego dłoni.

– Nie jesteśmy sami – powiedział między jednym kęsem a drugim i wskazał krzyż zawieszony na ścianie.

– Co? Bóg? Oj, Amadeusz, Amadeusz. Ty to masz pomysły. Zawsze miałeś. Chajtnijmy się – powiedziała radośnie.

– Nie.

– Co „nie”? Przecież idealna z nas para. Ty i ja. Nawet twoja mamusia jest tym pomysłem zachwycona i mówi, że możemy się do niej wprowadzić.

– Nie. – Amadeusz odgryzł kolejny kawałek kanapki.

– Ja wiem, że to poważna decyzja, więc dam ci czas do namysłu. Zdzisio i Kazio cię uwielbiają. A jak chcesz, to możemy sobie zrobić jeszcze małego... Wagnerka.

– Nie.

– Tak? A chciałbyś się dowiedzieć, co powiedziała policja, kiedy tu przyjechała? – Gizela położyła mu nogę na udzie i wyszeptła do ucha: – Co takiego znaleźli?

– Co? – Odłożył kanapkę. Brzuch zaczął mu burczeć.

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

– Nie. – Wbił w nią zaciekawione spojrzenie, licząc na to, że mu powie tak czy siak.

– Oj, Wagner, nie bądź taki. – Zeszła z niego naburmuszona. – Wszyscy na to wyrazili zgodę, tylko nie ty.

– Jesteśmy kuzynami – wyjaśnił jej.

– Nie my pierwsi i nie ostatni w tej wsi. – Wzruszyła ramionami, a jemu znów zaburczał brzuch.

– To było morderstwo?

– Chciałbyś wiedzieć, co? – Mrugnęła do niego. – Pocałuj mnie, a ci powiem.

– Nie. – Brzuch burczał niezadowolony. Sugerował, żeby zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że całuje mamusię w czołko. Tylko tyle może zrobić dla dobra sprawy. Bo że rozwiąże tę sprawę, już dawno zdecydował.

– Na pewno? Oferta ważna jeszcze przez minutę. – Gizela nawinęła pasmo blond włosów na palec i spojrzała na swoje szare, zaostrome paznokcie. Amadeuszowi zrobiło się niedobrze, ale zamknął oczy, wystawił usta jak do pocałunku i zaczął myśleć o maślanecy i o maczaniu ciastek w mleku. O tym, jak chleb rośnie w piecu i jaki odgłos wydaje w buzi kruszonka.

Kilka niezręcznych momentów później Gizela odsunęła się niezadowolona.

– Jakbym całowała własnego brata – skrzywiła się.

– Zgadzam się. – Amadeusz radośnie kiwnął głową. Może wreszcie się od niego odcepi?

– Trzeba będzie więcej ćwiczyć – stwierdziła uparcie.

– A policja? Co z policją? – Powstrzymał się od wytarcia ust, żeby jej nie przepłoszyć.

– A no tak. Jeden z policjantów jest moim byłym... bliskim znajomym – wyjaśniła. – I stwierdzili, że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Wypadek? A nie morderstwo?

– Nie. Pomieszczenie było tak zabrudzone, tyle było materiału genetycznego od dzieci, że nie dało się tego stwierdzić. Ale podobno ich przełożony, który przyjechał tu z Warszawy i ma ogromne doświadczenie, stwierdził, że Franz się potknęła i uderzyła głową o stół. W szoku nie mogła krzyknąć ani nic powiedzieć, więc leżała tam, aż się wykrwawiła na śmierć. Straszne, nie?

– Straszne... – Wagnerowi burczało w brzuchu. Zgadzał się, że właśnie w ten sposób umarła i że to było dziełem przypadku, ale cały czas uważał, że ktoś ją popchnął. Sam nie wiedział dlaczego.

– No... i człowiek zaczyna się zastanawiać... wiesz... o życiu. Jakie jest krótkie. Trzeba kochać i tyle.

– Może... – Myślami był gdzie indziej. – Gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

– Co? – Odsunęła się od niego niezauważalnie. – Po co ci to?

– Zastanawiam się nad wieloma rzeczami... chcę rozwiązać tę zagadkę.

– Ale tu nie ma co rozwiązywać. Krowa miała pecha i zdechła. Tyle. – Gizela wzruszyła ramionami.

– Ale ja muszę poznać prawdę. To jest dla mnie bardzo ważne. – Amadeusz odłożył kanapkę i wbił w nią spojrzenie. Po jego dawnej nieśmiałości nie było żadnego śladu.

– Byłam w domu. – Jej usta się wykrzywiły.

– Cały wieczór?

– Tak. Graliśmy z chłopcami w karty. Potem obejrzałam jakiś serial i poszłam spać.

– Miałaś romans z Karolem? – zapytał ni stąd, ni zowąd, uważnie obserwując jej twarz.

– Co? – Spojrzała na niego jak na wariata. – Skąd takie debilstwo przyszło ci do głowy?

– Banan śpiewał mi pewną piosenkę... – Nie wiedział, czemu ją o to zapytał. Brzuch mu burczał zachwycony. – Ksiądz Karol kupił Gizeli i Karolinie...

– Co? Pierwsze słyszę – roześmiała się. – Nie interesują mnie księża, a szczególnie tacy starcy jak Karol. – Kiedyś Amadeusz uwierzyłby jej na słowo, jednak po tym, czego był świadkiem w filharmonii, po tym zepsuciu i zboczeniach nie był już taki naiwny. Młoda ze starym? Czemu nie?

– To czemu śpiewał...

– Dzieci są głupie i mają za dużą wyobraźnię. Może moje imię pasowało im do piosenki? Bo było rytmicznie?

– Ale...

– Wiesz co, zmęczyłeś mnie tymi podejrzeniami. Jestem niewinna, to był wypadek, Franca nie żyje i kropka. – Wstała z krzesła niezadowolona.

– Gizela... – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Koniecznie musiał poznać prawdę.

– Pogadam z tobą, jak się uspokoisz i przestaniesz podejrzewać niewinnych ludzi. Nie kręci mnie zepsucie, pomimo tego, co sobie o mnie myślisz – stwierdziła, obróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając Amadeusza samego z papierkami po ośmiu kanapkach, które zjadł.

Znał Gizelę od małego, więc wiedział, że skłamała, kiedy ją zapytał o to, co robiła poprzedniego dnia wieczorem.

I o to, co ją łączy z księdzem Karolem.

Ksiądz Karol spisał się z promocją na medal. Przyjechały TVP Białystok i lokalna prasa, przybyli prezydent Suwałk i kilku radnych. Wszyscy byli zachwyceni szlakiem procesji, która przebiegała przez las, jezioro i rzeczkę – przez którą według wizji księdza Karola pochód miał przejść tak, jak w Biblii naród wybrany przekroczył Jordan. Nikt nie marudził, że zniszczył sobie lakierki czy też ubrudził spodnie błotem – biblijny Jordan czynił cuda. Kiedy wszyscy dogłębnie przeżyli najważniejsze sceny ze Starego Testamentu, przyszła kolej na część bardziej artystyczną – czyli występ dzieci pod batutą Amadeusza.

Prowizoryczną scenę zbitą z desek ustawiono między brzoźkami, tyłem do słońca, tak by nie raziła chórzystów w oczy. Nikt się nawet nie zająknął, że nie widzi Francy, która wszem wobec ogłosiła, że będzie się męczyć z bachorami, żeby tylko ksiądz zgarnął kasę na swój przekłety dach. Na szczęście dzieci przed występem zrobiły się bardzo spokojne i z godnością, synchronicznie weszły na scenę, zajęły ustalone wcześniej miejsca i spojrzały na zgromadzoną publiczność. Amadeusz bał się, że gdy tylko wejdą na scenę, to stracą dyscyplinę – i część jego obaw się ziściła. Grupka dzieci po prawej zrobiła się blada i ze strachem wpatrywała się w kartki, na których znajdowały się słowa; kolejni jak szaleni machali rodzicom i nie zwracali uwagi na dyrygenta, a inni z kolei mieli już wszystko gdzieś.

Amadeusz wziął flet do ręki i zagrał dzieciom pierwszy dźwięk, czym trochę zwrócił ich uwagę. Kiwnął głową na start i zaczął grać. W imię Boże.

Eine kleine Nachtmusik jest samo w sobie pięknym utworem. Skocznym, radosnym, dodającym energii oraz wprawiającym wszystkich w dobry nastrój. Szerzącym szczęście wśród ludzi oraz zwierząt. Pamiętał, jak kiedyś ćwiczył ten utwór w ogrodzie i przyleciał wróbelek, który chwilę go słuchał zainteresowany. Było to wspaniałe. I tylko wariat dodałby do tego ideału słowa, które nijak się mają do przesłania. O dziwo dzieci słuchały muzyki i stanęły na wysokości zadania. Nie był to może równy występ, było słycać seplenienia, ktoś cały czas zmieniał melodię, a Amadeuszowi palce lepiły się do fletu. Nie powinien był jeść tych trzech pączków. Po trzech minutach męki skończyli, dzieci zostały nagrodzone brawami i nawet widać było, że prezydent Suwałk ukradkiem ociera łzy wzruszenia. Udało się. Wszyscy byli zadowoleni, dzieci już mniej zestresowane zbiegły ze sceny jak banda dzikusów i skoczyły w objęcia swoich zapłakanych rodziców trzymających w rękach kamery i telefony.

Amadeusz ustąpił miejsca na scenie księdzu Karolowi i poszedł w stronę mamusi, która patrzyła na niego z dumą i radością. Pogładziła go z miłością po głowie i ścisnęła za rękę. Jego rola się skończyła.

– Moi dlodzy. – Karol ubrał się w swoją najlepszą sutannę i starał się wyglądać tak, jak każdy stateczny ksiądz powinien. – Dzisiejszy dzień jest pełen szczęścia, ale także odlobiny smutku. Nasza wspaniała nauczycielka, Małgorzata Flanc, zmała dziś lano.

– Czemu powiedział, że dziś rano? – wyszeptał do mamusi Wagner. – Przecież umarła w nocy, inaczej rano nie byłaby zeszywniała i krew nie byłaby...

Mamusia uderzyła go w głowę.

– Jeszcze raz mi wspomnisz o takich rzeczach, to uderzę mocniej! – zagroziła, także szeptem. – Nie chcę nawet wnikać, skąd ty wiesz takie rzeczy.

– Mamusiu...

– Żadna mi mamusiu! Bądź cicho i słuchaj!

Więc Amadeusz był cicho. Ale zamiast słuchać, pogrążył się w rozmyślaniach. Czuł w kościach, że Francę zamordowano. I stało się to w środę wieczorem. Nie wiedział dokładnie, o której godzinie, ale żołądek podpowiadał mu północ. Siedem godzin – przez tyle zdążyłaby stężeć. Obecnie podejrzany był każdy w wiosce. Każdy jej uczeń.

Co ona robiła o północy na zakrystii? Przypomnił sobie słowa księdza Karola, że ktoś regularnie podkradał mu pieniądze z kasetki. Czyżby to była Franca? Ale dlaczego? Jaki miałyby w tym motyw? Ze złośliwości? Wydawało się, że nauczycielka ma tyle pieniędzy, żeby nie musieć pracować, więc czemu nie zmieniła zawodu? Czemu tkwiła całe swoje życie w Gawrych Rudzie, skoro chciała być artystką? Czuł, że nie wiedział o niej wszystkiego.

A może zakradła się, by kogoś przyłapać na gorącym uczynku? Może odkryła tożsamość wioskowego złodzieja i chciała go złapać? I może szantażować? I przestraszony złodziej popchnął ją mocno, przez co uderzyła się w głowę, i pewnie uciekł, nawet nie patrząc za siebie. Tak. To musiało właśnie tak być. Franca, umierając, zostawiła wskazówki dotyczące mordercy. Zaciśnięta pięść i palec wskazujący na drzwi do kościoła. Czyżby to miało sugerować, że mordercą był ksiądz Karol? Lub wikary Wiesław? A może po prostu wskazywała, którądy złodziej dostawał się na zakrystię? Na noc kościoła nie zamykano... Może gdyby miał dostęp do kamer przed budynkiem to...

Uderzył się w czoło. Jakie kamery? W Gawrych Rudzie? Tu ledwo wszystkich stać na pralkę. Jedyne kamery, które mógł znaleźć, to były wszystkowidzące oczy sąsiadek. Musiałby delikatnie przepytac kobiety, by się co nieco dowiedziec.

I zostaje jeszcze Gizela. Jaki miała związek z księdzem? Czyżby połączył ich romans? To by do niej pasowało. I na tym romansie mogła przyłapać ich Franca. Podenerwowany ksiądz pchnął ją i uciekł wraz ze swoją kochanką, zostawiając nauczycielkę na pastwę losu... Nie, nawet Gizela nie jest na tyle bezwstydna, aby gzić się w kościele. To w takim razie co robiła poprzedniego dnia wieczorem? Gdzie była? Może Wagner zapyta jej synów – ciekawe, czy coś mu powiedzą. I z drugiej jeszcze strony była ta rymowanka... jak to szło? Ksiądz Karol kupił Gizeli i Karolinie korale koloru koralowego. Ktoś we wsi musiał coś podsłuchać, coś podejrzeć... Za każdą plotką kryje się ziarno prawdy.

Gizela była puszczalska. A kim była Karolina? W Gawrych Rudzie nie było Karolin, ponieważ imię to podobno przynosiło pecha. Dlaczego? Bo tak było. Nikt nie był w stanie tego wyjaśnić, ale każdy bał się pecha, więc nazywał swoją córkę Anna, Maria lub Gizela właśnie. Może to jakaś żona któregoś z tych nowobogackich, co się tu przeprowadzili z Suwałk? Będzie musiał zapytać mamusię o to, czy mieszka tu jakaś Karolina.

Z drugiej strony czy miało to jakkolwiek związek ze śmiercią Francy? Nie wiedział. Policja umyła kompletnie ręce, zostawiając go samego. Nie wiedział, dlaczego chce znaleźć mordercę kobiety, której nienawidził całe swoje dzieciństwo i która nadal wywoływała u niego mimowolny ścisk szczęki. Mamusia wychowała go na zbyt porządnego obywatela.

Wagner poczuł, że ktoś dotyka go w ramię. Odwrócił się i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczył Jana Hadesa. Pamiętał go jeszcze z filharmonii, z roju reporterów, który czyhał na jakikolwiek strzęp informacji. Tylko Hades zatrzymał wtedy Amadeusza; reszta uznała, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Reporter nic się nie zmienił, odkąd Wagner ostatni raz widział go we Wrocławiu. Nadal miał końską twarz, a na głowie czapkę, którą normalnie zakłada się, idąc na ryby.

– Filharmonia we Wrocławiu, prawda? – zapytał dziennikarz na głos, za co dostał wzrokową reprimendę od mamusi Amadeusza.

– Pan Jan Hades – wyszeptał. Kogoś o takim nazwisku trudno jest zapomnieć.

Odeszli kilkanaście kroków od sceny, żeby móc swobodnie porozmawiać i nie przeszkadzać innym.

– Co pan tu robi? – zdziwił się Amadeusz. Nie spodziewał się tu spotkać nikogo, a już szczególnie kogoś, kogo poznał we Wrocławiu.

– Przyjechałem zrobić reportaż. My, dziennikarze, już tak mamy. Jutro jadę do Zakopanego na Festiwal Kierpców i Łoscyków. A pojutrze do Sopotu. Latam po tej Polsce i się nie nudzę. I przeżywam same przygody, bo nie ma bardziej fascynującego zawodu od zawodu reportera. Szukam, badam i znajduję! – roześmiał się. – A pan?

Amadeusz spojrzał na jego plecak, do którego paskami przyczepił śpiwór.

– Ja stąd pochodzę. Przyjechałem na urlop.

– Widziałem występ, śmieszne dzieciaki. Pewnie dużo było z nimi roboty, prawda? – Jan wyciągnął notes zaciekawiony.

– Nie, nie było aż tak źle. – Wagner miał wrażenie, że Hades go przepytuje. Może się mylił?

– Dzieci są trudną materią do pracy... Co się stało z poprzednią dyrygentką? – Długopis zastygł nad kartką.

– Odeszła. – Trochę myślał, zanim odpowiedział. Nie skłamał, ale też nie powiedział do końca prawdy.

– Gdzie? Chciałbym z nią porozmawiać. – Hades wyciągnął telefon i zaczął nagrywać.

– Nie wiem.

– Na pewno się pan domyśla... Myśli pan, że bym nie poznał osoby, która

własnoręcznie ujęła sprawcę morderstwa we Wrocławiu? Napisałem na pana temat piękne trzy artykuły... Czuję tu coś nosem. Dlaczego pojechał pan na urlop?

– Nie pojechałem... – zająknął się.

– Czyli pana wysłali... logiczne... Musiał pan odkryć za dużo rzeczy, które się nie spodobały... Słyszałem plotki o aferach, jakie tam mają miejsce, ale za każdym razem, gdy chcę się zająć tą sprawą, to mój redaktor dostaje dziwne telefony i sprawa jest wyciszana... Ewidentnie coś tam ukrywają. – Hades podrapał się po policzku, który niezbyt starannie ogolił; było widać kawałki nierównych włosków. Gdyby Amadeusz nie wiedział, że Jan jest dziennikarzem, toby się tego domyślił po stanie jego policzków. Był to ktoś, kto goli się w pośpiechu, często bez lustra, i ma worki pod oczami. Jego czwarty palec prawej ręki miał wypustkę, która wskazywała na to, że dużo pisze.

– Ja nic nie wiem.

– Ja rozumiem. Pan nie ufa dziennikarzom. Reporterzy mają niestety problem z brakiem zaufania u ludzi. A ja nie rozumiem dlaczego. Przecież jesteśmy tu, żeby pomóc i żeby odkrywać afery, żeby ludziom żyło się lepiej – wydeklamował bez żadnego żaru, z pustką w oczach. – Czy to prawda, że kobietę zabito?

– Co? Skąd? Jak?

– Właśnie mi pan powiedział. – Hades się uśmiechnął. Miał żółte zęby, jakby non stop palił albo ich nie mył.

– Ja nic nie wiem – powtórzył Wagner, przeklinając w myślach swoją głupotę.

– Rozwiążmy razem tę zagadkę. Jutro jadę do Zakopanego, ale potem wrócę i będziemy mogli wspólnie poszukać sprawcy. Pan ze swoim wielkim... – popatrzył na jego brzuch i zaśmiał się nerwowo – ...intelektem, a ja z żyłką do pisania. Zrobimy razem karierę!

– Kiedy ja nie chcę żadnej kariery. Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego.

– Czyli wie pan już coś? Jak zginęła?

– Nie wiem.

– Ktoś ją zamordował?

– Przecież już pan...

– Czyli zamordował. – Jego końska twarz rozjaśniła się jak żaróweczka. – A już myślałem, że kobiecina sama wykorkowała. Kto ją zabił? – Hades rozejrzał się po zebranych. – We wszystkich kryminałach mordercą jest ksiądz. Ten sepleniący wygląda mi na takiego. Cicha woda brzegi rwie. – Wskazał na Karola, który właśnie płomiennie gestykulował. – Już widzę ten nagłówek! Upadek kleru w Polsce! Ksiądz mordercą! Zamiast leczyć dusze – morduje!

– Kiedy to...

– Czyli to nie on? – Reporter podłapał temat. – Ma pan już jakieś podejrzenia?

– Jeszcze na to za wcześnie – bronił się Amadeusz.

– Nigdy nie jest za wcześnie na dobry artykuł. Zawsze można potem napisać sprostowanie – uściślił. – To jak? Współpracujemy?

– Panie Janie...

– Hadesie. Wszyscy mi mówią Hades.

– Ja wiem, że pan chce dobrze, ale...

– Ja chcę jak najlepiej! Najlepiej ze wszystkich! I mam wtyki. Wszędzie. Mogę panu załatwić koncerty i wywiady, i wszystko, czego pan chce. Moim marzeniem od zawsze była współpraca ze zdolnymi ludźmi. Pana pokroju.

– Nie mówię, że...

– Czyli nie mówi pan nie? Czyli jest nadzieja? Fenomenalnie. Jestem zachwycony pana odpowiedzią. Naprawdę. – Mrugnął do niego. – Spotkamy się, jak wrócę. Napiszę szybko nudny artykuł o obchodach Bożego Ciała w umierających małych miejscowościach w Polsce Be i możemy się zabrać do roboty. Niech no ja tylko powiem redaktorowi, jaka bomba nas czeka! I niech pan, broń cię panie, nie rozmawia z żadnym innym dziennikarzem. To hieny. Nie można im ufać. Mnie można. Ja bym matki nie sprzedał za artykuł. Chyba że by nalegała – roześmiał się.

– Kiedy ja...

Dziennikarz nie dawał Wagnerowi dojść do słowa.

– Ja wiem, że mogę się wydawać przerażający, ale tak nie jest. Ja jestem bardzo spokojnym człowiekiem. Wiele widziałem. Znam ludzi. Tyle że nie potrafię jakoś kombinować. A pan to potrafi. A co ja plotę. Ty potrafisz. Hades jestem.

– Amadeusz. – Uścisnęli sobie dłonie i Wagner uświadomił sobie, że pomimo niechęci, którą poczuł na początku, ma do niego zaufanie. Jego brzuch zaburczał jakby na potwierdzenie.

– Głodny jesteś? To czemu nie mówisz? – Hades wyciągnął z kieszeni drażetki kokosowe i hojnie nasypał mu na dłoń. Flecista prawie się popłakał ze wzruszenia. Drażetki z piratem na opakowaniu były jego ulubionymi słodyczami; zawsze kiedy miał chandrę, jak był mały, to je kupował i ssał tak długo, jak długo dał radę. Teraz już wiedział, że może zaufać reporterowi.

– Jak wróci pan... znaczy: wrócisz z Zakopanego, to porozmawiamy. Teraz muszę nad tym wszystkim pomyśleć. – Amadeusz wsadził jeden groszek do buzi i prawie jęknął z rozkoszy. Dla takich smaków warto żyć!

– Bardzo mnie to cieszy. Ludzie mi mówią, że robię bardzo złe pierwsze wrażenie, ale to chyba nieprawda. – Uśmiechnął się i wyciągnął telefon. – To jesteśmy w kontakcie. Mój szef dzwoni. Muszę to odebrać. Miło było. – Ponownie uścisnął Amadeuszowi dłoń i z prędkością światła wybiegł poza teren kościoła.

Ksiądz Karol przemawiał jeszcze przez pół godziny i dziękował wszystkim mieszkańcom, w tym Amadeuszowi, za ich pomoc przy organizacji procesji. Nie wspomniał ani słowem więcej o Francji – widocznie nie chciał zakłócać uroczystości. Nastroje się nie popsuły, nawet kiedy Banan przykleił kawałek gumy na kamerze TVP3 i widzowie przez dziesięć minut mieli niepełny obraz.

Do domu Wagner z mamusią wrócili około godziny szesnastej i zaczęli przygotowywać obiad. Zrobili kluski śląskie w sosie pieczarkowym, z bekonem i ręcznie robionym serem pleśniowym. Każde z nich zjadło po około czterdzieści klusek, zanim poczuli, że są już pełni.

Amadeusz starał się delikatnie podejść do tematu morderstwa Francy, tak żeby nie zdenerwować mamusi, która jak tylko przyjechali do domu, wymogła na nim przysięgę, że nie będzie zajmował się tą sprawą. Obiecał jej, że nie będzie, ale nie obiecał, że nie znajdzie złodzieja. A jego brzuch sugerował mu, że obie sprawy są silnie powiązane. Po zjedzeniu klusek, kiedy siedli sobie na ganku z kubkami pełnymi ciepłej herbaty z miętą i melisą, postanowił więc delikatnie wypytać mamusię o Gizelę – wiedział, że w tej kwestii będzie bardzo rozmowna.

– Siedziałem sobie z Gizelą, kiedy wy chodziliście procesją – zaczął, biorąc łyk. Miał jeszcze pół godziny do spotkania z dawnymi kolegami, więc się nie śpieszył.

– I jak? Wspaniała kobieta, prawda? – Mamusi rozbłysły oczy. Pewnie już miała w wyobraźni tabun wnuków, które Amadeusz niechybnie spłodzi z Gizelą.

– Chciałbym wiedzieć o niej coś więcej – stwierdził, choć w środku wnętrzości zawiązały mu się na supeł.

– Więc się jej zapytaj.

– Kiedy nie chciałbym jej przeszkadzać i obrazić...

– Czemu miałbyś ją obrazić?

– Chciałbym poznać informacje o jej przeszłości.

– Dlaczego? – Mamusia zrobiła się podejrzliwa.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie wyszło jej w małżeństwach, żeby wiedzieć, nad czym popracować – powiedział oględnie.

– Och, Duszku! Tak się cieszę, że podjąłeś decyzję!

– Zastanawiam się. Cały czas. Więc jak? – Próbował zachować tę samą minę.

– Niech no pomyślę... Gizelka najpierw była z Kłosowskim... tym z Płociczna. Poznali się w podstawówce. Pamiętasz go?

– Oczywiście. – Jakże miałyby zapomnieć głównego szkolnego zboczeńca? Zakradał się do toalet i podglądał dziewczynki albo ścigał im spódniczki.

– Podobno była to wielka miłość... Wtedy też urodził się Zdzisio i Gizela z Kłosowskim wzięli ślub. Ale jakoś się im nie układało, bo on wielki babiarz był i się rozstali. Potem był Kaczor. Przyjechał do wsi na motorze i skradł jej serce. Wzięli szybki ślub, bo Kazio był już w jej brzuchu i wstyd było tak bez obrączki. Po roku się rozstali, bo on podobno chciał wolności, a nie rodziny. I bił ją, jak za dużo wypił. Więc po tym, jak po raz ósmy trafiła do szpitala ze złamanymi żebrami, sąd nakazał im się rozwieść. I tak biedna Gizelka została z dwójką chłopców, a po tym, jak się rozstali z Kaczorem, spotkałyśmy się przypadkiem i tak sobie przypomniła o tobie, Duszku. Widywałyśmy się przez jakiś czas na babskich płotach. I jak jej opowiedziałam, że masz pracę w wielkim mieście i że jesteś muzykiem, to razem stwierdziłyśmy, że przydałaby ci się jakaś kobieta, żeby ci umilić czas w tym Wrocławiu. Żebyś miał w chałupie czysto i żeby na stole zawsze stało jedzenie.

I żeby Gizelka mogła zamieszkać sobie w mieście i balować do upadłego – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

– I tak od tego Kaczora to z nikim nie była?

– Czy była, to nie wiem... Wolna to kobieta i ma żądze jak każda z nas... Pewnie

się spotykała, ale skoro brzucha z tego nie było, to się nie wiązała.

– A wiesz, że ja ją wczoraj widziałem? W nocy? Szła sama ulicą, jakby gdzieś się śpieszyła – skłamał.

– Znowu? Przecież ją... – Mamusia ugryzła się w język. – Jak ty, Amadeuszu, niby miałeś ją widzieć, skoro z okien nie widać ulicy?

– Poszedłem sobie w nocy do ogródka.

– Doprawdy?

– Tak, zachciało mi się... marchewki – wymyślił na poczekaniu i przybrał pokerową twarz. Oby mu się udało zmylić mamusię, oby mu się udało...

– To czemu mnie, dziecko, nie obudziłeś? Podgrzałabym ci rosółku, a tak to musiałeś grzebać w ziemi... Ale zaraz, przecież z ogródka też nie widać ulicy, bo zasłania ją żywopłot, więc...

– Wyszedłem na ulicę, bo słyszałem kroki – przerwał mamusi, czym wyraźnie ją uspokoił.

– Wybacz dziecko, że cię tak podejrzewam, ale już myślałam, że zajmujesz się tym, czym nie powinieneś.

– Ależ skąd, mamusiu – powiedział. – Co ona robiła nocą na ulicy?

– Nie wiem, jej spytaj.

– Ale pytam ciebie. Ty wiesz.

– To nie jest moja sprawa.

– Mamusiu, jeśli mam poważnie o niej pomyśleć, to muszę wiedzieć.

Spojrzał jej prosto w oczy. Mamusia odłożyła z westchnieniem herbatę.

– Obiecała mi, że przestanie.

– Że co przestanie?

– Musisz zrozumieć, to jest kobieta. Kobieta ma pewne potrzeby.

– Czyli?

– Jej zapytaj. To nie moja sprawa.

– Mamusiu!

– Jej zapytaj. – Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Dlaczego więc dzieci powtarzają rymowaną „Książd Karol kupił Gizeli i Karolinie korale koloru koralowego”?

– Bo to dzieci i lubią rymować.

– Mamusiu!

– Amadeuszu!

Matka i syn spojrzeli na siebie z upartością w oczach.

– Co Gizela robi nocą?

– Jej się zapytaj.

– Nie powie mi.

– Więc się nie dowiesz.

– Dlaczego?

– Bo to nie moja tajemnica.

Dwójka Wagnerów spojrzała sobie prosto w oczy, testując swoje charaktery i czekając, kto pierwszy się ugnie.

– Gizela mi nie powie.

– Dowiesz się po ślubie.

– Nie dojdzie do żadnego ślubu, jeśli mi nie powiesz. Chcesz skazać jedyne go syna na nieszczęśliwe małżeństwo?

– A co ty niby zamierzasz robić, Duszku? Przecież nie wrócisz do Wrocławia, co więc planujesz, jeśli nie ustatkować się? – Mamusia odbiła piłeczkę.

– Ja...

Miała rację. Co on właściwie planował? Przecież Wrocław był niepewny; Amadeusz podpadł tak bardzo, że raczej na pewno nie będą chcieli go z powrotem i niedługo dostanie informację o zwolnieniu dyscyplinarnym albo o zwolnieniu za obopólną zgodą, której nie podpisze, a na której ktoś podrobi jego podpis. Przyjechał po to, żeby zatrzymać na chwilę czas, żeby odetchnąć po tym wszystkim, co wydarzyło się we Wrocławiu, i po prostu odpocząć. Nie miał planu na przyszłość. Nie miał jakiegokolwiek planu.

– Widzisz. Sam nawet nie wiesz, czego chcesz, a upierasz się, żeby koniecznie grzebać w życiach innych. – Mamusia dumnie uniosła brodę. Ewidentnie wygrała tę rozgrywkę. – Jestem trochę rozczarowana, Duszku. Wiesz przecież, że chcę dla ciebie jak najlepiej, że zależy mi na tym, żebyś był szczęśliwy. A osoba szczęśliwa to taka, która ma kogoś przy boku. I maluszki kręcą się pod nogami.

– Mamusiu... – chciał zacząć dyskutować, ale zobaczył, że zza furtki ktoś mu macha. Po zgarbionej sylwetce poznał Staszka, ojca Banana.

– A ten pijak czego znowu chce? – oburzyła się mamusia. – Wieszał się już tyle razy, że ja sama nie wiem, czy on żywy, czy on trup.

– Co? – Amadeusz odłożył herbatkę i wstał. Mamusia kontynuowała wątek pijacki, kompletnie ignorując jego prośby o doprecyzowanie.

– Chodzi po domach i żebrze. Wstydu nie ma. Zamiast pójść do pracy, to żeruje na innych ludziach. Trzymaj się od niego z daleka – ostrzegła i ze złością zaczęła wpatrywać się w jabłonkę.

Amadeusz zerknął na napiętą twarz dawnego kolegi i się zasepił. Życie nie było dla niego łaskawe. Kiwnął oschle mamusi głową i podszedł do furtki. Razem z mężczyzną ruszyli na piechotę do domu Krystiana.

– Co tam, Wagner? – zagadnął go Staszek. Miał jeszcze większe worki pod oczami niż wcześniej.

– A dobrze. Znalazłeś w końcu Banana?

Na skrzyżowaniu się rozejrzeli. Nie było wprawdzie ciemno, ale po ulicy jeździli kierowcy pokroju jego mamusi, dla których kodeks drogowy był jedynie sugestią przydatną się wyłącznie do podpierania kredensu, jeśli ten się kiwa.

– Tak, złapałem go po tej akcji z gumą. – W lewej ręce Staszek niósł butelkę wina. Amadeusz zamarł. Zapomniał wziąć jakiś prezent!

– Zahaczymy o sklep? Muszę jeszcze kupić coś dla Krystiana.

– Mówisz o butelce? – Staszek się roześmiał i jego twarz rozjaśniła się na moment. – Nie musisz nic przynosić, myślę, że wystarczy, jak przyjdiesz. Krystian ma tego tyle, że starczy mu na rok. Klienci wciąż mu coś przynoszą – wyjaśnił, widząc zdumioną twarz Amadeusza, i się zasepił. Coś go ewidentnie gryzło.

– Kiedy to tak nie wypada...

– Z tobą to zawsze tak było, że nie wypada. Ja mam dla niego wino, bo przegrałem zakład i muszę mu dać. Ty nie musisz – westchnął. Wagner zaczął się zastanawiać, ile go kosztowało kupno tego wina i czy przez to Banan będzie miał co zjeść na kolację.

– O co się założyliście?

– Teraz to już nieważne, bo przegrałem – westchnął ponownie i się zgarbił.

Przeszli na drugą stronę drogi. Po obu stronach mieli las, w którym chowały się pojedyncze domy mieszkańców wsi. Staszek skręcił w polną dróżkę.

– Tutaj? Czemu?

– To taki skrót. Niewiele osób o nim wie. Nie pamiętasz, jak chodziliśmy tędy do szkoły? – Amadeusz wyteżył swoją pamięć, próbując przywołać obraz swoich lat szkolnych. Wszystkie jego wspomnienia zostały zdominowane przez Francję.

– Nie pamiętam.

– A bo ty byłeś ten porządny, co zawsze chodził szosą. Cała reszta szła przez ten las. Ta dróżka prowadzi prosto do osiedli bogatych. Musimy tylko przejść za budynkiem szkoły i już jesteśmy. Wszyscy znają ten skrót. Moje dzieciaki biegają nim kilkanaście razy dziennie. Nigdy cię nie zastanawiało, dlaczego tak mało ludzi jest na szosie?

– Nie boisz się tak iść nocami? – Amadeusz obiecał kiedyś mamusi, że nie wejdzie do lasu bez niej, więc się tego trzymał. Żeby jeszcze bardziej podkreślić jego strach przed lasem, opowiadała mu o wilkołakach, które odgryzają palce, o duchach niezamężnych panien oraz o dziurach w ziemi, przez które można wpaść do piekła.

– Kogo się mam bać? Sam siebie się boję, więc nie znajdzie się nikt gorszy ode mnie. Chyba że sam diabeł – roześmiał się smutno Staszek.

– A morderca? – Było jasno, ale nie na tyle, żeby czuć się w lesie swobodnie. Mamusia zawsze ostrzegała go przed dzikami oraz innymi zwierzętami, które wałęsały się po lesie.

– Czyj? – Szczęściarz zerwał gałązkę sosny i zaczął żuć jej igielki.

– Franczy oczywiście.

– Przecież to był wypadek – powiedział spokojnie.

– Nie, jestem przekonany, że nie. Myślę, że ktoś ją popchnął.

– Dziwny jesteś, wiesz? W Gawrych Rudzie nie ma morderców. Są pijacy, owszem, ale nie ma morderców. – Wypluł igielkę.

– Może masz rację... – Amadeusz spojrział na zgarbioną sylwetkę swojego kolegi, którego życie przygięło do ziemi. – Widziałeś może wczoraj Gizelę?

– Gizelę? Trzymam się z dala od tej napalonej baby.

– Więc jej nie widziałeś? To co robiłeś wczoraj wieczorem?

– Po co ci to? – Najężył się. – Nie mów mi, że szukasz mordercy. Twoja matka chwaliła się, że złapałaś zabójcę we Wrocławiu, ale tutaj nikogo takiego nie ma. Gawrych Ruda to nie Wrocław. Tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich i nikt nie ma morderczych zamiarów. Jeśli ktoś ginie, to tylko przez przypadek.

– Ja po prostu...

– Może jeszcze będziesz o to pytał Banana? Gdzie włóczy się jego ojciec? Zmieniłeś się, Wagner.

– Wszyscy mi to mówią.

– Bo to prawda.

Wyszli na małą polankę, skąd było widać szkołę.

– To dlatego wszyscy znikali zaraz po lekcjach i nikt nie wychodził przodem! – Czemu nie wpadł na to wcześniej?

– Ale z ciebie naiwniak, Wagner. Zawsze taki grzecznutki, zawsze grzecznie zginał głowę i nie pyskował. Mieszkałeś tu całe życie, a wiesz tyle co nic. – Wykrzywił się i potrząsnął butelką. – Za karę jedną butelkę musisz obalić sam.

– Oszalałeś chyba.

– Oj Wagner, jakiś ty naiwniak. – Staszek roześmiał się smutno.

Amadeusz przyglądał się budynkowi szkoły. Przez okna widział puste klasy. Czy w takim razie ze szkoły można było zobaczyć, kto idzie tą dróżką? Czy Franca mogła zobaczyć coś, co przyczyniło się do jej śmierci? Spojrzał na Staszka, który prowadził go przez wąskie, wydeptane ścieżki. Tylko ktoś z mieszkańców, kto chodził do ich szkoły, wiedział o tych skrótach.

– Czy stąd biegnie droga do kościoła? – zapytał.

– W lesie są ścieżki prowadzące wszędzie. A już szczególnie spod szkoły. Popatrz, tam, między brzoškami – wskazał na dwa rosnące obok siebie drzewa – tam jest droga.

– Czyli trzeba przejść obok szkoły, żeby tam dojść – zauważył Amadeusz.

Droga znajdowała się za załomem i trzeba było przejść około pięciu metrów od budynku, żeby się do niej dostać. Gdyby Franca została po pracy, spokojnie mogłaby zauważyć swojego przyszłego zabójcę. Może odkryła, kto podkrada pieniądze z kościoła? Tylko dlaczego nie poszła z tą wiedzą na policję? Czyżby chciała coś uzyskać?

– A gdzie ty idziesz? – Staszek chwycił Amadeusza za koszulę i pociągnął na ścieżkę w stronę jeziora. – Tędy dostałbyś się do budynku kolejki wąskotorowej.

– Nie wiedziałem. – Popatrzył pod nogi i zobaczył rozgałęzienia prowadzące w kilkanaście stron.

– Jak nie znasz drogi, to nią nie idź. Proste. – Staszek wzruszył ramionami. – Chodźmy szybciej. – Pomachał butelką. – Winko czeka.

Dom Krystiana wyglądał jak kopia Wersalu. Gdy Amadeusz powiedział mamusi, że idzie do niego w odwiedzinę, ta się roześmiała i poradziła, żeby wziął kaptcie

muzealne, bo mu się przydadzą. Teraz wiedział, o co jej chodziło. Ściany wyłożono boazerią oraz złotem; miał nadzieję, że było sztuczne. Wszędzie wisały lustra oraz obrazy i panował taki przepych, jaki flecista ostatnio widział w Muzeum Zamkowym we Wrocławiu. Podłogę wykonano z marmuru i przykryto grubymi dywanami.

– Zapraszam, koledzy! Zapraszam w moje skromne progi! – Krystian, śmiejąc się serdecznie, zaprowadził ich do salonu. Tam Wagner zobaczył największy telewizor, jaki mógł sobie wyobrazić. – Kopara opada, nie? – zapytał, widząc minę Amadeusza. – Trochę kosztował, ale wart był każdych pieniędzy. A jak się mecze na nim ogląda! Cudo po prostu. – Posadził Wagnera na kanapie, która ewidentnie była zrobiona z prawdziwej skóry, i wsadził mu w dłoń ogromną szklankę z koktajlem. – Różowa robiła – wyjaśnił.

– Masz wino. – Staszek dał Krystianowi butelkę i usiadł na krańcu kanapy, chcąc zająć jak najmniej miejsca.

– Cieszę się, że pamiętałeś – ucieszył się. – Antek jest w kłopotach i jak wyjdzie, to się przywita. A właśnie, gadając o powitaniach. Mundial! – krzyknął donośnie, czym wywołał swojego syna z pokoju.

– Czego chcesz? – Mundial ubrany był w piżamę, a w ręce trzymał książkę o przygodach Sherlocka Holmesa.

– Nie pyskuj mi tu, smarkaczu, tylko się przywitaj.

– Witam. – Poprawił okulary na nosie. – Mama będzie zła, że skóra prześmierdnie od taty Banana.

– Zamknij się, gówniarzu! – Krystian spojrzał z niepokojem na przyjaciela. – Przepróż pana!

Staszek się zaczerwienił i zsunął z kanapy na sam jej skrawek, próbując zająć jeszcze mniej miejsca.

– Sory. – Mundial się skrzywił i poszedł do pokoju.

– No nie mogę chwilami z tym bachorem. Moja żonka za bardzo go popsuła. Ja w jego wieku nie miałem nawet piżamy – westchnął Krystian, rozsiadając się w fotelu.

– Pamiętam to nawet aż za dobrze! – Z korytarza wyszedł Antek. Amadeusz ujrzał najpierw jego wąsy, które wyglądały, jakby wyhodował je sam Salvador Dali. Urosły mu trochę brzuch i podbródek. – Wagner! Kopę lat! – Uścisnął fleciście grabę i usiadł tuż obok niego. – Pamiętasz, jak raz nad jeziorem zabraliśmy ci majty i musiałeś pomykać do domu na golasa?!

– To byliście wy? Mamusia kilka godzin wyciągała mi potem kleszcze... – zaśmiał się. Staszek spojrzał nerwowo na Amadeusza, pamiętając ich poprzednią rozmowę w lesie. – Czy wszyscy znaliście skrót przez las do szkoły? – zapytał.

– Pewnie, że tak. A co, ty nie znałeś? – Antek cicho beknął. – Soraska, żona zrobiła kurczaka.

– Spoko, czuj się u mnie jak u siebie w domu! – Gospodarz położył na stole swoje nogi, eksponując skarpetki z napisem „Pierre Cardin”. Amadeusz napił się drinka. Skrzywił się, ponieważ fioletowy płyn był kwaśny i szybko uderzył mu do głowy.

Ogólnie Amadeusz nie pił, ponieważ wolał coś zjeść, a alkohol niepotrzebnie zajmował miejsce w brzuchu. Dlatego nieprzyzwyczajony do procentów czuł, jak z każdym kolejnym łykiem traci nad sobą kontrolę. W brzuchu mu burczało... Pewnie zdążył już strawić kluski śląskie. Jak wróci, to usmaży sobie racuchy na śmietanie. I posypie cukrem pudrem... i będzie je jadł, maczając w śmietanie trzydziestce szóstce, bo tak lubi.

Koledzy częstowali go kolejnymi trunkami. Rozmowa kręciła się głównie wokół dawnych czasów – zabaw, lekcji i oczywiście Francji.

– Przyszła kryśka na matyska! – krzyknął Antek, popijając piwo.

– Tak, temu, kto ją załatwił, trzeba by postawić pomnik. – Krystian sięgnął ręką do miski pełnej chipsów.

– Nie mówmy o takich rzeczach. – Staszek odłożył szklanekę z trunkiem.

– Ty, Staszek, to zawsze byłeś wrażliwy. Pamiętacie? Kiedyś złapaliśmy kota i chcieliśmy go podpalić, ale Staszek go uwolnił.

– Tak, i gdzie cię to, stary, zawiodło? – Krystian zapalił cygaro. – Dostałeś się do drużyny piłkarskiej. Poznałeś kobitkę, zrobiłeś jej bachorki, rozpiłeś się i wyrzucili cię z drużyny. Co ty w ogóle teraz robisz?

– Żebrze – rzekł donośnie Antek.

– Pracuję w sklepie elektronicznym – przerwał im szybko Staszek.

– Ta jasne, a twój nos wcale nie jest czerwony. – Krystian zarechotał. – W ogóle co to za imię dla dziecka? Banan?

– Bo wyglądał jak banan, kiedy się urodził.

– Ten twój dzieciak cały czas bije się z moim. Co Mundial przychodzi ze szkoły, to gęba mu się nie zamyka: Banan to, Banan tamto, a Banan siamto. Aż głowa boli od jego trajkotania. Latają gdzieś z twoimi dzieciakami, Antek, i nie wiadomo, co robią.

– Ach te moje małe... Poznałeś Dżesikę i Brajana, nie, Wagner?

Amadeusz kiwnął głową.

– Uroczę dzieci.

– Uroku mają tyle co czarownice. Nie chcą się słuchać, non stop tylko by żarły, aż nie nadążam z kupowaniem jedzenia.

– Ale ostatnio widziałem, że kupiłeś sobie auto – zwrócił uwagę Krystian.

– A no kupiłem – pochwalił się Antek. – Mercedesa. Trzyletni!

– Skąd wziąłeś na to pieniądze? – zapytał Staszek.

– A wziąłem. Jak się chce, to się i pieniądze znajdzie.

– Dokładnie! Ja też, wystarczy, że pstryknę palcami, a mam pieniądze. Powinieneś się od nas uczyć, Staszek. Może cię wezmę na mechanika, co ty na to? Żadne pieniądze nie śmierdzą...

– Pomyślę o tym. – Amadeusz czuł, że Staszek prędzej umrze z głodu, niż będzie pracował pod kolegą.

– Jak myślicie, kto mógł ją zabić? – wtrącił Amadeusz.

– Nie mówmy o śmierci. Proszę. – Staszek zzieleniał.

– Staszekowi zmarła niedawno matka i biedak źle reaguje na wszystko związane ze śmiercią i pogrzebami. Staruszka dostała zawału. Ni z tego, ni z owego. I Staszek ją znalazł – wyjaśnił Krystian. Jego kolega zrobił się bładny jak kreda.

– Powiem wam tak – Antek się uśmiechnął – popchnąć kogoś jest bardzo łatwo. Trzeba tylko zainteresować sobą ofiarę i sprowadzić ją do ustronnego miejsca, i... – Spojrzał na Krystiana porozumiewawczo. Amadeusz zmrużył oczy. Coś było nie tak. Czyżby któryś z nich był odpowiedzialny za śmierć Franczy?

– To kto to zrobił?

– Podobno bawisz się w detektywa. Wydetektywuj więc, który z nas mógł to zrobić. – Krystian rozsiadł się w fotelu i założył ręce za głowę, przez co podwinęła mu się koszulka. Amadeusz dostrzegł ślady paznokci na jego brzuchu. Czyje?

– O, właśnie, nasza cicha woda... Niech pokaże, na co go stać. – Antek pochylił się w jego stronę i trącił go butem. Amadeusz dostrzegł ślady krwi na czubku. Czyżby każdy z jego znajomych był podejrzany? I czemu wszyscy chcieli być podejrzani, dlaczego nie chcieli się oczyścić z podejrzeń?

– Twoja mama mówiła, że żenisz się z Gizelą – powiedział szybko Staszek.

– Co? Z Gizelką? – Krystian wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę? Nie było innych? – Antek chwycił garść chipsów i wsadził je sobie do ust.

– To nieprawda. Ona jest moją kuzynką – Wagner próbował się bronić.

– Nie żeby to komuś tu we wsi przeszkadzało – powiedział półgębkiem Staszek.

– Może wy mi pomożecie, bo najwyraźniej coś mi tu umyka – przerwał dyskusję Amadeusz.

– Strzelaj! – Krystian dopił piwo i zgniótł puszkę na głowie.

– Ksiądz Karol kupił Gizeli i Karolinie korale koloru koralowego – zadeklamował Amadeusz. Krystian zrobił się czerwony na twarzy.

– Gdzie to słyszałeś? Skąd to znasz? – Krystian był ewidentnie wściekły, bo zaczął się gubić w słowach. Albo pijany.

– Od Banana.

– Twój dzieciak powinien dostać porządne lanie za szerzenie plotek – zwrócił się do Staszka, a ten się skulił.

– Karolina to jego żona – wyjaśnił Wagnerowi Antek.

– To o co tu chodzi? – dopytywał Amadeusz.

– O nic, dzieciakom się nudzi – powiedział szybko Staszek.

– Racja, zresztą która baba chciałaby to zrobić z kleką? I to jeszcze z Karolem? – Krystian się naburmuszył.

– Racja – przytaknął mu Antek. – Przecież on się robi czerwony, jak zobaczy ramiączko biustonosza. Jak taki ktoś miałby w ogóle cokolwiek zrobić?

– To są dzieci. Usłyszą i powtórzą, bo im się spodoba. Banan nie chciał źle – rzekł Staszek.

– Banan nigdy nie chce źle, a potem się kończy gumą przyklejoną na kamerze.

– Ja chyba już pójdę. – Amadeuszowi w głowie szumiało i gwizdało. Brzuch zapomniał, że jest brzuchem, i twierdził, że odgrywa rolę płuc. Z kolei oczy całkowicie odmówiły fleciście współpracy. Świat wirował. Wagner zastanawiał się, czy dojdzie do domu.

– Oszalałeś? Jesteś pijany w sztok! Co pomyśli sobie twoja mamusia? – Antek zarechotał.

– Wagner, jest dopiero dwudziesta pierwsza, weź się ogarnij i napij się kolejnego. – Krystian sam był lekko wstawiony i kołysał się z prawa na lewo.

– Ja cię zaprowadzę – zaofiarował się Staszek. – Też muszę wracać do rodziny. Poza tym jutro idę do pracy.

– A ty ciągle o pracy i o pracy. Oszalałeś. – Antek sięgnął po puszkę, ale nie chwycił jej zbyt porządnie i złoty płyn rozlał się po marmurowej podłodze.

– Tak, oszalałem. – Staszek chwycił Amadeusza za rękę i podniósł go z kanapy. Wagnerowi świat zawirował, ale mężczyzna dzielnie utrzymał się w pionie.

– To kiedy powtóreczka? – Krystian już przysypiał. Antek położył się na kanapie, nie ściągając butów. Amadeusz zobaczył ewidentnie krwawy ślad na czubku buta i na... pięcie?

– Niedługo. – Staszek popchnął Amadeusza i wyszli z domu Krystiana. Flecista był pewien, że widział twarz Mundiala, który przypatrywał im się przez okno. Patrzył, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie umiał. Wagner nie miał siły na dedukcję, bo brzuch mu wywijał koziółki i mężczyzna musiał skupić się na chodzeniu, żeby nie upaść. Mundialem zajmie się kiedy indziej.

Następnego dnia obiecał sobie, że nigdy więcej nie napije się alkoholu. Bolała go głowa, brzuch mu protestował wszystkimi swoimi organami, w ustach nie czuł nic oprócz piasku, a w uszach mu szumiało, jakby leżał na plaży.

Mamusia weszła do jego pokoju i z hukiem postawiła na jego biurku szklankę.

– Wypij – powiedziała głośno, przez co przez czaszkę Amadeusza przeszedł grzmot, łamiąc ją na pół.

– Ciszej, mamusiu... – poprosił, przykrywając głowę poduszką.

– Trzeba było tyle nie pić. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakiego wstydu się wczoraj najadłam, jak się pojawiłeś ledwo żywy i jeszcze w ramionach tego pijaka Stanisława... Byłam w szoku. Nasze sąsiadki nie dadzą nam żyć. Będziemy ich pośmiewiskiem. Jestem zde gustowana.

– Przepraszam, mamusiu. – Z trudem podniósł się z łóżka i sięgnął po szklankę.

– Wypij do końca i nawet nie próbuj mi marudzić, że jest niedobre.

– Dobrze, mamusiu. – Podniósł szklankę ze śmierdzącym płynem do ust i wypił go jednym haustem. Żołądek wykręcił mu fikołka, a kubki smakowe krzyknęły oburzone. To smakowało gorzej od każdej rzeczy, jaką kiedykolwiek jadł, od każdej rzeczy, jaką kiedykolwiek się zatrul. – Co to było?

– Nauczka na przyszłość, żeby nie pić. Co ci strzeliło do głowy?

– Bo dawali... – Jelita stanęły mu w ogniu, a głowa poleciała gdzieś na wakacje, odmawiając współpracy.

– Jakby skakali z mostu, to też byś skakał? Myślałam, że cię lepiej nauczyłam. – Mamusia usiadła na jego łóżku i pogłaskała go po głowie. – Mam nadzieję, że więcej tego nie zrobisz.

– Oczywiście. – Płyn, jakkolwiek ohydny, zaczął działać cuda. Głowa powoli przestawała go boleć i zniknęły także nudności. – Co w tym było?

– Nie chcesz wiedzieć, Duszku – rzekła mamusia i jej uwierzył. Czasami niewiedza jest lepsza.

W brzuchu mu zaburczało. Sceny z poprzedniego wieczoru powoli zaczęły do niego wracać. Przypomniał sobie rozmowę ze Staszkiem o skrótach, które wszyscy znają, przypomniał sobie ślady paznokci na ciele Krystiana oraz krew na bucie Antka. Przypomniał sobie też banknoty dziesięciozłotowe, które w dniu Bożego Ciała miał w kieszeni Staszek. Czyżby któryś z jego kolegów był tajemniczym złodziejem we wsi? I czyżby któryś z nich zabił Francę?

Potem w jego umyśle pojawiła się jeszcze jedna scena. Było to, gdy wracał ze Staszkiem od Krystiana. Był pewien, że widział kogoś w lesie, gdy szli. Ale o północy? Kto to mógł być?

Poszedł grzecznie za mamusią do kuchni, gdzie został nakarmiony kanapkami oraz ciepłym rosołkiem. Rosołek jest najlepszy na bóle brzucha. Nikt nie wiedział dlaczego.

Na pewno kogoś widział w lesie. Zapyta o to Staszka, gdy go zobaczy – może on był bardziej trzeźwy i rozpoznał tajemniczą postać.

– Zawiozę cię – powiedziała nagle mamusia.

– Co? Ale dokąd? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– To nikt ci wczoraj nie powiedział? – Mamusia spojrzała na niego dziwnie. Trochę ze współczuciem i trochę z radością.

– Co miał mi ktoś wczoraj powiedzieć? – Amadeusz poczuł, że jego całe ciało automatycznie się obudziło. Żołądek mu zaśpiewał, zgłaszając, że już doszedł do siebie po wczorajszej pomyłce czy też pomyłkach i że jest gotowy do działania. Wagner zerknął na zegar z kukułką, który stał w kuchni i który wybił właśnie godzinę siódmą trzydzieści.

– Że chwilowo będziesz zastępował Francę na zajęciach muzycznych w szkole.

– Co? – Prawie zadławił się kawałkiem kanapki, który właśnie żuł.

– Jestem taka zadowolona, Duszku, że wszystko się układa. Franca musiała umrzeć, żebyś ty zajął jej miejsce. Kowalikowa nawet powiedziała mi w twarz, że tak miało być! A jak już Kowalikowa powie komplement, to znaczy...

– Kiedy ja nie chcę zajmować jej miejsca! Nikt mnie nie pytał o zgodę.

– Zakładaliśmy, że się zgodzisz. Musisz znaleźć sobie pracę. Człowiek musi mieć jakieś zajęcie, bo inaczej zwariuje – powiedziała, poprawiając sobie fryzurę przed lustrem.

– Ale ja się nie nadaję na nauczyciela!

– Nikt się nie nadaje, dopóki nie spróbuje. Wierzę w ciebie, syneczku. Wierzę, że dasz radę. – Wyciągnęła z lodówki plastikowy pojemnik. – Zrobiłam ci gołąbki do pracy. Będziesz mógł je jeść na przerwie. Starczy ci piętnaście? – Zastanowiła się. – Na wszelki wypadek zapakuję ci jeszcze kiełbaskę. – Wyjęła opakowaną w folię kiełbasę i wsadziła do pojemnika. – Jedziemy. Nie możesz się spóźnić w pierwszy dzień.

– Czemu nikt mi o tym nie powiedział? – jęknął, próbując zrozumieć cokolwiek z tego, co się właśnie działo.

– Co ty mi tyle pytań z rana zadajesz? Nie ja o tym zadecydowałam, więc nie miej do mnie pretensji. – Wsadziła mu pakiecik do rąk i wyszła z domu. Amadeusz, chcąc nie chcąc, szybko wskoczył do łazienki, przeczesał włosy i się wyperfumował. Usłyszał, jak mamusia wyjeżdża z garażu z piskiem opon i uderza w klakson, żeby się pośpieszył.

Podenerwowany wybiegł z domu i dał się zawieźć szalonym tempem mamusi pod szkołę.

Staszek miał rację. Część uczniów, których podwozili rodzice, wchodziła od

przodu, od szosy. A część tych biedniejszych wychodziła z lasu, używając licznych skrótów, o których wiedzieli tylko mieszkańcy. Amadeusza uderzyła zaraz myśl: złodziejem na pewno nie jest ktoś z bogatych, ponieważ na pewno użyłby swojego samochodu i nie zostałby dostrzeżony przez Francę. Czyli: złodziej i morderca są biedni. Przypomniał sobie Krystiana i jego auto, bez którego ten nigdzie się nie ruszał. Jakoś nie mógł go sobie wyobrazić idącego na piechotę, żeby dla żartów okraść księdza. Bo dlaczego... Z drugiej jednak strony była ta wyliczanka z Karoliną i Karolem... czyżby to był jego sposób na zemstę?

Otrząsnął się z myśli o śledztwie. Czekala na niego wielka przeprawa z dziećmi na zasadach, których do końca nie pojmował.

Dyrektor przywitał go prawie u progu – pewnie domyślił się, że to on, usłyszawszy głośne i niebezpieczne popisy jego mamusi – i zaprowadził go bezpośrednio do klasy, instruując, jak ma wypełnić dzienniki, skąd je brać i co potem z nimi robić. Potem dał mu plan zajęć: Amadeusz miał prowadzić zajęcia muzyczne trzy razy dziennie w godzinach porannych zgodnie z podstawą programową narzuconą przez ministerstwo. Prawie złapał się za głowę, bo nie wiedział, co to jest podstawa i gdzie jej szukać. Dyrektor, widząc, że Wagner ma problemy natury egzystencjalnej, ściągnął dla niego z półki podręcznik i wskazał, gdzie dokładnie w książce zatrzymała się Franca przed swoim niefortunnym odejściem.

Zerknął na stronę, na której autor podręcznika narzucał przeprowadzenie lekcji o Mozarcie i jego dziełach. Oczywiście – jakżeby inaczej? Westchnął i siadł za biurkiem, czekając na dzieci.

Gdy zadzwonił dzwonek, Wagner poczuł, jakby tracił swoje życie i swój czas. Powinien zajmować się szukaniem mordercy, a nie prowadzeniem zajęć. Czy od tego właśnie zaczęła się głęboka nienawiść Francy? Powoli zaczynał rozumieć, dlaczego była taka oschła i pełna złości.

Do klasy powoli weszła grupa dzieci z Bananem, Mundialem, Dżesiką i Brajanem na czele. Spojrzeli na niego nieśmiało, mruknęli i usiedli grzecznie w ławkach.

Amadeusz westchnął i zaczął lekcję. Było to najdłuższe czterdzieści pięć minut w całym jego życiu. Opowiedział dzieciom o Mozarcie, jego historii, o najważniejszych dziełach, nawet zagrał im kilka utworów i załamał się, widząc, że dzieci nie rozpoznają żadnego z nich. We wsi nikt nie interesował się klasyką.

Mundiał podniósł rękę i zadał pytanie, nie czekając na pozwolenie:

– Czy to będzie na sprawdzianie?

– Nie wiem. – Amadeuszowi opadły ramiona.

– To nie notuję. – Chłopiec poprawił okulary i wyciągnął telefon. Banan, który siedział razem z nim w ławce, zapuszczał żurawia do kolegi. Komórka była ciekawsza od lekcji.

Wagner zerknął przez okno. Był w klasie, w której uczyła Franca. Miał idealny widok na jezioro i liczne ścieżki wchodzące do lasu. Jego teoria się sprawdziła.

Franca mogła rzeczywiście coś zobaczyć. Ale co ona robiła tak późno w szkole? Albo tak wcześnie? Wiedział, że złodziej kradł po północy a przed świtem. Kto normalny siedziałby w pracy o tej porze?

Wykorzystując chwilę jego nieuwagi, dzieci zaczęły się głośno bawić i rzucać w siebie papierowymi kulkami. Po tym nie był już w stanie przywrócić kontroli nad klasą. Jak dzieci raz wyczują słabość, to już nie popuszczą. Nie nadawał się do nauki. Nie chciał tu być. Czuł, że jest to jedna wielka pomyłka i że los sobie z niego kpi.

Dzwonek na przerwę przywitał z jeszcze większą radością niż dzieci. Część klasy uciekła szybko na dwór, a część została.

– Podobno to pan znalazł trupa – zaczął Banan, patrząc z zaciekawieniem na Amadeusza.

– Nie ja, tylko wikary – poprawił chłopca Wagner, marząc o tabletkę przeciwbólowej.

– Wikary! Wiedziałem! Dlatego tak wyłysiał! – krzyknął zaaferowany Brajan.

– Mamy we wsi mordercę. Dzisiaj w nocy prawie nie spałam. – Dżesika podskoczyła kilka razy w miejscu.

– Przestańcie zachowywać się jak dzieciaki, bo jesteście na to za starzy. – Mundial poprawił okulary na nosie. – Wychodzę. – Obrócił się, czekając na resztę jego grupki, która go kompletnie zignorowała. Wściekły kopnął krzesło, które potoczyło się po klasie, i wyszedł.

– On się nie wysypia. To dlatego – wyjaśnił Amadeuszowi Banan, który szybko podniósł krzesło i postawił je na swoim miejscu.

– No, jego stary każe mu się uczyć. I włóczy się po nocach, i go budzi – dodał Brajan.

– Krystian włóczy się po nocach? – zapytał zaciekawiony Amadeusz. Czyżby jednak mścił się na księdzu? Po co w innym wypadku wychodziłby nocą?

– Tak nam się skarżył Mundial.

– No dobrze, a powiedz mi, Bananie... – Wagner zwrócił się do chłopca w koszulce z bananem. – Ksiądz Karol kupił Gizeli i Karolinie korale koloru koralowego.

– Ano kupił. – Banan roześmiał się wraz z innymi dziećmi.

– O co w tym chodzi?

– No nie wiemy. – Brajan wzruszył ramionami.

– Starsze dzieci to śpiewały i nam się spodobało. – Dżesika zaczęła się bawić swoimi warkoczykami.

– Które starsze dzieci? – dopytywał dalej Amadeusz.

– Bo to było tak... – Banan wziął głęboki oddech. – Kazio uderzył Macieka. Maciek zawołał brata i uderzył Kazia. Kazio zawołał Zdziśka i się wszyscy pobili. I ogólnie się bili, i wygrali Kozłowsy. I Maciek zaczął z bratem za nimi chodzić i to krzytać.

– Nie, na początku było inaczej – poprawiła go Dżesika.

– O czym ty gadasz? – Brajan podrapał się po głowie.

– Nie pamiętasz? Najpierw krzyczeli za nim: „Ksiądz Karol wsadził Gizeli

w brylantynę korale koloru koralowego”. I nawet napisali to na ścianie.

– Tak! I Franca się dowiedziała, i od razu wiedziała, kto to zrobił, i Maćkowie myli ścianę! – przytaknął jej Banan.

– I to było podobno strasznie brzydkie, to co oni powiedzieli, bo Franca wezwała rodziców.

– I ogólnie była rozpierducha! – Banan się roześmiał.

– Więc zaczęli gadać o Karolinie. Że dostała korale.

– Nie, to było później, kiedy Mundial przyniósł iPoda do szkoły! – Dżesika krzyknęła na brata.

– Nie, bo to było wtedy, gdy przyniósł do szkoły Xboxa!

– Oszalałeś, jego stary nigdy by mu nie pozwolił zabrać do szkoły Xboxa!

– No chyba ty! – Banan i Brajan rzuciliby się sobie do gardeł, gdyby Amadeusz ich nie powstrzymał.

– Dobrze, rozumiem. Wszystko jest jasne – powiedział Wagner.

– Jest? – Trzy pary oczu spojrzały na niego z radością.

– Tak, bardzo wam dziękuję. – Zamyślił się. – Gdzie Franca trzymała swoje osobiste rzeczy? – zapytał.

– W trzeciej szufladzie – odpowiedziała Dżesika.

– Ale ona jest na klucz. Próbowaliśmy z Mundialem się włamać, ale się nie udało. – Banan wyglądał na wyraźnie zawiedzionego tym faktem.

– Rozumiem. – Wagner się uśmiechnął.

Nagle zadzwonił dzwonek.

– O raju, matma!

Brajan wybiegł pierwszy, a za nim Dżesika. Banan został w tyle i patrzył na Amadeusza, jakby chciał mu coś powiedzieć.

– Wie pan... ja coś wiem – zaczął, ale natychmiast zamknął usta.

– Na temat złodzieja? – Amadeusz przypomniał sobie rozmowę z dziećmi sprzed kilku dni.

– Tak. Ale też nie. O raju, to wszystko jest takie trudne... – Chwycił się za głowę, którą ktoś kiedyś próbował przystrzyc, ale mu się nie udało, więc włosy miały zupełnie różną długość.

– Czy... – zaczął Amadeusz, lecz chłopiec jęknął.

– Mam matkę, a nic nie mam! – krzyknął i wybiegł z klasy.

Wagner miał godzinę wolnego przed następną lekcją. Tego dnia wypłynęło na wierzch kilka faktów, kilka interesujących informacji, które koniecznie musiał przetrwać. Domagały się tego jego żołądek oraz głowa. Wyciągnął z pojemnika jednego gołąbka i zaczął go jeść na zimno.

Gołąbki na zimno mają zupełnie inny urok i zupełnie inny smak niż te na ciepło. Ciepłe gołąbki, koniecznie wielkości dwóch pięści, wedle przepisu prababci, polane sosem pomidorowym na śmietanie oraz przystrojone pietruszką rozgrzewały serce od środka. Nie było nic piękniejszego na świecie niż moment, kiedy mógł wziąć kawałek

kapusty do rąk i zamoczyć ją w sosie. Gdy nikt nie widział, to nawet wylizywał talerz. Natomiast gołąbki na zimno... To było jak jedzenie lodów. Sos robił się wtedy prawie stały i Amadeusz mógł spokojnie wyjadać go palcem z pojemnika. Gołąbki były też bardziej zwarte i mógł ich zjeść więcej niż tych na ciepło. Złota proporcja jego prababci zawsze głosiła: dwie trzecie ryżu i jedna trzecia mięsa, koniecznie ze świeżo ubitej świnki. Ryż najlepiej ten do sushi. Cieszył się, że mamusia zapakowała mu dużo gołąbków, bo właśnie spokojnie zjadł ich połowę. Zamknął opakowanie lekko najedzony i wstał z krzesła.

Klasa, w której uczyła Franca, była taka sama, jak za jego młodych lat. Nic się tu nie zmieniło. Franca nie pozwalała na wieszanie jakichkolwiek obrazków czy malunków dzieci, bo twierdziła, że nikt nie ma talentu i te bohomyzy kolą ją w oczy. Przy nim raz powiedziała, że jeśli będzie musiała pracować w miejscu, w którym wiszą zniszczone przez bachory kartki, to rzygnie.

Amadeusz postanowił włamać się do jej szuflady. Jego burczący brzuch mówił mu, że musi to zrobić. Czuł, że znajdzie tam coś ważnego. W końcu jeśli ktoś pracuje gdzieś całe swoje życie, to raczej trzyma personalne rzeczy w miejscu pracy, prawda?

Wagner przyjrzał się staremu biurku, które było tu prawdopodobnie wcześniej nawet niż Franca. Miało tylko trzy duże szuflady. Pierwsze dwie, które otworzył, zawierały przybory szkolne typu kreda, linijka i kulki, które prawdopodobnie kiedyś komuś skonfiskowała.

Trzecia szuflada była chroniona ciężkim, dużym zamkiem, który zamontowano prawdopodobnie jeszcze w czasach dwudziestolecia międzywojennego. Do takich antyków trudno było się włamać, ponieważ nie były to meble robione metodą klejenia, tylko dopasowywania i szlifowania.

Na jego szczęście z czasów, kiedy pracował w filharmonii, pamiętał, że jeden ze skrzypków pewnego dnia pochwalił się, że kupił za trzydzieści tysięcy złotych antyk, a dokładnie biurko. Wagner słyszał potem w kuluarach innych muzyków, którzy zastanawiali się, czy nie nasłać na skrzypka urzędu skarbowego, żeby skontrolował, skąd ten ma tyle pieniędzy, ale skończyło się na złorzeczeniach. Po miesiącu skrzypek przyszedł na koncert załamany, ponieważ okazało się, że w meblu były korniki, które go uszkodziły, a dokładniej uszkodziły spód i w nocy wszystkie papiery wypadły.

Amadeusz zajrzał pod spód i zobaczył stulecia brudu, a nawet pajęczynę. Jego pulchne ciało nie było w stanie w całości wejść pod biurko, więc wsadził tam tylko głowę i rękę, którą macał boki szuflady. Po chwili wyczuł palcem dziurę w boku. Cieszył się, że filharmonia i bzdurne opowieści muzyków do czegoś mu się przydały. Zacisnął dłoń w pięść i uderzył w miejsce, gdzie znalazł dziurę. Poczuł, jak drewno ustępuje pod jego ręką, a on sam przebija się do środka szuflady. Sięgnął w głąb i wyczuł papiery. Ostrożnie je chwycił, wyciągnął i położył na biurku. Potem znowu wsadził rękę w dziurę, szukając innych skarbów, ale niczego nie znalazł.

Przyjrzał się więc kilku kartkom, które Franca kiedyś zapisała i które zamknęła w szufladzie na klucz. Liczył na to, że zobaczy dokładne informacje na temat tego, kogo widziała i kogo podejrzewa, ale się pomylił. Jedna kartka była pożółkła ze starości i przedstawiała odmowę przyjęcia do stowarzyszenia poetów polskich

skierowaną do Francji. Druga z kolei kartka była biletem z koncertu poezji śpiewanej z dwa tysiące czternastego roku, na którym była Franca. Na trzeciej kartce znajdował się wiersz, który zapewne napisała w przypiływie natchnienia, a który był, krótko mówiąc, beznadziejny. Czwarta kartka była natomiast bardziej obiecująca, bo wyglądała na wydartą z zeszytu; na niej Franca nabazgrała jak kura pazurem kilka słów: „ż i b krad”.

Popatrzył na treść i się zdumiał. O co tu chodziło? „Krad” – to ewidentnie skrót od „kradzież”. Czyli jego teoria w tym momencie potwierdziła się w stu procentach. „Ż”. Kto to jest? „Ż i b”. Złodziei jest dwóch. Czemu wcześniej na to nie wpadł? To nie była robota jednej osoby. Pomyślał o Antku i jego nowym aucie, pomyślał o Krystianie i jego śladach po paznokciach. I pomyślał o Staszku i jego banknotach o niskich nominałach. Któraś dwójka współpracuje ze sobą. Tylko która?

Schował kartkę do kieszeni, a resztę wsadził z powrotem do szuflady.

Kolejna lekcja miała być z klasą, do której chodził Kazio. Wagner poszedł do pokoju nauczycielskiego i wymienił dzienniki, po czym poszukał podręcznika dla starszych klas. Domyślał się, o czym miała być kolejna lekcja, i wcale się nie pomylił. Znowu miał mówić o Mozarcie.

Liczył na to, że po doświadczeniach z młodszymi da radę zapanować nad starszymi, jednak nie mógł się bardziej pomylić. Młode dzieci przynajmniej manifestowały ruchowo swoją niechęć; starsi jawnie nim pogardzali. Kiedy weszli do klasy i usiedli na swoich miejscach, Wagner poczuł zapach potu i dojrzewania, przez co musiał otworzyć okno. Cała klasa, która liczyła piętnastu uczniów, siedziała z nosami w swoich komórkach i nie chciała go słuchać. Kilkoro nawet odwróciło się do niego plecami i zaczęło jeść chipsy.

Jego wykład o Mozarcie nie spotkał się z takim zainteresowaniem, jak myślał, nie spotkał się wręcz z żadnym zainteresowaniem. Czterdzieści pięć minut ciągnęło się i jemu, i zapewne klasie. A kiedy zabrzmiał dzwonek, Wagner prawie popłakał się z radości. Jak Franca to wytrzymała przez tyle lat?

– Kaziu, zostań, proszę – zatrzymał syna Gizeli, który spojrzał na niego spode łba i wymienił się telepatycznie z kolegami myślami o tym, co mógł nabroić i na kogo może to zrzucić. Amadeusz wskazał mu miejsce w ławce przed sobą i poczekał, aż wszyscy wyjdą. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za ostatnim uczniem, Kazio skrzyżował niezadowolony ręce.

– Wiem już, o co chodzi. Miałem takich gadek łącznie już dwadzieścia. Wiem, bo liczę. – Spojrzał wyzywająco na Amadeusza. – Tak, nie jestem kompletnym głąbem i umiem liczyć.

– Słucham? – Wagner był trochę zbity z tropu.

– No, pewnie matka znowu się chajta, nie? – westchnął i przeciągnął dłonią po swoich włosach.

– Co? Jak? Skąd ci to przyszło do głowy? – zapowietrzył się.

– Bo tak zawsze jest. Pewnie wpadła i się chajta, żeby nie było widać brzucha.

– Ale kiedy myśmy nie...

– Oj, to sorry, stary, ale bachor nie jest twój. I nadal chcesz się chajtać? – Kazio poruszał głową zawiedziony.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Między mną a Gizelą niczego nie ma i nigdy nie było. Nie jesteśmy sobą zainteresowani i żadnego ślubu nie będzie. – Prawie uderzył dłonią o stół. Zaczynał czuć się niekomfortowo, a kiedy czuł się niekomfortowo, jego umysł uciekał w krainę słodczy. Teraz podsuwał mu wizję sernika z owocami polanego żółtą galaretką i ozdobionego bitą śmietaną... Amadeuszu, weź się w garść! Prowadzisz śledztwo!

– Nam mówiła co innego. Że znalazła kolejnego jelenia, tym razem na stałe. – Wzruszył ramionami.

– Nie znalazła. Nie o tym chciałem porozmawiać. – Wagner otrząsnął się z ponurej wizji małżeństwa z Gizelą.

– A o czym?

– Gizela jest w ciąży? – Rozmowa mu nie szła. Nie wiedział nawet, czemu o to zapytał. Żołądek zaczął mu burczeć, żaląc się na jego niekompetencję.

– A nie jest?

– Nie wiem.

– To skąd to przypuszczenie?

– A nie wiem. – Kazio zamknął się w sobie.

– Z kim się teraz spotyka?

– Więc jednak się nią interesujesz?

– Chciałbym tylko wiedzieć...

– Wszyscy chcą wiedzieć. Gdzie lata wieczorami i skąd wraca nad ranem. To dorosła baba, więc jej nie śledzę. – Wzruszył nonszalancko ramionami, choć wydawał się ogromnie spięty.

– Widziałem ją wczoraj w lesie – zaryzykował Wagner.

– Znowu? Stara baba, a głupia jak but – zdenerwował się Kazio. Amadeusz musiał podejść do tego na spokojnie, żeby chłopak się znowu nie zamknął. – Myśli, że jak wychodzi na palcach, to nas nie obudzi? Za drzwiami i tak wkłada szpilki, więc wszystko słyhać. I tak co wieczór! To moja matka i ją kocham, ale zachowuje się jak gówniara. Nawet dziewczyny w mojej klasie biorą ją za przykład, jak się nie zachowywać. O Boże, jest mi tak wstyd. – Schował twarz w dłoniach.

– Wiesz do kogo chodzi? – Wagner zaryzykował pytanie.

– Gówno mnie to obchodzi! – wybuchnął chłopiec. – Nie wiem, kto tu jest ważniejszy niż jej rodzina i jej własne dzieci. Bo nas wyprzeć się nie może! – Wziął kilka głębokich oddechów. – Raz próbowaliśmy ją śledzić ze Zdzisiem, ale zgubiliśmy ją w lesie. Idzie gdzieś na zachodnią lub wschodnią część wioski, pewnie do domu jednego z bogaczy, bo zawsze wraca z kasą. A ja brzydzę się wydawać tak zarobione pieniądze. – Wyciągnął z kieszeni pomiętoszone banknoty dziesięciozłotowe. Amadeuszowi zaburczał brzuch.

– I codziennie wraca z pieniędzmi? Z dziesięciozłotowymi banknotami? – Przyjrzał się papierkom. Jedne były starsze, drugie nowsze.

– Tak. I wmawia, że dostaje zasiłek od państwa. Za kogo ona nas ma? Za debili? – Kazio wyciągnął cukierka z torby i wsadził go do buzi, żeby się uspokoić. – Już jej nie śledzimy. Kasę, którą nam daje, wsadzamy z powrotem do jej torebki. Wolę głodować niż wydawać kupczone pieniądze.

– A wasi ojcowie?

– Płacą jakieś tam alimenty, ale wszystko idzie na rachunki i na dom. Mój to mnie nawet nie chce widzieć, bo twierdzi, że nie jestem jego. Nie wiem, czyj jestem, i mam to gdzieś. – Zacisnął dłonie w pięści. – O czym chciałeś pan ze mną gadać?

– A tak, właśnie. – Amadeusz spojrział na Kazia i miał wrażenie, że już gdzieś widział te rysy twarzy i to wcale nie u Gizeli... Brzuch mu zaburczał. Przypomni mu się kiedyś. – Chciałem cię zapytać o... – W sumie dostał już odpowiedź na to, co Gizela robi w nocy, i dowiedział się nawet, że przynosi pieniądze, kiedy wraca. Czyżby to ona kradła z zakrystii? – Chciałem cię zapytać, w którym miejscu podręcznika się zatrzymaliście z Francą – palnął, nie chcąc się zdradzić z tym, że prowadzi śledztwo. Młody na pewno poskarżyłby się Gizeli.

– Jesteśmy na Mozarcie. – Kazio popatrzył na Wagnera jak na debila.

– Czyli dobrze dziś trafiłem – udał zadowolenie. – Możesz już iść, dziękuję. – Chłopiec wstał. – Jakbyś jeszcze czegoś potrzebował, to wpadaj – powiedział tak, jak każdy pedagog powinien powiedzieć choć raz do swojego ucznia.

– Jasne. – Młodzieniec się skrzywił. – I, stary... nie angażuj się z moją matką. Szkoda życia – poradził mu spokojnie i wyszedł.

Amadeusz, zanim mógł pójść do domu, musiał się zmierzyć z jeszcze jedną klasą, która tak jak reszta całkowicie go zignorowała. Miał bardzo dużo do przemyślenia. Odnośnie do tego, co znalazł, i tego, czego się dowiedział od Kazia. Czy Gizela byłaby zdolna do pchnięcia drobnej Franczy? Zdecydowanie tak. Z jej tuszą mogłaby spokojnie ją popchnąć, gdyby ta na przykład złapała ją z zaskoczenia na gorącym uczynku.

Musiał sobie wszystko uporządkować. Czuł, że brakuje mu tutaj porządku. Tak jak lazanie musiał ustalić sobie warstwy i kolejność wydarzeń. Lazanie... Nabrał nagle ochoty na taki kawał makaronu z mięsem polany pomidorami oraz przystrojony koniecznie śmierdzącym serem... I żeby jeszcze parował mu na talerzu...

Skup się, Amadeuszu! Człowiek nie żyje i trzeba się dowiedzieć, jak to się stało i dlaczego. Miał swoje podejrzenia, ale na razie żadnych konkretów. Wiedział, że Franca nie kradła pieniędzy, bo nie były jej potrzebne. Ktoś z jego starych znajomych, ktoś, kto znał skróty, podkraść pieniądze z kościoła i kradł we wsi. Wagner wiedział, że były to dwie osoby. Jedna brała pieniądze, a druga... Druga jakby wstydziła się, że kradnie, więc zabierała tylko połowę.

Domyślał się też, że Franca ujrzała złodzieja, podążyła za nim do kościoła i zginęła. Znając jej porywczy charakter, pewnie obraziła napastnika albo próbowała go uderzyć. I po raz pierwszy w całym jej życiu ktoś – złodziej – jej oddał. I uciekł, zostawiając ją na pastwę losu.

Nagle przyszła mu do głowy myśl – czy tej nocy pieniądze z kasetki też zniknęły? Teraz już się nie dowie. Brzuch zaburczał, przypominając Wagnerowi, jak bardzo się myli. Nagle go olśniło. Przecież zrobił zdjęcie miejsca zbrodni!

Wyciągnął telefon z kieszeni i otworzył album ze zdjęciami. Miał tam głównie obrazki z nutami lub jedzeniem, lub jedno i drugie – na przykład frytki zawinięte w nuty... i Franca. Przypatrzył się. Na swoje nieszczęście nie uchwycił stołu ani szafek za nim. Czyli będzie trzeba porozmawiać z Karolem. Westchnął przeciągle. Pamiętał, jak ksiądz reagował na jego wysiłki związane z poszukiwaniem mordercy. Pamiętał, jak wszyscy reagowali. Jakby nie było im na rękę znalezienie sprawcy. Ale tak nie mogło być. Sprawiedliwości musiało stać się zadość. Chociażby kosztem innych.

Teraz rozumiał dobrze Francę. Rozumiał dobrze wszystkich zmęczonych nauczycieli, którzy tak jak ich wychowankowie z utęsknieniem wyczekują weekendu, z utęsknieniem wyczekują wakacji i jakichkolwiek wolnych dni. Amadeusz prowadził wprawdzie tylko trzy lekcje, ale przez nie nabawił się migreny, zjadł wszystkie gołąbki przygotowane przez mamusię oraz dopadł go *Weltschmerz*, czyli Werterowski

ból świata. Bolało go powietrze, bolało go słońce, bolała go ziemia. Zaczął patrzeć inaczej na dzieci, zaczął patrzeć inaczej na siebie, na gołąbki, które nie były w stanie ukoić jego bólu, i na smutne chodniki, smutne drzewa, które mijał, wracając na piechotę do domu. Wolał nie kombinować ze skrótami leśnymi, ponieważ bał się, że się zgubi.

Była dwunasta. Słońce prażyło niemiłosiernie, a drzewa go przed nim nie chroniły. Przypomniawszy sobie swoje młode lata, kiedy to chodził zmęczony szosą po szkole do domu. Była to jego ulubiona pora dnia, ponieważ mógł pofantazjować o jedzeniu, które na niego czeka, i o deserach, jakie może sobie przyrządzić.

Teraz jednakże jego myśli krążyły wyłącznie wokół morderstwa. Wiedział, że się powtarzał, wiedział, że brakuje mu kogoś, z kim mógłby przedyskutować to wszystko, z kim mógłby porozmawiać.

– Hop, hop! – usłyszał nagle ze strony lasu. Zatrzymał się przerażony i rozejrzał dookoła. Ptaki śpiewały, a na drodze nie było ani jednego żywego ducha.

– Kto tam? – zapytał głupekowato.

– Ja.

Z zarośli wyszedł Staszek i roześmiał się serdecznie. Miał ogromne siniaki pod oczami, jakby nie spał od co najmniej miesiąca. Amadeusz miał też wrażenie, że jego kolega postarzał się o kilka lat w zaledwie jeden dzień.

– Cześć, Staszku. – Uścisnęli sobie dłonie.

– Jak się czujesz? Widzę, że urodzony z ciebie pijaczek, bo nie wyglądasz, jakbyś cały wieczór balował.

– Jakaś tajna receptura mamusi. Nie wiem, co to było, ale postawiło mnie natychmiast na nogi.

– Może kiedyś się podzieli. Mieszkańcy Gawrych Rudy postawiliby jej pomnik w ramach wdzięczności – uśmiechnął się.

– Właśnie, Staszek, dobrze, że cię widzę, bo chciałem cię o coś zapytać.

– To pytaj. – Szczęściarz zerwał liść z drzewa i zaczął go żuć.

– Pamiętasz, na kogo się wczoraj natknęliśmy w lesie? Jak wracaliśmy od Krystiana?

– Oczywiście, że pamiętam. – Wypluł przeżuty liść.

– Na kogo?

– Nie pamiętasz?

– Nie...

– Naprawdę? Niesamowite...

– Nie powiesz mi?

– Oczywiście, że powiem. Tak tylko się z tobą droczę. – Staszek się zaśmiał, a na jego twarzy odmalowała się radość. Wyglądał, jakby nie robił tego już od dawna. Jego mięśnie nie nawykły do tyłu uśmiechów. – Dziwi mnie tylko, że cokolwiek zapamiętałeś z poprzedniej nocy, przecież byłeś ledwo przytomny, kiedy cię wlokłem. – Sięgnął po kolejny liść. – Co dokładnie pamiętasz?

– Staszek...

– Dobrze, dobrze... Tylko po co ci to?

– Staszek...

– Drocę się z tobą, Wagner. I wiem, dlaczego chcesz to wiedzieć. A przynajmniej się domyślam – westchnął. – To była Gizela. Oczywiście. – Złamał gałązkę. – Zapomnij o niej, Wagner.

Ruszył powolnym krokiem w stronę biedniejszej części wioski.

– Dlaczego „oczywiście”? – Amadeusz poszedł za nim.

– To są naturalnie plotki, a ja nie plotkuję. Ale gdybym jej kiedyś nie zobaczył, tobym nie wiedział. Więc ze spokojnym sumieniem ci powiem: nie angażuj się. – Zwiesił głowę.

– Staszek... – Czyżby kiedyś coś ich łączyło? Brzuch mu zaburczał, starając się zwrócić uwagę na coś innego. Chwilę mu zajęło zorientowanie się, co dokładnie jego organizm chce mu powiedzieć. – Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Co? – Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie.

– Jest piątek. Dwunasta. Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Wagner... – Staszek przygarbił się i westchnął. Jego uśmiech zniknął bezpowrotnie i mężczyzna wrócił do swojej pomarszczonej, zmęczonej życiem twarzy. Amadeuszowi zrobiło się przykro z powodu kolegi. – Tak czasami bywa w życiu. Raz szczęście się do ciebie uśmiecha, a kiedy indziej się na ciebie wypina. Na mnie się teraz głównie wypina. Więc nic innego mi nie pozostało.

– Jak długo nie masz pracy?

– Długo.

– Dlaczego nie chcesz pracować dla Krystiana? – zapytał Wagner, choć wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Drogą szybko przejechał samochód. Staszek automatycznie się skulił.

– A ty byś chciał? – Wagner spojrzał mu prosto w oczy i zobaczył ból i coś jeszcze. Wstyd?

– Jak więc utrzymujesz rodzinę?

– Dajemy sobie radę. Zawsze dawaliśmy. – Zacisnął dłonie w pięści.

– Skąd masz pieniądze, Staszek? – dopytywał.

– Tak czasami jest, że...

– Skąd masz pieniądze? Kradniesz?

Staszek cały się spiął.

– Nigdy bym się do tego nie zniżył. – Miał wzrok dzikiego zwierzęcia. Amadeusz zaczął się bać, że Szczęściarz zaraz się na niego rzuci.

– Więc skąd masz pieniądze?

– Wagner...

– Skąd? – Wiedział już, że stracił kolegę, widział to w jego oczach, wiedział to po rzeczach, które go spotkały, po tym wszystkim, co się wydarzyło, po przepaści, która ich dzieliła. Gdyby Franca zajęła się Staszkiem tak, jak zajęła się nim, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Pożyczam! Na żebry chodzę! Dostaję z MOPS-u! I pięćset plus! To chciałeś usłyszeć? Jaki żalony jestem? Jak nie potrafię zarobić na rodzinę, bo nie potrafię zapanować nad alkoholem? Czy wiesz, ile ze mnie zostało? Czuję się martwy, czuję się jedną wielką porażką, łatwiej by było, gdybym zginął, przynajmniej wtedy odciążylbym jakoś moją rodzinę... – Rozplakał się, a jego czerwony nos spuchł. – To nie powinno tak być. Ja nie powinienem taki być... Ja już nie jestem człowiekiem. Przestałem nim być, nie zasługuję, żeby nim być.

Nagle, niespodziewanie wbiegł w las i zniknął z oczu Amadeusza. Flecista nie miał szans, żeby go dogonić. Nawet nie próbował.

Mamusia czekała na niego w domu z nową porcją gołąbków. Gołąbków nigdy nie jest za mało. Zjadł cały gar, zanim poczuł, że wewnętrzna pustka została trochę zapełniona. Musieli z mamusią dorabiać sosu pomidorowego, bo nie starczyło.

– Nieźle te dzieciaki musiały cię wymęczyć, Duszku. – Mamusia pogładziła go po głowie.

– Wymęczyły... – westchnął, gryząc kanapkę z plasterkami czosnku.

– Jestem z ciebie taka dumna, Duszku. A jak już zostaniesz na pełen etat, to upiekę ci torcik, co ty na to?

– Mamusiu, nie zostanę na pełen etat. Ja mam pracę we Wrocławiu.

– A tam, Wrocław-szmocław. To nie jest miejsce dla ciebie. Pamiętaj o tym. Zostaniesz tu z mamusią i z Gizelką... i będziesz szczęśliwy. – Mamusia ukroiła pajdę chrupiącego chleba i zaczęła się nim zajadać, maczając go w miodzie.

– Mówiłem przecież, że między mną a Gizelą nigdy nic nie będzie. – Wgryzł się w skórkę, która przyjemnie zraniła go w podniebienie.

– Nie mów hop, zanim nie zajdzie słońce. – Pogroziła mu żartobliwie palcem.

– Widziałem Gizelę wczoraj w nocy w lesie – powiedział.

– Nie, to nie była ona. Wydaje ci się. – Wzrok mamusi uciekł za okno, a następnie na szafkę.

– Zapytałem nawet o to Staszka, a ten potwierdził. Mamusiu, co przede mną kryjesz?

– Ja?! Ja nic nie kryję. Ja jestem otwarta księga. I ty wierzysz słowu jakiegoś pijaka, a nie mamusi?

– Ale mamusiu...

– Znowu się bawisz w detektywa, prawda? Przyznaj się! – Uderzyła pięścią w stół, aż podskoczył słoik miodu.

– To nie jest...

– Obiecałeś mi, że nie będziesz robił niebezpiecznych rzeczy!

– Jak pytanie się o Gizelę podchodzi pod niebezpieczne rzeczy? Chociaż... – zastanowił się. – Tak, podchodzi.

– Gizela ma za sobą ciężkie przeżycia i jest kobietą. Wiesz, jak kobiety mają ciężko w dzisiejszych czasach? My potrzebujemy miłości, a jak jej nie ma, to trzeba

jej szukać, aż się znajdzie.

– Mamusiu, mam wrażenie, że jesteś zaślepią Gizelą i nie widzisz rzeczywistości.

– To ty nie widzisz rzeczywistości. Nie samą muzyką człowiek żyje – powiedziała mamusia i naburmuszona poszła do salonu, gdzie spała. Z trzaskiem zamknęła drzwi.

Amadeusz nie wiedział, co o tym myśleć. Każdy we wsi miał jakieś tajemnice, każdy chodził gdzieś po nocy i każdy mógł być złodziejem. Brzuch mu zaburczał – na pewno nie z głodu, bo właśnie zjadł piętnaście gołąbków. Żołądek gdzieś go pchał – coś chciał mu zasugerować, ale Amadeusz był zbyt zmęczony, żeby dać radę odpowiednio odczytać sygnały. Z mamusią obrażoną w salonie i z żołądkiem domagającym się czegoś postanowił wyjść na spacer.

Wagner z definicji unikał lasu. Czaiło się tam wiele zwierząt i wielu ludzi, przed którymi nigdy nie byłby w stanie uciec z powodu swojej tuszy. Jeśli już zdecydował się wchodzić do lasu, to tylko po to, żeby nazbierać z mamusią grzybów na susz lub malin czy kamionek, z których potem robili kompoty, dzemy oraz ciasta. Gdy źle się czuł, to zwykle szedł nad jezioro, żeby zamoczyć nogi i popatrzeć na ryby, kaczkę oraz głośnych turystów. Podgryzał sobie wtedy kanapki i marzył o wspaniałym życiu wielkiego muzyka. Teraz też nogi same go poniosły w jego ulubione miejsce, gdzie mógł spokojnie sobie usiąść na pomoście i pomyśleć o śledztwie.

Nad jego ulubione jezioro wchodziło się, okrążając szkołę i idąc schodkami prosto w dół na pomost. Niewiele osób wiedziało, że kilkanaście metrów dalej na prawo od szkolnego pomostu trzeba było przejść przez dzikie krzaki, by dostać się do ukrytego pomostu, o którym wiedzieli tylko nieliczni. Często się tam chował przed Gizelą, kiedy wraz z kolegami chciała go wrzucić do wody lub kiedy chciał po prostu odpocząć.

Zszedł po chybionych schodach, które ktoś kiedyś zamontował, i podniósł wzrok na jezioro Staw. Turystów zawsze ciągnęło nad Wigry, a tylko mieszkańcy wiedzieli o Stawie i o tym, jaki jest ciepły i niezanieczyszczony. Nie było tu jeszcze dzieci, które nadal były w szkole, ale na pomoście siedział mężczyzna. Amadeusz poznał od razu jego łysinę oraz sutannę, której ksiądz nawet nie ściągnął.

– Dzień dobry, Wiesławie. – Wikary drgnął, usłyszawszy swoje imię, i odwrócił się powoli.

– Amadeusz. – Spojrzał na niego spod krzaczastych brwi, które teraz były ściągnięte w niepokoję. – Co ty tutaj robisz?

– Chciałem odpocząć nad wodą. – Wagner wszedł na pomost i usiadł obok księdza. Brzuch zaburczał mu zadowolony. – A ty?

– Także. Jestem taki zestresowany... Nawet Biblia nie pomaga. Nie ma tam żadnego wersu, dzięki któremu dowiedziałbym się, jak należy zareagować, kiedy znajdzie się martwą osobę. – Wiesław westchnął przeciągle i złapał się za głowę. – Nie mogę spać, nie mogę jeść, nie mogę się modlić... Wszędzie widzę te jej puste oczy...

– Czy to nie dziwne? – zastanowił się głośno Amadeusz. – Co ona tam robiła? Na

zakrystii?

– Nie wiem, nie wiem... ja nic już nie wiem... Mój umysł przypomina gąbkę... – zaszlochał.

– Ksiądz Karol opowiadał mi o tym, że ktoś podkradał pieniądze z kasetki.

– Opowiadał? – Wikary wyraźnie się spał.

– Codziennie znikala pewna suma pieniędzy... Przez to kościół nie mógł zebrać środków na budowę dachu.

– Ja nic nie wiem. – Pochylił wzrok.

– Kiedy to się zaczęło?

– Co? Nic! Ja nic nie wiem – zachnął się.

– Chodziło mi o to, kiedy zaczęły się te kradzieże. – Żołądek mrucał zadowolony. Wikary coś wiedział. Trzeba było go tylko dokładnie podpytać.

– Nie wiem.

– Wikary nic nie wie? Jak to? – Amadeusz ściągnął but i wsadził jedną nogę do wody. Była zimna.

– Może od kilku miesięcy – mruknął Wiesław.

– Od kilku miesięcy ktoś kradnie wam pieniądze i nie zgłosiliście tego?

– Ksiądz Karol uważa, że jakaś dusza tego potrzebuje.

– Rozumiem, ale z drugiej strony policzmy... – Najlepiej liczyło mu się na pierożkach, więc w głowie wyobraził sobie wielką michę pierogów polanych tłuszczem oraz z podsmażoną cebulką... – Kradzieże zdarzały się ile razy w tygodniu? Codziennie?

– Chyba... – Wikary zaczął nerwowo wyłamywać palce.

– Czyli codziennie ginęło po około trzydzieści–czterdzieści pierożków... złotych – poprawił się. – Załóżmy tę najgorszą wersję. Miesiąc ma trzydzieści dni. Czterdzieści razy trzydzieści wynosi tysiąc dwieście złotych miesięcznie. Działo się to od kilku miesięcy, czyli od ilu?

– Ośmiu – wydukał nerwowo Wiesław.

– Osiem razy tysiąc dwieście daje nam ile? – W głowie Amadeusza latały pierogi ruskie, z kapustą i grzybami, serem, truskawkami, boczkiem i mięsem.

– Dziewięć tysięcy sześćset – wystękał wikary. Amadeusz zobaczył pot na jego twarzy.

– Kościół stracił dziewięć tysięcy sześćset złotych i nic z tym nie zrobiliście? Naprawdę? – Wsadził do wody drugą nogę. Było mu teraz bardzo przyjemnie.

– Ksiądz Karol...

– Wiemy, jaki jest ksiądz Karol. Ale czy ciebie nigdy nie podkusiło, żeby zobaczyć, kto jest złodziejem? Żeby zabezpieczyć kasetkę? Żeby odkryć, która zgnębiona dusza dopuściła się takich karygodnych czynów?

– Ja nie... – Wikary wyglądała, jakby zaraz miał paść na zawał serca.

– Chyba że dokładnie wiesz, kto kradnie, i nie zrobiłeś z tym nic, żeby temu zapobiec. – Wiesław zrobił się blady jak ściana. Wagner trafił w sedno. – Dlatego po

zapadnięciu zmroku nie wchodziłeś na zakrystię. Żeby umożliwić kradzież. Prawda?

– Ja nie...

– Prawda?

– Prawda! – wybuchnął i zaczął płakać. Amadeuszowi zrobiło się go żal. – Nic nie mogłem na to poradzić... to było silniejsze ode mnie!

– Co? – Wagner był zbity z tropu.

– Potrzebowałem tych pieniędzy, bo... – Zachłysnął się. – Bo potrzebowałem. Myślałem, że nikt nie zauważy, a już najbardziej ksiądz Karol. On ma taką dobrą duszę... to jest taki dobry człowiek...

– Ty kradłeś? – Amadeuszowi oczy prawie wyszły z orbit. Nawet brzuch mu zaburczał zaskoczony. Tego się kompletnie nie spodziewał. Myślał, że ochraniał jakiegoś złodzieja... Myślał, że to Gizela kradła.

– Tak. Wstydzę się tego, ale nic na to nie poradzę. Jestem grzesznikiem i trafię do piekła – powiedział patetycznie.

– Po co ci to było?

– Po... Nieważne. Musiałem.

– Więc byłeś na zakrystii noc przed morderstwem Francy?

– Nie. Nie byłem – rzekł cicho Wiesław. – Postanowiłem z tym skończyć. I od tygodnia nie brałem.

– A i tak znikwały pieniądze.

– Tak. To Bóg mnie pokarał. I nadal karze. Dopóki nie przyznam się do winy i nie zwrócę tego, co bezprawnie zabrałem. – Wytarł zapłakane oczy.

– I naprawdę nie wchodziłeś na zakrystię w noc przed Bożym Ciałem?

– Nie... byłem zajęty. – Wikary głośno przełknął ślinę.

– I nie widziałeś nikogo, kto by się skradał? Żadnych odgłosów?

– Żadnych! Tylko wtedy, gdy wrócił Karol...

– A kiedy to było?

– Nie wiem... Było jeszcze w miarę ciemno. Może po północy. Wracał z ostatniego namaszczenia. Pamiętam, bo wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie miał siły iść na zakrystię, tylko zostawił na dole swoją torbę...

– To co robiłeś rano na zakrystii?

– Chciałem rozpakować tam torbę księdza i zwrócić część pieniędzy, które udało mi się zarobić online... Gram w pokera. – Zaczerwienił się. – Ja wszystko oddam, ale powoli. Oddam, naprawdę! – Ramiona mu opadły.

– Ja ci wierzę... – Amadeusz próbował dokładnie przeanalizować to, co usłyszał.

– Ja dla Karola zrobiłbym wszystko... On powinien zostać świętym. Sam chodzi na ostatnie namaszczenia, bo wie, że ja jestem słaby psychicznie i żegnanie zmarłych by mnie zniszczyło... Dlatego śpi po kilka godzin dziennie i służy naszej społeczności, jak tylko umie. To anioł, nie człowiek. Ja nie zasługuję, żeby być z nim na tym świecie! – Wikary wstał i skoczył do wody. Na jego nieszczęście było tu dosyć płytko, więc zamoczył się tylko do pasa. Zaczął płakać, niezadowolony, że nie

może się nawet porządnie utopić.

– Jeśli zrobisz wszystko, to odpracuj te pieniądze i się nie poddawaj. Masz jedno życie, więc musisz je wieść, jak tylko najlepiej potrafisz – oznajmił mu powoli Wagner i pomógł wdrapać się po drabinie z powrotem na pomost.

– Odpracuję! Choćbym miał zdechnąć, ale odpracuję! – powiedział z ogniem w oczach i pobiegł w stronę kościoła, zostawiając za sobą mokre ślady. Amadeusz patrzył za nim ze zmrużonymi oczami. Żołądek starał się mu coś podpowiedzieć, ale bezskutecznie.

Na co dokładnie szły pieniądze wikarego? Na długi z pokera? Czy dlatego kradł? Ale dlaczego takie małe kwoty? Nic do siebie nie pasowało.

Miał wrażenie, że wikary nadal nie powiedział całej prawdy.

I kto kradł pieniądze przez ostatni tydzień? Czy to właśnie jego, a właściwie ich zobaczyła Franca, co doprowadziło do jej śmierci?

Czuł, że ta sprawa ma jeszcze jedno dno, do którego musiał się dogrzebać.

Posiedział nad jeziorem jeszcze z godzinę, zanim pojawiła się chmara dzieci i siłą rzeczy wygoniła go z jego miejsca na pomoście. Postanowił pójść za wikarym, żeby zobaczyć, czy czegoś sobie nie zrobił. Nadal miał moralnego kaca po rozmowie ze Staszkiem, ale nie wiedział, gdzie go może spotkać. Z kolei nigdzie nie widział Banana ani jego kolegów, z którymi mógłby porozmawiać.

Orzepał się z ziemi i zszedł z pomostu. Zobaczył, jak syn Gizeli, Zdzisio, wraz z kolegami wbiega na pomost i wskakuje radośnie do wody, piszcząc wniebogłoso, chociaż raczej w tym przypadku bardziej pasowałoby: basując wniebogłoso. Amadeusz patrzył na młodzież i nagle zrozumiał, co brzuch chciał mu powiedzieć. Zrozumiał motyw wikarego. Musiał się z nim koniecznie zobaczyć.

Na plebanii powitał go jednak nie wikary, ale ksiądz Karol, który przy stole czytał książkę autorstwa Marka Aureliusza.

– Witaj, Amadeuszu. – Ksiądz podniósł wzrok znad książki i uśmiechnął się do Wagnera serdecznie. – Zapomniałem ci podziękować za twój wkład w organizację Bożego Ciała i opiekę nad dziećmi. Udało nam się zebrać ponad dziesięć tysięcy złotych na remont dachu kościoła! Bóg tak chciał – uśmiechnął się.

– Cieszę się, ale...

– Co cię sprowadza do domu Pana, moje dziecko?

– Muszę porozmawiać z wikarym – powiedział szybko, szukając odpowiednich drzwi.

– Obawiam się, że to niemożliwe, Amadeuszu – westchnął Karol i odłożył książkę. – Usiądź, proszę. – Wskazał mu miejsce przy stole.

Amadeusz posłuchał i usiadł na wskazanym mu miejscu.

– Dlaczego?

– Bo Wiesław pojechał do Suwałk.

– Co? – zdziwił się.

– Powiedział mi coś o odkupieniu win i wziął naszego mercedesa. Niech Bóg świeci nad jego duszą. – Przeżegnał się. – Nie lubię samochodów – wyjaśnił. – Za każdym razem, kiedy płowadzę, modłę się do Pana, żeby nikogo nie skrzywdzić.

– Dobrze, rozumiem. – Wagner wstał powoli przy dźwięku skrzypiącego krzesła.

– Usiądź, Amadeuszu. Chciałem porozmawiać.

– Tak? – Brzuch mu zaburczał. Wagner czuł się, jakby został wezwany na dywanik do dyrektora i kompletnie nie wiedział, co przeskrobał.

– Dochodzą do mnie słuchy, że płowadzisz śledztwo i wypytujesz ludzi. Skłócasz ich między sobą.

– Tak. – Przełknął ślinę. Ewidentnie czuł się jak w gabinecie dyrektora. Ksiądz Karol wprawdzie nie patrzył na niego takim wzrokiem, jakby już uznał go za winnego, ale łagodnie mu się przyglądał.

– Podobno twierdzisz, że Małgosia została zamordowana i że mordelcą jest ktoś spośród nas.

– Tak.

– Amadeuszu... – Ksiądz westchnął. – Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga i to grzech podejrzewać swoich blaci i swoje siostry o takie zbrodnie. Od tego jest policja, a nie my. I seliale.

– Policja nic w tej sprawie nie robi, więc ja zrobię.

– Dlaczego?

– Bo czuję, że tak trzeba. – Żołądek zaburczał mu na potwierdzenie.

– Kochaj sztukę, któlej się nauczyłeś, i w niej znajdź spokój – zacytował Karol. – Malek Auleliusz. Znasz?

– Znam.

– Poprzez sztukę Auleliusz nie ma wcale na myśli śledzenia, tylko w twoim przypadku muzykę. Łozumiesz?

– Łozumiem... rozumiem – poprawił się. – Ale mam do księdza pytanie.

– Pytaj, chłopcze. Kto pyta, nie błądzi.

– Dlaczego nie zgłosił ksiądz kradzieży? Nie potrafię tego zrozumieć. Przez osiem miesięcy zniknęły pieniądze i...

– Pozwól, że ci przelwę. – Spojrzał na niego spokojnie. – Co Bóg daje, Bóg odbiera. To, co zniknęło, włóciło telaz z nawiązką. Więc co Bóg odbiera, to Bóg daje.

– Ale nie potrafię tego zrozumieć. – Wagner pokręcił głową i westchnął.

– Co Bóg daje, Bóg odbiera. To, co zniknęło, włóciło telaz z nawiązką. Więc co Bóg odbiera, to Bóg daje – powtórzył spokojnie Karol. – Więcej wiały w ludzi. Nie wszyscy są źli. Zawierz Bogu, on sam pokara grzeszników.

– Tak jak pokarał Francję?

– Małgorzata była nieszczęśliwym człowiekiem i jej śmielć przysła niespodziewanie... Taka była jednakże wola Pana. Nie nam dane jest ją

kwestionować.

– Wiedział ksiądz, że to Wiesław zabierał pieniądze?

– Wyznał mi to przed chwilą. – Karol przygładził sobie włosy na głowie. – Zanim pojechał. Cieszę się, że zrzucił z siebie to jarzmo. Będzie mu lżej.

– Jednak to nie on kradł przez ostatni tydzień. To też księdzu powiedział?

– Tak.

– Czy to nie powód, żeby poinformować policję?

– Amadeuszu... Nie wiem, skąd u ciebie ta niezdłowa fascynacja policją i śmielcją... Czy to przez Włocław, czy przez inne czynniki, ale moje dziecko, zaklinam cię, dla dobra i zdrowia twojej biednej matki zatrzymaj się. Nie idź tą drogą.

– Nie potrafię. – Żołądek burczeniem potwierdził jego słowa.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Ksiądz spojrział zadumany za okno.

– Słucham?

– Twój ojciec też miał niezdłowe zainteresowania. Tak przynajmniej słyszałem. Nie potrafił odnaleźć się w świecie i to go zgubiło.

– Mój ojciec? To ksiądz wie, kim on był?

– To pytanie powinienes skielować do swojej matki. Nie do mnie. – Pokręcił głową.

– Proszę księdza... gdzie ksiądz był w nocy przed Bożym Ciałem?

– Na ostatnim namaszczeniu.

– I po powrocie poszedł ksiądz prosto na plebanię?

– Amadeuszu... Myślę, że skończymy rozmowę. Muszę przygotować się na niedzielę. Idź z Bogiem, dziecko. – Wstał i wyszedł z pokoju.

Amadeusz zamyślony zaczął bębnić palcami w stół. Coś mu tu nie pasowało. Ksiądz Karol nie mówił całej prawdy.

Wagner ze zboląłą miną wracał do mamusi. Nogi same poniosły go jego drugą ulubioną trasą, prowadzącą z domu do sklepu i z powrotem. O tym, że znalazł się przed mieszkaniem Gizeli, poinformował go burczący brzuch, który służył mu lepiej niż instynkt i szare komórki. Spojrzał na zniszczoną część budynku, której brakowało męskiej ręki, na pranie złożone z samych czerwonych rzeczy, które suszyło się na zewnątrz, oraz na ogródek, w którym rosły piękne czerwone pomidory i ogórki.

Na kocu rozłożonym na trawie leżała Gizela w czerwonym skąnym stroju kąpielowym i chłoneła słońce. Wzdrygnął się. Nie był to piękny widok, ale Gizela nie wstydziła się swojego ciała. Nie zdziwiłby się, gdyby często opalała się nago. Miała zresztą na ramionach nierówno opalone paski od różnych strojów, które nosiła.

– Gizela – powiedział na tyle głośno, żeby jej nie wystraszyć.

– Wagner. – Podniosła rękę i mu pomachała. Jej głowa nadal leżała nieruchomo na kocu. – Kaziowi podobała się lekcja.

– Dzięki. Chcę z tobą porozmawiać. – Oparł się o płot. W niektórych miejscach drewniane sztachety się kiwały i Amadeusz bał się, że je złamie.

– O czym? – Zmarszczyła nos.

– Widziałem cię wczoraj w nocy.

– Doprawdy? – Nie drgnął jej ani jeden mięsień.

– Tak. Widziałem.

– Piłeś ze Staszkiem? – zapytała, uśmiechając się.

– Z Krystianem. Ale to nieważne. Gdzie szłaś?

– Nie było mnie wczoraj w lesie, więc nie wiem, o czym mówisz. Pewnie byłeś pijany. Podoba mi się, że widzisz mnie, gdy jesteś pijany, ale chwilowo się na ciebie gniewam, więc nic z tym nie zrobimy. – Strzepnęła muchę z ramienia.

– Nie mówiłem, że widziałem cię w lesie – uśmiechnął się.

– Mówiłeś.

– Nie mówiłem.

– Mówiłeś.

– Gizela – westchnął. – Ja wiem.

– Co wiesz?

– Co robisz wieczorami i gdzie chodzisz. Jak zarabiasz na siebie i na dzieci.

– No co ty nie powiesz. – Uniosła się na łokciach. – Serio? Nudzi ci się, Wagner?

– Rozmawiałem z Wiesławem.

Dłonie Gizeli zacisnęły się w pięści.

– Nie miałeś prawa! Powiedziałeś coś Kaziowi? Lub Zdzisiowi?

– Nikomu nic nie mówiłem. Ale Gizela... to widać.

– Nikt do tej pory nie zauważył.

– Nikt nie zauważył rudych włosów Kazia oraz oprawy oczu Zdzisia? – Gizela, słysząc to, tylko się roześmiała. – Jak długo to trwa?

– Co trwa?

– Wasz romans. – Skrzywił się. Męczyła go taka przepychanka słowna. Miał ochotę wrócić do domu, gdzie mama robiła knedle z truskawkami polane bułką tartą i posypane cukrem pudrem....

– Straszny z ciebie romantyk, wiesz? Nie ma romansu, po prostu... On jest świetny w te klocki. I tak jakoś dwa razy nam pykło z Kaziem i Zdzisiem.

– Jak to się zaczęło? – Gizela przeciągnęła się leniwie.

– Jak? A sama nie wiem. Kiedy mój pierwszy mnie uderzył i miałam śliwę pod okiem, on mnie pocieszył. Od pocieszania słownego przeszło do cielesnego i tak jakoś trwa.

– Twoi byli płacą alimenty?

– Bo to debile. A kasa się zawsze przyda. – Wzruszyła ramionami.

– Więc co wieczór idziesz do Wiesława...

– Na plebanię – dokończyła za niego myśl.

– Robicie to na plebanii? – zmartwił.

– Tak. Pokój to pokój, łóżko to łóżko.

– I Karol nic o tym nie wie?

– A co mnie to? Jego sprawa, czy podsłuchuje czy nie – westchnęła zrelaksowana. Jak to się stało, że mówiła o takich rzeczach bez grama wstydu?

– Robiliście to w jego obecności?

– Przestań być takim świętoszkiem. Jak według ciebie powstają dzieci? Z powietrza? Powstają z dobrej zabawy. – Poklepała się ręką po udzie.

– I to dla ciebie kradł te pieniądze...

– Drobniaki, nie pieniądze – westchnęła. – Ale tak, wie, jakie mam problemy finansowe, więc się dokłada tyle, ile może. Daje mi ponad połowę swojej pensji plus jakieś banknoty. – Amadeusz musiał zrobić straszną minę, bo dodała: – Nie wiedziałam, że kradł. Przyznał mi się do tego dopiero tydzień temu. Gdybym wiedziała, tobym nigdy się na taki układ nie zgodziła. Nie jestem potworem, Amadeuszu – westchnęła i wstała z koca. – I byłabym naprawdę dobrą żoną, gdybyś tylko dał mi szansę.

– Gizela... Robi mi się niedobrze na samą myśl, że...

– Mi też, spaślaku, mi też. Ale małżeństwo nie polega na miłości, tylko na wsparciu. Nawet bym cię palcem nie tknęła. Gotowałabym i sprzątałabym. Jestem w tym rewelacyjna!

Wagner rozejrzał się po krzywo rozwieszonym praniu i byle jak prowadzonym ogrodzie.

– W noc przed Bożym Ciałem też z nim byłaś?

– Tak. – Ściągnęła okulary i spojrzała mu prosto w oczy.

– Słyszałaś coś? Widziałaś coś?

– Chłopie, jak z kimś jesteś, to raczej nie zwracasz uwagi na otoczenie. Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie był taką ofermą – roześmiała się. – Słyszałam tylko, jak Karol wrócił. I chyba krzyk jakiegoś ptaka. Ale to mogło mi się wydawać.

– Krzyk ptaka? Czy było to przed powrotem Karola, czy po jego powrocie?

– Nie wiem... chyba po. Nie jestem pewna, zmęczona byłam. – Przekrzywiła głowę. – Namysł się nad moja propozycją. Ja mówiłam poważnie. Naprawdę jestem zainteresowana. Nami.

– Pomyślę – stwierdził i puścił sztachetę. Na jego ręce został brudny ślad. Tak jak i na jego duszy.

– Przyznała ci się? Musi bardzo cię kochać – stwierdziła mamusia, podając mu miskę pełną knedli. Amadeusz nabijał każdą kluskę na widelec i brał na raz do buzi.

– Mamusiu, nie o to chodzi. Od kiedy o tym wiedziałaś?

– Wszyscy o tym wiedzą, ale milczą. To nie nasza sprawa. Poza tym żal nam jej. Dwukrotna rozwódka, doświadczona przez los... Niech ci dranie na nią płacą. A i niech się zabawi od czasu do czasu. Nikt jeszcze od tego nie umarł, prawda? Poza tym nikogo nie krzywdzi i wszyscy są zadowoleni.

– Ale mamusiu...

– Jedz knedelki, bo wystygną. – Amadeusz posłusznie wsadził widelec do ust. Knedle rozpuszczały się na języku. Nie były ani zbyt twarde, ani zbyt miękkie, ani zbyt słodkie. Polane bułką tartą z domieszką soli sprawiały, że miał ucztę na języku. – Kobiety rządzą się innymi prawami, Duszku.

– Była tam w noc śmierci Francji. – Nabiał knedla na widelec i wyczyścił nim miskę z bułki tartej.

– Gizelka ma potrzeby – westchnęła mamusia, gryząc kluskę. – Prosiłam ją, żeby nie robiła tego tak blisko domu bożego, ale ona twierdzi, że gdy to tam robi, to czuje się jak święta.

– I chodzi tam codziennie? – zdziwił się. – Naprawdę codziennie?

– Tak.

– Potrzebuje to robić codziennie?

– Kobieta ma potrzeby. Poza tym, Duszku... jesteś dorosły, więc możesz otwarcie powiedzieć słowo... schadzka – wyszeptwała.

– Mówiła mi też, że słyszała, jak wracał ksiądz Karol i...

– Ach, biedny człowiek. On jest taki zapracowany... Pomagamy mu, ile możemy, ale czasami się nie da. – Wstała i przyniosła ostatnią miskę knedli, którą położyła na stole. – Duszku... Czy ty prowadzisz śledztwo? Pomimo tego, że ci zakazałam?

– Nie, mamusiu.

– To dobrze. – Wyłożyła połowę zawartości na swój talerz, a resztę dała

Amadeuszowi. – Gizela jest dobrym człowiekiem. Wszyscy uważają, że bylibyście idealną parą. Wszyscy tylko nie ty.

– Tylko nie ja – potwierdził.

– A, właśnie, zapomniałam ci przekazać. Staszek znowu się wieszał.

– Co? – Widelec wypadł mu z ręki.

– Odratowano go, nie martw się. Chciał się wieszać na latarni, ale go ściągnięto. Siedzi teraz w domu z rodziną.

– Czemu?

– A czy ja wiem czemu? Czy ja wiem, co chodzi pijakom po głowach?

– Muszę do niego iść. – Wstał szybko.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Wskazała na niego palcem. – Jakiś mężczyzna z miasta cię szukał. Miał taką szczurzą twarz.

– Szczurzą twarz? – Amadeusz się zamyślił i przypomniał sobie Jana Hadesa. Czyżby zdążył już wrócić z Zakopanego? Jakim cudem było to możliwe?

– Powiedziałaś mi, że jak przyjdiesz, to wyślę cię do sklepu i że tam się spotkacie. – Przeżuła spokojnie knedla.

– Mamusiu! – Otarł usta z pozostałości bułki tartej.

– Co, Duszku? – Popatrzyła na niego niewinnie, ale znał ją tyle lat, że wiedział, że zrobiła to specjalnie, za karę za to, co jej powiedział po południu.

– Nic, mamusiu – westchnął. – Idę do sklepu.

– Lista zakupów leży na stole. Torba jest w sieni. – Wskazała palcem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – Poprawił koszulę, która podjechała mu pod pępek; zauważył plamę na ramieniu i machnął na nią ręką. Nie idzie startować w konkursie piękności, jedna plama go nie zabije.

– Bo były ciepłe knedle. Zimnych byś nie zjadł.

– Zjadłbym! – zaprotestował, biorąc kartkę do ręki i podgryzając knedla. – Zimne kluski są nawet lepsze niż na ciepło.

– Już ja cię znam. – Pogroziła mu żartobliwie palcem.

– Lecę! – Chwycił pierwszą lepszą torbę z sieni i wyszedł na podwórko. Słońce prażyło niemiłosiernie pomimo tego, że był to czerwiec i Podlasie, gdzie zawsze jest zimniej o kilka stopni.

W Gawrych Rudzie znajdowały się dwa sklepy – jeden we wschodniej, a drugi w zachodniej części. Oczywiście ten we wschodniej był lepiej wyposażony i oferował ciekawsze produkty. Tym samym był też droższy. Amadeusz miał nadzieję, że Jan Hades będzie na niego czekał w tym wschodnim, bo nie miał siły chodzić do sklepu na drugą stronę wioski. Szczególnie po zjedzeniu około czterdziestu knedli.

Pod sklepem stała ławeczka, na której siedziało kilku pijaczków – dawnych kolegów ze szkoły, którym życie się nie ułożyło, bo za bardzo kochali smak alkoholu.

– Te, Wagner! – Jeden z nich mrugnął do niego. – Słyszałeś, że Staszek się

wieszał? Zanieśliśmy mu flaszkę, żeby jak się obudzi, miał co wypić. – Zaczęli rechotać między sobą.

– Tak – powiedział szybko i wszedł do marketu. Jako że był to jedyny sklep na wschodnią część Gawrych Rudy, znajdowały się w nim wszystkie artykuły: od bułek, warzyw i sera po artykuły szkolne oraz ubrania. W rogu, przy wielkiej lodówce z lodami znajdował się stolik, przy którym siedział, a właściwie drzemał Jan Hades. Amadeusz dotknął go lekko w ramię.

– Jak to pani skomentuje? – Wyprężył się jak struna i zaspany rozejrzał po sklepie. Wyglądał, jakby właśnie wypełził z piekła. Pod oczami miał fioletowe worki, na głowie tłuste włosy, spomiędzy których gdzieniegdzie prześwitywał łupież, a na sobie ubranie, które włożył w Boże Ciało i którego plamy zdradzały, co jego właściciel jadł od ostatniego prania.

– Dzień dobry.

– Cześć! – Przetarł oczy zaspany. – Trochę się zdrzemnąłem. Ale taka praca. Raz jesteś tu, raz jesteś tam. Jak mój redaktor dowiedział się, że rozwiązujemy razem zagadkę, to powiedział mi: „Hades, zbieraj swoją dupę w troki i zasuway na Podlasie!”. Wiesz, ile się jedzie z Zakopanego do Suwałk? BlaBlaCarem, bo pociągiem to dwadzieścia godzin. Trafiłem na wariatów.... Pięć godzin z Suwałk do Zakopanego to wczoraj, a dzisiaj dojechaliśmy w sześć! Rano zrobiłem kilka zdjęć w Zakopanem, spotkałem kilka osób, wymyśliłem treść na podstawie danych ze strony i pojechałem z powrotem tu. I jestem. – Kichnął głośno i wytarł nos rękawem. – Ktoś zginął, kiedy mnie nie było?

– Co?

– W każdej książce ginie ktoś jeszcze. Ktoś, kto wpada na trop zbrodniarza. Nikt nie zginął?

– Nie...

– A ten, co się wieszał?

– Staszek? Nie wiem jeszcze. A skąd o tym wiesz?

– Ja wszystko wiem. Dobry reporter zawsze podsłucha to, co podsłuchać trzeba. To trzeba zbadać. Widzisz, dobrze, że jestem. Ja będę miał historię, a ty pomocnika. Zawsze chciałem zostać detektywem, ale w dzisiejszych czasach dzięki portalom społecznościowym wszyscy możemy to robić, więc zostałem dziennikarzem. Robię w sumie prawie to samo. To mów, co wiesz. – Poklepał krzesło obok siebie.

Amadeusz spojrział na sprzedawczynię, która niebezpiecznie blisko nich poprawiała ustawienie chipsów, a tak naprawdę beczelnie podsłuchiwała. Znając ludzi, za najwyższą godzinę każdy będzie wiedział, że Amadeusz prowadzi śledztwo i to do tego z reporterem! Dowie się o tym mamusia...

– Chodźmy na spacer – zaproponował, chociaż jego nogi marzyły o tym, żeby usiąść. Czterdzieści knedli w jego brzuchu także.

– A dokąd? – Hades wstał i się zakołysał.

– Do tartaku – powiedział głośno, tak żeby sprzedawczyni usłyszała. I zabrał go do lasu.

W lesie była ukryta polanka, o której nie wszyscy wiedzieli, a na której latem można było zebrać najlepsze maliny i jeżyny. Do tego z jej zachodniej strony rosły kamionki – ulubione owoce Amadeusza, które można było znaleźć wyłącznie na Podlasiu. Jan Hades ledwo szedł, ewidentnie potrzebował odpoczynku. Wagner posadził go więc na pniu, na słońcu, żeby nie zasnął, a sam usiadł na trawie.

– Dobra, to mów, co wiesz. – Dziennikarz pochylił się, oczy mu zalśniły i w tym momencie odmłodził o kilkanaście lat.

– Dobrze. Myślę, że zaczęło się to wszystko od kradzieży.

– To tu kradną? Serio? A ja swoją torbę zostawiłem w sklepie, bo mnie zapewniano, że nic nie zginie... – zasepił się.

– Nie, chodzi tu o kradzież w kościele. Od kilku miesięcy ginęły tam pieniądze zebrane podczas mszy. Trzydzieści, czterdzieści złotych dziennie.

– Kto jest złodziejem?

– Kradł wikary.

– Jak we wszystkich książkach kryminalnych. Ale mów dalej.

– Tydzień temu wikarego tknęło sumienie i przestał kraść.

– Dlaczego kradł?

– Dla swojej kochanki, z którą ma dwóch synów.

– No ładnie...

– Ale wracając do sprawy...

– Przepraszam, że ci przerywam, ale ja już tak mam. Badam tropy, czasami się zatrzymam, czasami coś przyśpieszę. W prawo i w lewo, a nawet zrobię krok w tył. Wikary kradł dla kochanki, z którą ma dwóch synów. Fantastyczny nagłówek do gazety. I co dalej?

– I tydzień temu pojawił się nowy złodziej. A tak naprawdę złodzieje.

– Liczba mnoga? No nieźle... skąd o tym wiesz?

– Bo znalazłem notatkę w biurku Francy.

– Tej, co zginęła?

– Tak. Ale po kolei, bo już się zgubiłem. – Teraz z kolei Amadeusz nie do końca wiedział, co się dzieje.

– Było dwóch złodziei – przypomniał mu usłużnie Hades.

– Tak, było. – Wagner wrócił na poprzednie tory myślenia. – Oprócz tego, że ktoś kradł z kościoła, to jeszcze ktoś we wsi w nocy zabiera ludziom połowę zbiorów, a połowę zostawia.

– To ten sam złodziej? Czy złodzieje?

– Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że wikary kradł przez ostatnie osiem miesięcy, a potem przez ostatni tydzień był to ktoś nowy, ktoś... zupełnie inny.

– To dlaczego zginęła ta... Franca?

– Wszyscy mieszkańcy używają skrótów przez las, żeby dojść na przykład do sklepu czy kościoła. I wszystkie ścieżki krzyżują się przy szkole. Więc tak czy siak wychodzi się na polanę przy szkole. Myślę, że pewnej nocy Franca siedziała do późna

i przypadkiem zobaczyła dwie osoby przekradające się przez las. Dodała dwa do dwóch i zrozumiała, kto kradnie.

– I zrobiła sobie notatkę?

– Tak. Napisała, że kradną „ż” i „b”.

– Czyli kto?

Polanka i las przestały mieć znaczenie. Obaj zagłębili się w swoim świecie, z którego nie było wyjścia. Amadeusz stwierdził, że ma z Hadesem więcej cech wspólnych, niż przypuszczał.

– Nie wiem. Ale myślę, że ktoś z jej byłych uczniów, bo ich rozpoznała.

– Co znaczy „ż”?

– Nie wiem... – zasępił się Wagner.

– „Ż”. Żywy, żarłoczny. O może jest gruby? Żutki? Nie, to się pisze przez er zet... Żabowaty? Znasz kogoś, kto ma żabowatą twarz?

– Nie znam.

– Żakietowaty. To może kobieta chodząca w żakiecie? Bizneswoman?

– Nie ma tu takich we wsi.

– To „b”... Brzydki? Bystry? Buńczuczny? Brudny? Baran? Bistro? Bakłażan? Brama? Bukiet? Brzuch? Beethoven? – Hades zaczął wyliczać słowa na „b”.

– Tak do niczego nie dojdziemy. Trzeba na to spojrzeć z jej perspektywy.

– Ciekawe spostrzeżenie. Spojrzeć na sprawy z jej perspektywy... – Dziennikarz zapisał to sobie zadowolony w notatniku. – I co dalej?

– I pewnej nocy postanowiła ich złapać na kradzieży.

– Po co?

– Bo tak już miała we krwi. Może chciała zabłysnąć? Nie wiem.

– I poszła za nimi. – Hades chciał się upewnić, czy nadaża nad jego rozumowaniem.

– Tak, poszła za nimi na zakrystię i tam zobaczyła, jak kradną.

– I co dalej?

– I któryś z nich ją popchnął podczas szamotaniny. Może próbowali ją wyminąć w drzwiach? W każdym razie Franca niefortunnie upadła, uderzając się głową o stół. Złodzieje uciekli, a ona wykrwawiła się na śmierć.

– Rzeczywiście niefortunnie.

– Zostawiła po sobie jednak znaki: zaciśniętą pięść oraz rękę wskazującą na wejście do kościoła.

– To był ksiądz – powiedział szybko Hades. – Dlatego wskazywała na wejście do kościoła.

– Albo wskazywała, którędy wchodzili złodzieje. Tego nie jestem jeszcze pewien. Mam jednak kilku podejrzanych.

– Jakich?

– Wiem, że kochanka wikarego słyszała, jak ksiądz wrócił w nocy i słyszała okrzyk ptaka. Myślę, że to był krzyk Francy, jak uderzała głową o stół.

– Czyli to był ksiądz?

– Nie jest pewna, czy krzyk był przed jego powrotem, czy po. Więc nie wiem.

– No dobra, powiedz mi więc o swoich podejrzanych, bo tego wszystkiego jest trochę za dużo i nie ogarniam. Czuję się jak na zlocie fanów japońskich komiksów... Nic nie rozumiem.

– Trzech moich kolegów. Krystian – bogaty mechanik. Wedle słów jego syna znika gdzieś wieczorami, a jak byłem u niego wczoraj, to widziałem ślady paznokci na jego brzuchu.

– Od szamotaniny?

– Może być. Muszę jeszcze z nim porozmawiać.

– Jaki miałyby motyw?

– Problemy finansowe? Nuda? Tego jeszcze nie wiem.

– Już widzę te nagłówki: „Znudzony biznesmen mordercą!”. O, i mamy już „b”!

– Tego jeszcze nie wiemy – uspokoił go Amadeusz.

– No dobra, a dalej?

– Dalej mój kolega Antek. Ogólnie jest biedny, ale ostatnio chwalił się dużym napływem gotówki. Miał ślady krwi na bucie.

– Myślisz, że wdepnął w nią, kiedy uciekał?

– Musiałyby stać nad Francą i się na nią patrzeć, czekać, aż zrobi się kałuża krwi. Nie wiem, czy byłby do tego zdolny.

– Każdy jest zdolny, jak kogoś nienawidzi. A cicha woda zwykle brzegi rwie.

– Myślę, że raczej wdepnął w kałużę następnego dnia, kiedy znaleźliśmy ciało.

– Albo wdepnął w krew, kiedy wrócił kilka minut później targany wyrzutami sumienia... – Hades popuścił wodze swojej fantazji.

– Nie wiem, jaki mógłby mieć motyw... – zastanowił się Wagner.

– Złapała go na gorącym uczynku, wystraszył się i już – wyjaśnił mu dziennikarz, przyklepując trawę zadowolony.

– Ale po co by kradł?

– Dla pieniędzy ludzie są w stanie zrobić wszystko. Wierz mi, bo widziałem to szaleństwo w oczach, kiedy zaczyna się wyprzedaż, jak traci się wszelkie cechy ludzkie i zamienia w zwierzęta, żeby tylko kupić telewizor trzysta złotych taniej...

– No dobrze. – Amadeusz wyrwał trawę i zaczął się nią bawić. – Kolejny to Staszek.

– Też kolega? – upewnił się dziennikarz.

– Tak.

– Tak tylko pytam. – Hades roześmiał się, widząc minę Amadeusza.

– Ciągłe nie ma pieniędzy, zna wszystkie skróty i byłby na tyle zdesperowany, żeby móc zacząć kraść.

– Plus: wieszal się – dodał Hades.

– Powiesz mi wreszcie, skąd to wiesz? – Amadeusz powtórzył pytanie.

– Słyszałem, jak mówili o tym przed sklepem. I to podobno nie pierwszy raz.

Śmiali się, że nie powinni już na to reagować. Tyle razy próbował, więc tylko dać mu to wszystko skończyć. – Podrapał nos, na którym usiadł komar.

– Tak, ma jakieś wyrzuty sumienia. Ale myślę, że to raczej związane z tym, że nie potrafi utrzymać rodziny.

– Na tyle, żeby się wieszać?

– Nie wszyscy są silni – obronił kolegę Wagner.

– Dobra, dalej.

– Ksiądz Karol oczywiście. – Pomyślał o niepozornym księdzu... Czy byłby w stanie popchnąć Francę i jeśli tak, to z jakich powodów?

– Dlaczego?

– Tego nie wiem, może złapała go na jakimś grzechu?

– Znała jakiś jego ciemny sekret, szantażowała go i sprowokowała do podjęcia ostatecznych kroków...

– Nie wiem. – Amadeusz zmarszczył czoło. – Dalej jest oczywiście wikary i Gizela, jego kochanka.

– Zrobił to, żeby się Karol nie dowiedział, że ten kradnie? – Hades zapisał coś sobie w swoim notesie.

– Tak, i żeby go nie wydalono z kościoła.

– Zakochani zabijają w imię miłości... Może kochanka jest w ciąży? – zasugerował dziennikarz.

– Co? Nie wiem! – Amadeusz się zmieszał. Nawet jeśli była, to nie byłby w stanie tego stwierdzić.

– Na co szły pieniądze, które ukradli? – zainteresował się Jan.

– To wikary kradł z własnej woli, ona podobno nic nie wiedziała.

– Wszystkie kobiety tak mówią, ale nieważne. Na co szła kasa? – dopytywał Hades.

– Na utrzymanie dzieci. – Wagner westchnął, pomyślawszy o biednych Kaziu i Zdzisiu, którzy nigdy zapewne nie dowiedzą się, kim jest ich prawdziwy ojciec.

– To nie ma alimentów?

– Ma, ale od byłych mężów – wyjaśnił.

– Czyli nie dość, że ma alimenty, dostaje pięćset plus od rządu, do tego pewnie jakieś dodatki... i jeszcze bierze od wikarego? Na co idą jej pieniądze? – Hades pokręcił niedowierzająco głową. – To się nadaje do gazety!

– O tym nie pomyślałem. – Brzuch mu zaburczał z wyrzutem. Wagner pochylił głowę zawstydzony.

– Od tego jestem ja. Ty masz łeb jak sklep, a ja łeb nie od parady. Ktoś jeszcze?

– Tak naprawdę każdy mieszkaniac Gawrych Rudy – westchnął.

– Mamy przesłuchać każdego? – Hades szybko przeliczył w głowie. – Trochę to potrwa.

– Nie każdego, wszyscy tu wiedzą wszystko o wszystkich. Trzeba tylko złapać odpowiednią osobę – poprawił go Amadeusz.

– No dobrze, ale poczekaj, bo coś mi tu nie gra... – Podrapał się po nieogolonym policzku. – Czy ta cała Franca była uporządkowana?

– Była.

– To skoro zostawiła jakiś ślad w pracy, to może w domu zapisała coś więcej o złodziejach?

– Nie pomyślałem o tym... – Złapał się za głowę. Co z niego był za detektyw?

– Nie martw się, czego ty nie wymyślisz, to ja dorobię. Jestem w tym dobry. – Dziennikarz poklepał go pocieszająco po plecach. Brzuch zaburczał Amadeuszowi oskarżycielsko. – To co, idziemy do niej?

– Do domu? – Spojrzał na niebo; robiło się już ciemno.

– A gdzie? Na cmentarz? – zaśmiał się Hades. – Nie idziemy na cmentarz, nie? Nie lubię cmentarzy, odkąd robiłem reportaż o duchach...

– Jeszcze jej nie pochowali... – przerwał mu Wagner i przygryzł wargę.

– Wiesz, gdzie ona mieszka? – zapytał dziennikarz po chwili reminiscencji swoich przygód.

– Wiem.

Wszyscy we wsi wiedzieli. To był najbardziej znieawidzony dom w Gawrych Rudzie, który każdy omijał łukiem. Nikt nie ośmielił się nawet podejść bliżej w obawie, że Franca go dostrzeże i zrobi z niego w szkole kozła ofiarnego. Nikt nie miał nawet odwagi, żeby robić jej psikusy. Małgorzata mieszkała w domu swoich rodziców, dokładnie przy lesie, kilkadziesiąt metrów od jego domu. Trzeba było tylko zejść po piaszczystej drodze, która prowadziła do lasu, minąć jeden dwupiętrowy miniblok i jeden dom wolnostojący, żeby móc zobaczyć polanę, na której wedle założenia miały bawić się dzieci, ale się nie bawiły, ponieważ niedaleko znajdował się dom Franci. A ona nie lubiła hałasu i z radością dzwoniła po policję, kiedy tylko usłyszała radosny krzyk dziecka kopiącego piłkę.

– To idziemy! – powiedział radośnie Hades.

– Nie wiem...

– Oj, nie bądź baba, będzie fajnie! Idziemy. – Amadeusz po raz kolejny usłyszał to zdanie skierowane pod swoim adresem i przestraszył się, że coś może w tym być.

– Może jutro? Nie dzisiaj. – Flecista się skulił.

– Czego się boisz? Przecież ona już nie żyje – roześmiał się reporter. Amadeusz zobaczył u Hadesa czarne wypełnienie w siódmce. Był to bardzo niepokojący widok. – Jej ducha może?

Pomyślał, co by zrobił, gdyby przed nim ukazała się zjawa Franci. Chyba umarłby na miejscu. Teraz już na pewno nie pójdzie do niej do domu.

– Nie po ciemku – powiedział twardo.

– Ale najlepiej się włamać, gdy jest ciemno. W dzień wszystko widać jak na dłoni. – Dziennikarz próbował go przekonać, ale Amadeusz podjął decyzję.

– Jutro. I to około jedenastej. Wtedy prawie cała wieś idzie do kościoła. Nikt nas nie zobaczy.

Amadeusz odzwyczaił się już od tego we Wrocławiu, ale na wsi większość

weekendu ludzie spędzali w kościele, plotkując i modląc się o to, żeby sąsiad nie miał za dobrze.

– I w dzień będzie wszystko dobrze widać. Nie musimy wtedy brać latarek. Dobra, przekonałeś mnie. – Wstał. – Masz u siebie jakieś dodatkowe łóżko? Bo nie mam gdzie spać. A jak nie masz, to wrócę na tę polankę i rozłożę śpiwór.

– Zapytam się mamusi...

– O, to nie, dziękuję. Już raz, gdy ją zapytałem o to, gdzie jesteś, tak mnie obsztorcowała, że mi wystarczy. Idę po torbę i zasnę spokojnie, sam sobie panem. – Wzdrygnął się. – Mam w końcu śpiwór i jest czerwiec.

– Na pewno? – Amadeusz spojrział na polankę i na niebo. Nie widział żadnych chmur, ale znając nieprzewidywalność pogody suwalskiej, w nocy mógł spaść śnieg.

– Ta, na pewno. Dam radę. Tylko pokaż mi drogę, bo przestałem ogarniać za tą powaloną brzozą. – Uśmiechnął się.

Po zaprowadzeniu Hadesa do sklepu i z powrotem na polankę Amadeusz zajrzał do Staszka. Jego żona nie chciała go wpuścić, myśląc, że jest jednym z ciekawskich sąsiadów, a nie zaniepokojonym kolegą. Wrócił więc zasmucony do mamusi i został, jak to ujął Hades, obsztorcowany, bo zapomniał zrobić zakupów i gdzieś zapodział i torbę, i listę.

Pół godziny później, gdy wracał obładowany produktami, rozmyślał o tym wszystkim, o czym rozmawiał z Hadesem. Było tyle rzeczy, których nie przemyślał, bo skupiał się na czymś innym; tyle rzeczy, których nie przewidział, i tyle rzeczy, których nawet nie podejrzewał... I on nazywał siebie detektywem? Raz mu się udało, kompletnie przypadkiem. Może bardzo pomógł też fakt, że artyści dzielą się wszystkimi sekretami. Tutaj nie chcieli z nim rozmawiać, bo dlaczego? Bo po co? Nie był z policji, tylko bawił się w detektywa. Zwątpił w to, czy mu się uda. Musiał pomyśleć o tym, co robić, jeśli zwolnią go z filharmonii. Minął na razie tydzień i nie miał od nich żadnej informacji. Pewnie znaleźli już kogoś na jego miejsce – bo kto by chciał pracować z kimś takim jak on. Tchórzliwym, wystraszonego flecistą, który zabiera więcej miejsca, niż powinien.

Mamusia od razu spostrzegła jego zły humor, a tak naprawdę depresję, i razem z nim zaczęła piec sernik z orzechami i brzoskwiniami. Kiedy dom przesiąkł zapachem sernika i kiedy Amadeusz wsadził pierwszy, jeszcze ciepły kawałek do ust, poczuł, że świat nabiera sensu. Chrupkość orzecha połączona z miękkością i słodkością brzoskwini oraz lekkością sera ubitego z żółtkami i śmietaną sprawił, że Wagner poczuł się częścią wszechświata i wszystkie troski poszły precz. Ten przepis, jak i reszta z książeczki przepisów mamusi, zawsze poprawiał mu humor.

Miał trochę wyrzuty sumienia, że zostawił Hadesa samego w lesie. Gdy postanowił poprosić mamusię o nocleg dla kolegi, to dostał kolejną burę, że obcy wpraszą im się do domu i że nie podobają jej się miastowi ludzie, bo to nie ludzie, i że ona nie pochwała takich znajomości. Przez godzinę mu o tym marudziła i przestała dopiero po tym, jak zjedli pięć ogórków kiszonych, po których natychmiast poszli spać.

W nocy śniło mu się, że biegnie i że gonią go wielki stół oraz flet, który miał twarz Francy i krzyczał: „Jestem eine kleine trup!”. Wagner obudził się cały zlany potem. Była sobota. Mamusia już krzątała się po kuchni i smażyła racuchy z jabłkiem na maśle.

– Duszku, dzisiaj pomożesz mi wypróbować różne przepisy – powiedziała, gdy wszedł do kuchni. Żaden budzik nie działał na niego tak ożywczo, jak zapachy jedzenia.

- Jakie przepisy? – Przetarł zaspany oczy i z radością chłonał stertę racuchów, która leżała na talerzu.
- Na festiwal.
- Jaki festiwal?
- Jeszcze się nie obudziłeś? Przecież ci mówiłam, że mamy mieć festiwal.
- Jaki festiwal? – Wsadził jednego racucha do ust i przestał słyszeć cokolwiek, co mówiła mamusia. Racuchy były chrupkie, ciepłe, były też posypane cukrem pudrem i polane stopionym masełkiem. Z każdym kęsem czuł, że relaksuje się coraz bardziej i bardziej, że nie istnieje na tym świecie nic, co byłoby w stanie go zdenerwować.
- Idziemy do kościoła. – Głos mamusi wbił się w jego myśli.
- Co?
- Idziemy dziś do kościoła. Ksiądz Karol ma nam coś ważnego do opowiedzenia, a poza tym musimy się pomodlić za zdrowie psychiczne Stanisława.
- Ale ja nie idę do kościoła. – Pół sterty racuchów już zniknęło w jego brzuchu.
- Za kolegę się nie pomodlisz?
- Odwiedzę go w domu. To mu się bardziej przyda niż jakaś modlitwa.
- Mamusia głośno trzasnęła patelnią. Musiał ją bardzo zdenerwować.
- Zrobiłeś się strasznie nieposłuszny, Amadeuszu. – Kolejne osiem ciepłych racuszków wylądowało na talerzu.
- Nie, mamusiu, ja jestem posłuszny, ale jestem też dorosły i...
- I potrzebujesz rad starszych. Czy twoje nieposłuszeństwo ma coś wspólnego z tym mężczyzną z miasta? – Zmarszczyła brwi, wyobrażając sobie nie wiadomo jakie rzeczy.
- Którym? Co? – Wsadził na raz dwa gorące racuchy do buzi i się poparzył.
- Tym, co teraz stoi przed furtką – powiedziała, wylewając porcję ciasta na patelnię. Flecista wyjrzał przez okno i zobaczył Hadesa chodzącego wzdłuż płotu i pijącego sok jabłkowy z kartonu.
- Wychodzę. – Zaczął rozpinać koszulę, ale przed wyjściem zatrzymała go łopatka mamusi.
- Ani mi się waż wychodzić! Znasz najważniejszą zasadę obowiązującą w naszym domu?
- Jedzenie zawsze jest najważniejsze – westchnął, usiadł przy stole i zaczął jeść racucha za racuchem, aż talerz zrobił się pusty.
- Cieszę się, że się rozumiemy. – Mamusia z radością dorzuciła mu kolejną patelnię placuszków.
- Ja też. – Uśmiechnął się radośnie, wepchnął w siebie jeszcze parujące racuchy i szybko poszedł do pokoju się ubrać. Część ubrań, które przywiózł z Wrocławia, zrobiła się na niego za mała, więc musiał otworzyć swoją szafę, w której miał swoje normalne ubrania – luźne, które nie za bardzo go opinały. Włożył na siebie zielony podkoszulek, żeby się wtopić w tłum, oraz spodnie dresowe, żeby było mu wygodnie.
- Ale do kościoła później przyjdiesz, prawda? – upewniła się, myjąc patelnię.

– Zobaczymy – odparł, otwierając drzwi.

– Żadne zobaczymy! Czy ty, dziecko, Boga w sercu nie masz, że tak się odzywasz do biednej matki? Widzę cię w kościele i basta.

– Dobrze, mamusi. – Pomachał jej na do widzenia, podjadł jeszcze pięć racuchów, siedem wziął do ręki na później i wyszedł spotkać się z Hadesem.

– Czołem, Mozart! – Reporter miał liście we włosach a na twarzy ślady po ziemi.

– Cześć, Janie – powiedział, dziwnie się czując z tym, że ktoś nazywa go Mozartem.

– Mów mi Hades. – Przechylił karton i wypił do końca sok jabłkowy. – Wszyscy mi tak mówią.

– To ja też będę. – Uśmiechnął się.

– Ale miałem szaloną noc! Najpierw mi mrówki weszły do śpiwora, potem znalazłem jakiś strumień i się zgubiłem, ale potem znalazłem maliny, więc miałem co jeść na śniadanie i znalazłem dróżkę, która mnie zaprowadziła najpierw nad jezioro, a potem do sklepu, gdzie kupiłem sobie sok. I przyszedłem tutaj. Nie chciałem dzwonić, bo wiesz, twoja matka jest trochę straszna, a wiedziałem, że prędzej czy później wstaniesz i voilà! Idziemy?

– Jeszcze nie ma jedenastej... – Amadeusz pamiętał, że kiedy wstał, zegar wskazywał godzinę ósmą rano.

– Nieważne! Pokażę ci moje umiejętności dziennikarskie i śledcze wyłącznie na podstawie obserwacji tego miejsca! Chodźmy! – Dziennikarz poklepał go po plecach i ruszyli piaszczystą drogą w stronę lasu.

Mieszkańcy powoli opuszczali swoje domy i udawali się do kościoła. Jedna z sąsiadek udawała, że nie widzi, jak Amadeusz macha jej na dzień dobry, ponieważ kiedyś on dostał czerwony pasek na świadectwie, a jej syn nie. Nie patrzyła na niego od kilkunastu lat, nadal nie mogąc tego przeboleć.

Powoli w oddali zaczął się ukazywać stary dom Francji; kiedyś deski miały kolor brązowy, a przez te lata stały się czarne. Odpowiadało to nauczycielce, bo przerażający wygląd domu sprawiał, że ludzie obchodzili go szerokim łukiem. Ogrodu tak naprawdę nie było – nie było tam nic oprócz trawy i iglastych krzaków, które rosły wzdłuż płotu. Przez te lata wytworzyły jeszcze dodatkową barierę przed wścibskimi i prawie sięgały dachu.

– O ja cię, co za chałupa! Przecież spokojnie można tu kręcić horrory! – stwierdził radośnie Hades. – Czy to nie fenomenalne? Dom, w którym straszy... Ciekawe, ile tajemnic w sobie kryje.

– Nie czuję się dobrze... – Amadeusz złapał się za brzuch. Tak jak i reszta mieszkańców nie był w stanie przejść obok tego domu obojętnie, zawsze zaczynało go coś boleć. A to głowa, a to brzuch.

– To pewnie naturalna reakcja organizmu na obecność sił nadnaturalnych. – Dziennikarz podszedł szybko do bramki i bezczelnie wszedł na teren posesji.

– Ja zmieniłem zdanie, ja nie chcę. – Wagner wpadł w panikę. Nie był na to gotowy. Nie był kompletnie na to gotowy. Przed oczami stanął mu widok martwej

Francy.

– Ale ja chcę. – Hades pewnym siebie krokiem podszedł do drzwi. – No chodź.

Amadeusz przełknął ślinę i z lękiem przekroczył najpierw furtkę, a następnie drzwi do domu Francy, które, ku jego zaskoczeniu, okazały się otwarte.

– Ciekawe... ktoś tu był przed nami – stwierdził Hades.

– Pewnie bał się, że zapisała, co widziała – pomyślał na głos Amadeusz.

– Ale dom jest w bardzo dobrym stanie, nie widać żadnych śladów włamania. – Jan spojrzął na drzwi.

– Nie mogła zostawić ich otwartych... – zastanowił się flecista.

– Chyba że była tak podniecona złapaniem złodzieja na gorącym uczynku, że po prostu zapomniała.

– Nie Franca. Ona nawet nie musiała prowadzić dziennika, pamiętała wszystko bardzo dokładnie... Kogo kiedy nie było i jaką dostał ocenę – przypomniał sobie Wagner.

– Więc musiał to być ktoś, kto wiedział, gdzie co jest i co dokładnie chce wziąć – zasugerował Hades.

– I musiał to być ktoś, kto już tu wcześniej bywał. Ale kto? – Amadeusz podrapał się po głowie.

– Ty tu mieszkasz. Nie słyszałeś jakichś plotek? Może jakiś kochanek? – podekscytował się dziennikarz.

– Kochanek? Franca? – Wagner się wzdrygnął. – Nie wiem, czy znalazłby się jakiś mężczyzna, który odważyłby się jej dotknąć. Nie wiem, czy ona pozwoliłaby się dotknąć.

– To w takim razie rodzina.

Zamknęli za sobą drzwi i weszli do pustego domu. Na ścianach pokrytych łuszczącą się tapetą wisiły stare zdjęcia przodków Francy. Na żadnym z nich nikt się nie uśmiechał, raczej patrzył z wyrzutem na fotografa – jakby stracili coś dla siebie ważnego, jakby świat odebrał im jedyną radość.

– Wyglądają, jakby umarli za życia.

– Tak jak Franca – westchnął Amadeusz i poszedł na palcach do pokoju, który wydawał się salonem. Czuł na plecach potępiające spojrzenia całych pokoleń Franzów.

Sam salon był urządzony bardzo skromnie. Kanapa, dwa krzesła, stół do jedzenia oraz komoda. Nie było tu żadnych pamiątek, żadnych oznak, że mieszkał tu ktoś, kto chciałby się pochwalić wspomnieniami.

– Czego my tak właściwie tu szukamy? – Hades wszedł do pokoju i kichnął. – Kurz już znaleźliśmy.

– Najlepiej pamiętnika – stwierdził Amadeusz i otworzył komodę. Były w niej tylko stare obrusy.

– Moje doświadczenie detektywa mówi mi, że w tym domu mieszkał ktoś bardzo niezadowolony z życia. Ktoś samotny. Kogo raczej nikt nie odwiedzał. – Jan podniósł ze stolika jedną filiżankę.

– Nie wiem, czy tu coś znajdziemy – westchnął przeciągle Wagner.

Nagle usłyszeli brzęk dochodzący z piętra.

– Co to było? – Hades się napreżył i zaczął nasłuchiwać. Amadeusz cały zlany potem powstrzymywał się od zemdlenia.

– Duch? – wystękał przestraszony i opadł na fotel. Ręce zaczęły mu się trząść.

– Duchy nie istnieją. Inaczej dawno bym już je wytropił. – Jan mrugnął do Amadeusza i zrobił krok w stronę przedpokoju, trzymając w ręce filiżankę, której zamierzał użyć najprawdopodobniej jako broni.

– Będzie dobrze. Będzie dobrze. Duchy nie istnieją. Naprawdę będzie dobrze. – Wagner próbował sam siebie uspokoić.

– Idę zobaczyć, kto to taki. – Dziennikarz uśmiechnął się wyzywająco i na paluszkach wyszedł z salonu.

Amadeusz zamknął oczy, podziwiając jego odwagę i potępiając swoje tchórzostwo. Słyszał, jak cicho wchodzi po schodach, a następnie przechadza się po piętrze. Potem był tylko trzask, okrzyk bólu i szybkie, ciężkie kroki na schodach. Wagner nie miał odwagi otworzyć oczu, więc tylko siedział sparaliżowany w fotelu.

– Mam dziada!

Do salonu wszedł Hades, wlokąc za sobą jakąś postać. Otworzył oczy i zaskoczony ujrzał Antka, swojego dawnego kolegę i ojca Brajana i Dzesiki.

– Antek? – Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Wagner? – Mężczyzna cały ubrany był na czarno, a w ręce trzymał worek. Jednocześnie jego druga ręka była unieruchomiona przez Hadesa w jakimś nieznanym mu chwycie z azjatyckich sztuk walki.

– Ty go znasz? – Reporter parsknął śmiechem. – Może nawet lepiej. Kto to?

– Co wy tu robicie? – Antek próbował wyswobodzić się z uścisku, ale z daremnym skutkiem.

– To chyba my powinniśmy zapytać, co ty tu robisz. – Hades wzmocnił nacisk, aż Antek jęknął.

– Czy to ty jesteś wioskowym złodziejem? – zapytał go Amadeusz, wstając z fotela. Nogi wreszcie przestały mu się trząść.

– Ja? Nigdy w życiu niczego nie ukradłem! – zaprzeczył się ostro. Dziennikarz wyrwał mu z ręki worek i wyrzucił z niego na podłogę srebrne półmiski i złoty zegar. – Znaczący nigdy nie ukradłbym czegoś, co nie jest coś warte – poprawił się.

Hades puścił go ze wstrętem.

– Nie jesteś nawet wart artykułu na ostatniej stronie – stwierdził.

– Więc to nie ty kradłeś pieniądze z zakrystii? – dopytywał Wagner.

– To tam są jakieś pieniądze? – Oczy mu się zaświeciły.

– Dla ciebie nie ma. Co tu robisz? – Jan chrząknął niezadowolony i skrzyżował ręce.

– Jej to się nie przyda. Nie ma żadnej rodziny, więc wszystko i tak idzie w ręce państwa. A ja jestem częścią państwa, więc przyszedłem to odebrać, zanim ktoś inny

wpadł na ten sam pomysł.

– Skąd wiesz, że nie ma żadnej rodziny? – Amadeusz spojrział ze smutkiem w stronę korytarza, gdzie wisiały zdjęcia wielu pokoleń Franzów.

– Bo Krystian ma kolegę, który jest prawnikiem i który powiedział, że Franca sporządziła testament i że wszystko zostawiła, kurde, państwu. Wyobrażasz sobie? Trzeba było być kretynem, żeby nie skorzystać. Dzisiaj wpadnie tu połowa wioski, więc na waszym miejscu radzę teraz brać, co się da. – Schylił się, żeby podnieść złoty zegarek, ale nie zdążył, gdyż Hades nadepnął mu na dłoń.

– Ty tu już skończyłeś – oznajmił mu tonem, przy którym politycy się łamali i przyznawali do swoich największych przestępstw.

– Tak, skończyłem. Ja nie robię nic złego... – zająknął się. – Kolega Krystiana daje nam cynk, kto umiera i co komu zostawia, a ja wchodzę i biorę to, czego nie ma w spisie. Potem Krystian to sprzedaje i dzielimy się zyskiem. Nie robimy nic złego. – Trzymał się kurczowo za dłoń, której palce zaczęły się robić czerwone.

– I stąd macie tyle pieniędzy? Za to kupiłeś sobie auto? – Amadeusz spojrział na dawnego kolegę ze wstrętem. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Tak – powiedział bez odcienia emocji. Bez żadnej skruchy. – Nie patrz tak na mnie, Wagner, bo nie robimy nic złego. Sielajki z Sejn piorą mafijne pieniądze i budują po kosztach domy, które potem się sypią, Kowalikowie sprzedają swoje córki biznesmenom za pieniądze, a Laskowscy prowadzą dom publiczny przy granicy. My przynajmniej mamy czyste sumienie.

– Czy zabiłeś Francę? – Amadeusz westchnął zdegustowany.

– Nie! Ja?! Ja bym muchy nie skrzywdził! Naprawdę! Zapytajcie mojej żony! Ja mam dzieci na utrzymaniu... Błagam, puśćcie mnie. – Padł na kolana i próbował podnieść srebrny półmisek, ale zamiast na zastawę trafił na but Hadesa.

– Ludzie nie są kreatywni. Każdy zawsze mówi to samo. – Reporter westchnął znużony. Amadeusz zaczął się go bać, a jednocześnie zaczął go podziwiać. Gdyby tylko mógł być taki jak on! Odważny, mówiący wprost to, co myśli, niebojący się niczego... Zupełne przeciwieństwo Wagnera.

– Klnę się na Boga! Naprawdę! Nie ja ją zabiłem! – Przeżegnał się i rozejrzał, szukając drogi ucieczki.

– To dlaczego masz ślad krwi na bucie? Tym samym, który masz teraz na nodze? – Amadeusz wskazał palcem.

– To? – Popatrzył w dół zaskoczony. – Musiałem wdepnąć wtedy na zakrystii. Naprawdę, to nie ja! Ja tylko zabieram! Proszę, oszczędźcie mnie! Dla mojego Brajanka i Dzesiki... Co oni zrobią beze mnie? Jak się oni wychowają bez taty? – Złączył dłonie w błagalnym geście.

– Naprawdę nazwałeś tak swoje dzieci? On żartuje, prawda? – Hades zwrócił się do Amadeusza.

– Niestety nie. – Wagner patrzył intensywnie na dawnego kolegę.

– Przysięgam na stare czasy! Nigdy ci nie dokuczałem, Wagner! Pamiętasz? Zawsze odwracałem się, gdy zabierali ci rzeczy, i nigdy się z ciebie nie śmiałem!

Proszę! Błagam!

– Puśćmy go – powiedział po chwili przerwy Amadeusz.

– Co?

– Tak! – Antek uśmiechnął się prawie bezzębnym uśmiechem, który chował pod dużym wąsem, i z trudem wstał z klęczek. Amadeusz przypatrywał mu się z zaciekawieniem.

– Powiedz mi tylko jedno.

– Naprawdę go puszczamy? – Hades przesunął nogą półmiski i zegar tak, by znalazły się poza zasięgiem złodzieja.

– Czy Krystian też kradnie?

– Nie, on tylko mnie kieruje. Ja jestem od brudnej roboty. Znaczy teraz – wyjaśnił Antek, zadowolony, że mu się upiekło.

– To co robi nocami?

– Co? – Kolega spojrzał na niego, nie rozumiejąc, do czego pije.

– Mundial twierdzi, że nie może spać, bo ojciec gdzieś chodzi nocami.

– Mundial? Jaki Mundial? – Hades patrzył to na Antka, to na Amadeusza, starając się zrozumieć język, jakim się posługują.

– Nie wiem, pewnie chodzi na lasencje. – Wzruszył ramionami. – Niech cię Bóg pobłogosławi. Szczęść Boże. – Powoli zaczął wychodzić tyłem z salonu.

– Wiedz jednak, że przekażę kilku osobom informację o tym, co tu się działo, i jeśli znowu zrobisz coś podobnego, to sprawa trafi na policję. I dowie się o tym twoja rodzina – ostrzegł go Amadeusz, a Hades popatrzył na Antka jak na komara.

– Tak, oczywiście. Ja już nigdy. Pójdę do pracy. Lekkiej i dobrze płatnej. Obiecuję. Słowo harcerza. – Przeżegnał się i szybko wyszedł. Bez jego obecności dom znowu zrobił się nieprzyjemny.

– Dlaczego go puszczamy? – Reporter zmarszczył brwi.

– Bo to nie jest zły człowiek. Tylko zdesperowany, a desperacja... – zamyślił się Wagner. W głowie zaczęły mu się pojawiać strzępki słów, strzępki zdań, które ktoś kiedyś wypowiedział. Ale kto? Brzuch mu zaburczał. – Poza tym musimy znaleźć mordercę.

– I przeszukać ten dom.

– Nic tu nie znajdziemy. – Amadeusz podniósł z podłogi półmiskę i przyjrzał się swojemu odbiciu. – Jedyne ślad, jaki nam zostawiła, to krótka notatka. „Ż i b krad”.

– Czyli mówiła o tym czymś, co właśnie puściliśmy wolno?

– Nie wiem... – Brzuch burczał niezadowolony. Coś mu umykało. W powietrzu było tyle nitek makaronu. Ciągnął za jedną i się urywała, nie mógł znaleźć tej, na której utkwiał kawałek sosu... Przełknął ślinę głodny.

– Co ci tak cały czas burczy w brzuchu? Na diecie jesteś? Nie jadłeś śniadania?

– Myślę. – Wyciągnął z kieszeni kawałek kabanosa i zaczął go żuć.

– To szukamy dalej czy stąd wychodzimy? – Hades rozejrzał się dookoła. – Idziemy na piętro?

– Nie. To nic nie da. Nic tu nie znajdziemy.

Amadeusz popatrzył na pusty dom, po czym nagle go olśniło.

– To ja już nie rozumiem, czego my dokładnie szukamy. – Dziennikarz kopnął jeden z półmisków pod komodę.

– Nie musisz, bo już to znaleźliśmy. – Uśmiechnął się do siebie. Nitka makaronu z sosem pojawiła się na horyzoncie. Już wiedział, jak do niej dojść.

Kiedy odbili się po raz kolejny od drzwi Staszka, wrócili na polankę, gdzie Hades urządził sobie minikemping.

– To kto w końcu jest złodziejem? – zapytał, rozpalając minibutlę gazową i gotując wodę na zupkę z proszku.

– Jest to dosyć skomplikowane – westchnął Amadeusz. – Nie jestem w stanie powiedzieć na sto procent, ponieważ większość to moje domysły.

– Czyli co?

– To tak, jakbyś dostał lazanie na talerzu i zgadywał, że w środku jest mięso mielone, a po zjedzeniu pierwszego kęsa poczułbyś tuńczyka.

– Tuńczyka w lazaniach? O czym ty mówisz? – Hades otworzył sobie puszkę fasoli po bretońsku i wrzucił do garnka, który stał na prowizorycznym palniku. Po chwili dorzucił zupkę w proszku i wszystko dokładnie wymieszał patykiem.

– Takie to jest właśnie uczucie. Widzę makaron z sosem, ale nie mogę do niego dojść i go zjeść, bo muszę przebrnąć przez suchy makaron bez sosu.

– Czy wszystko z tobą w porządku? Może za dużo byliśmy na słońcu? Chcesz fasolki? – zaproponował mu reporter, oblizując patyk.

– Nie. – Skrzywił się, ale ucieszył na myśl o jedzeniu, które czeka na niego w domu.

– Kto w końcu kto zabił Francę?

– Nie jest tu ważne kto, ale jak. I kiedy. – Amadeusz chwycił się za głowę. W brzuchu mu burczało, a żołądek domagał się makaronu.

– Jak to: nie jest ważne? Przecież to jest najważniejsza rzecz! Morderca! No i może jak to zrobił, ale morderca! – zaakcentował wyraźnie Jan. – Idziesz może jutro na festiwal Kartacze i Sękacze?

– Co? – Flecista spojrział na Hadesa ze zdziwieniem.

– Jutro jest największy festiwal kulinarny Podlasia, Kartacze i Sękacze. Będę pisał na ten temat artykuł, przy okazji, jak już tu jestem. – Ziewnął szeroko. – Chyba jestem zmęczony. – Ściągnął garnek z palnika i położył na trawie. – Wiesz co, chyba się zdrzemnę, bo nie wytrzymam. Pogadamy później. Albo wiesz co? Zadzwoń. Chyba. Nie wiem.

Położył się i zamknął oczy. Po chwili Amadeusza dobiegł odgłos głośnego chrapania. Przykrył Hadesa śpiworem i zostawił go w lesie, żeby się wyspał. Przyda mu się, szczególnie z trybem życia, jaki prowadzi.

Sobota powoli chyliła się ku końcowi. Zanim Amadeusz wrócił z polany, gdzie spędził z Hadesem prawie cały dzień, zdążyło się zrobić prawie ciemno. Przypomniał sobie, że nie poszedł do kościoła i w głowie tworzył miliard wymówek, w które mogłaby uwierzyć mamusia. W końcu stwierdził, że znając jego rodzicielkę, to nie ma na tym świecie wytłumaczenia, które by przyjęła, więc na drżących nogach otworzył drzwi. Gdy tylko przekroczył próg swojego domu i poczuł swojskie zapachy potraw z jego dzieciństwa, zły humor natychmiast przysł.

– Co tu masz, mamusiu?

Na stole stały miski i garnki wypełnione różnymi potrawami. Zapachy były bajeczne – robiło mu się miękko w nogach na samą myśl o tym, co może się kryć pod pokrywką.

– W tym dużym garnku jest zupa z opieńków. – Amadeusz podniósł pokrywkę i miał ochotę zanurzyć głowę w pięknym złotawym płynie... – Nie ruszaj jej, bo będę ją jutro sprzedawać – ostrzegła go.

– Na festiwalu Kartacze i Sękacze? – upewnił się i zastanowił, ile ma oszczędności, które mógłby wydać na wszystkie specjały mamusi.

– Tak, będę miała stoisko z Kowalikową. – Uśmiechnęła się promiennie i otarła pot z czoła.

– A tu co jest? – Kolejny garnek kusił go zapachem cebuli, obiecywał cuda i ukojenie...

– Zrobiłam cepeliny.

– Na margarynie?

– Na margarynie – potwierdziła mamusia.

Cepeliny polane margaryną to był uroczy sekret opatentowany przez mamusię. Zwykle gospodynie domowe smażyły bekon na maśle, którym polewały kartacze. Mamusia z kolei robiła to na margarynie i dodawała odrobinę soli i cynamonu, przez co każdy kawałek ciasta z mięsem, który się odkrawało i na który kładło się smażone skwarki, był niczym królewska uczta. Była to jedyna potrawa, którą mógł jeść bez końca, ale nie dawał rady. Jego personalny rekord wynosił piętnaście kartaczy i Amadeusz nie był w stanie go pobić – nieważne, jak bardzo tego pragnął.

– Cudownie... – Wyciągnął rękę do garnka, w którym godnie spoczywało około stu kartaczy.

– Łapska precz! Muszę jeszcze dosmażyć więcej cebulki, ale to do innego garnka.

– Kartacze ze skwarkami i cebulą? Mamusia... jesteś kochana. – Powoli pociągnął nosem, wdychając upajający zapach cepelinów.

– Zrobiłam oczywiście jeszcze kiszkę ziemniaczaną – pochwaliła się.

– Ile?

– Cały garnek. – Mamusia wskazała na popielaty gar znajdujący się na stole, długości jego jednej nogi i grubości dorównującej jego obwodowi w pasie. Jak już mamusia gotowała, to nigdy nie robiła tego połowicznie.

– Myślisz, że tyle sprzedasz?

– Oczywiście, że tak. Co roku tak robię, nie pamiętasz? – Roześmiała

się. Pamiętał, że mamusia jeździła po Podlasiu po różnych festiwalach i zarabiała w ten sposób na pysznym jedzeniu, które przyrządziła.

– Nie, jakoś zawsze skupiałem się na jedzeniu, a nie na tym, co dookoła... – Prawie zachłysnął się nadmiarem śliny. Brzuch mu zaburczał ponagląco. Tak, Wagner zawsze skupiał się na tym, co było w centrum talerza, a kompletnie ignorował surówkę czy też to, co się znajduje w ziemniakach. – Mamusiu, jesteś genialna!

– Wiem – powiedziała skromnie.

– Jak ty to wszystko sama zrobiłaś?

– Sama? Oszalałaś? Kowalikowa z córką mi pomagały. Ja sama nie dałabym rady.

– Aha. – Entuzjizm w nim opadł. Lubił tylko to, co ugotowała mamusia. Jednakże gdyby dokładniej się przyjrzał, to pewnie zobaczyłby, co było robione ręką mamusi, a co sąsiadek.

– Nasmażyłam też blinów, a Kowalikowa robi sękacze i mrowisko.

– Dlaczego ona? – jęknął. Kowalikowa nie miała za grosz wyczucia artysty.

– Bo ja się nie rozdwoję – odparowała mamusia. – Idź, chłopcze, i mi nie przeszkadzaj, bo muszę się skupić.

– Gdzie mam iść?

– Najlepiej jak najdalej – zawyrokowała.

– A moja kolacja?

– Idź do kurnika po jajka i zrób sobie jajecznicę.

– Ale mamusiu, wszystkie palniki masz zajęte...

– To będziesz musiał poczekać. Albo idź sobie do sklepu, albo do Dąbka.

– Dąbka? Mamusiu...

– Powiedziałam. – Lepiej było nie zadzierać z mamusią, gdy była w takim humorze.

– Dobrze, pójdę do Dąbka.

Dąbek był jedną z dwóch restauracji-tawern w Gawrych Rudzie, gdzie można było zjeść. Dąbek jednak był tańszy i miał lepszego kucharza. Turyści wybierali raczej restaurację przy kolejce wąskotorowej, ponieważ wyglądała lepiej i nie ufali miejscu, które daje tanio i dużo. Dlatego mieszkańcy, kiedy tylko odczuwali głód, wybierali się do Dąbka na dwa kartacze za dziewięć złotych plus surówka.

Idąc drogą, dostał także wiadomość od rodziny Sokólków, których poznał w pociągu tydzień wcześniej – radośnie oznajmili mu, że przyjeżdżają całą rodziną na festiwal i że strasznie chcą się z nim zobaczyć, żeby poznał ich kuzynkę. Westchnął. Każdy chciał go z kimś swatać. A on nie chciał być swatany. Kobiety go przerażały. Mężczyźni zresztą też. Najbezpieczniej byłoby powiedzieć, że ludzie go przerażali.

Robiło się szaro, ale Dąbek, który znajdował się pośrodku wioski, dokładnie na rozgałęzieniu dróg prowadzących dalej na Litwę lub do Suwałk, tętnił życiem i światłem. Stały przed nim samochody z różnymi rejestracjami oraz ludzie z butelkami piwa w rękach. Amadeusz zwątpił w to, czy ma wejść, ale żołądek uparcie naciskał na niego, żeby tam zajrzał i zjadł. Bo głodny wcale nie będzie dobrze pracował, a bez dobrej pracy wcale nie rozwiąże zagadki.

Wziął głęboki wdech i popchnął drzwi, które zamontowano prawdopodobnie w latach pięćdziesiątych. W środku, jak się domyślał, było gwarno i gorąco. Rozejrzał się, szukając jakiegoś stolika, ale niczego nie znalazł. Nagle z tłumu uniosła się jedna ręka i pomachała do Amadeusza.

– Wagner, siadaj no tu!

Flecista przepchał się przez tłum i usiadł naprzeciwko Krystiana, który miał pół twarzy i palce umazane keczupem.

– Witaj, Krystianie.

– Antek powiedział mi co nieco na twój temat. – Wziął udko kurczaka do ust i zaczął je obgryzać. Tłuszcz pociekł mu po brodzie, ale Amadeusz pierwszy raz w życiu nie zrobił się głodny.

– Tak.

– Ej no, kelnerka! – Machnął ręką na biedną, zapracowaną, chudą kobietę, która próbowała utrzymać kilka talerzy na tacy na raz. – Cho no tutaj, do mego kolegi, który chce szamnąć... Co ty w ogóle chcesz szamnąć? – Spojrzał na Wagnera.

– Kartacze.

– Cztery kartacze na raz. Ale ruchy, ruchy, laska, nie mamy całego dnia! – Kobięcina kiwnęła głową i powoli poszła za ladę. – No, chłopie... smerfów w to nie mieszamy, nie?

– Co? – Chwila minęła, zanim Amadeusz zorientował się, o co chodziło. – Nie.

– Ja wiedziałem, że ty jesteś chłop na schwał i że tępota cię nie przerosła – zarechotał.

– Muszę cię o coś zapytać – stwierdził Wagner, zaplatając i rozplatając palce.

– To pytaj. – Kość kurczaka trafiła na talerz, a Krystian zabrał się za frytki.

– Co robisz nocami?

– Ja? Oprócz oczywistego? – Poklepał go po kolanie. Na dzinsach Amadeusza zostały brudne ślady po tłuszczu. Nie pójdzie tak do Hadesa, który w tym momencie odsypiał swoje podróże i odzyskiwał siły w lesie. Będzie musiał się przebrać.

– Wychodzisz w nocy – stwierdził oskarżycielsko.

– No wychodzę. – Krystian wsunął frytkę do ust i popił ją piwem.

– Gdzie?

– Na panienki, a gdzie indziej? – Kelnerka przyniosła cztery kartacze, które postawiła przed Amadeuszem. Podgrzała je w mikrofalówce albo dała mu porcję któregoś z innych gości, żeby tylko wydać je szybciej. – Jedz, stary, bo marnie wyglądasz.

– I od tego masz zadrapania na brzuchu?

Odkroił kawałek kartacza. Tak, jego teza była prawidłowa. Kelnerka przyniosła mu dwie porcje, które zamówił ktoś jakiś czas temu i których ktoś nie dostanie, bo otrzymał je on.

– Oj, stary, gdybyś ty widział... Jak chcesz, to mogę ci polecić co nieco. Wszystko, co tylko chcesz, stare, młode, rude, nieśmiałe.... Mają wszystko.

– A gdzie byłeś w dzień przed Bożym Ciałem?

– Pewnie na panienkach, a gdzie indziej?

– Codziennie chodzisz? – zapytał Wagner.

– No pewnie, przecież muszę dbać o kondycję, a biegać mi się nie chce.

Kartacze były dobre, ale nie tak dobre jak te mamusi. Może jutro zostaną jakieś z festiwalu? Nie, skup się. Żadnych myśli o jedzeniu!

– Widziałeś kogoś wtedy? Kogoś, kto nie powinien być koło kościoła?

– Ja nie chodzę koło kościoła. Autem jeżdżę do Olszyny, tam jest najlepszy burdel w podlaskim. – Wzruszył ramionami i beknął. – Aż mi się znowu chcica odezwała, jak o tym pomyślałem. Sielajka daje mi jeszcze zniżki... – zaczął, ale przerwał, widząc minę Amadeusza.

– Więc nikogo nie widziałeś? – Ciepły kartacz nie jest zły. Trochę tłusty, ale żołądek był zadowolony, bo nie burczał.

– Nie wiem. Ktoś tam nocą gdzieś biegł, ale nie zwróciłem uwagi.

– Gdzie biegł? – Widelec zamarł w drodze do ust.

– Drogą. – Krystian patrzył na niego i świetnie się bawił, łapiąc go za słówka.

– A w którą stronę biegł?

– Mijał szkołę, w stronę pegieeru Gawrych Rudy.

– Czyli to był ktoś z tej biedniejszej dzielnicy... – Wagner myślał na głos.

– Albo wbiegał do lasu. – Krystian wzruszył ramionami. – Tam się wszystko krzyżuje.

– Ta sprawa jest strasznie pogmatwana – westchnął Amadeusz po chwili.

– Jaka sprawa? – Dawny kolega wypił kolejny łyk piwa.

– Śmierć Francy.

– No i cholera nie żyje. Trzeba to świętować! Chcesz piwka?

– Nie, dzięki – odmówił flecista. Starczy mu alkoholu na jakiś czas. – Wszystko jest połączone, ale z drugiej strony też nic nie jest połączone – pożalił się.

– Stary, gadasz jak mój bachor. Żonka kupiła mu ten... no... domino i teraz szczeniak rozwala te klocki po całym domu.

– Domino?

– No wiesz, pykasz w jeden, to powalają się drugie.

– Pykasz w jeden... – Jakaś dziwna myśl wpadła mu do głowy. – Czy chodziłeś kiedyś z Antkiem po domach? Robiąc sam wiesz co?

– Hę? A... to. No raz czy dwa. Ja mam łeb jak sklep, więc ja jestem od myślenia, a Antek od robienia. Proste – skwitował to solidnym beknieniem.

– Na samym początku? – dodał fragment, który ominął Krystian.

– Skąd wiedziałeś? Stary, ty też masz łeb jak sklep, chociaż wyglądasz jak fujara.

– Domino – zamyślił się Wagner. – Teraz większość zaczyna mieć sens. – Wsadził pół kartacza do ust, żeby nagrodzić żołądek za wysiłek.

– To kto ją kropnął? Wiesz? – zainteresował się Krystian, dając kelnerce znać, że chce kolejną butelkę piwa.

– Chyba tak. – Wziął się za ostatniego kartacza. Teraz, gdy mózg dostał solidną dawkę kalorii, pracował mu na pełnych obrotach. – Wszystko zaczyna wpadać na swoje miejsce.

– Czyli ja jestem niewinny? Powiesz to Gizeli, nie?

– Gizeli? Czemu... – Wagner Westchnął. Mógł się domyślić. – Rozumiem. Ślady pazurów?

– Gibka kobitka. – Krystian mrugnął do Amadeusza okiem. – Powiesz? Bo ostatnio mnie nie chciała, bo podobno jestem podejrzany.

– Bo jesteś. Mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności co do tego, kto jest temu winny, ale muszę jeszcze pomyśleć.

– Co?

Ostatni kawałek kartacza zniknął w jamie ustnej Wagnera.

– Domino. Dzięki za kolację. – Wstał, położył dwadzieścia złotych na stoliku i zamyślony wyszedł z lokalu.

Nie chciał budzić Hadesa, który, gdy Amadeusz go ostatnio widział, wydawał się ledwo żywy, więc wrócił do domu. Do mamusi. Na paluszkach umył się i poszedł do pokoju. Leżał na łóżku i myślał, gratulując swojemu żołądkowi instynktu, aż zasnął.

Następnego dnia mamusia obudziła go bardzo wcześnie i zawlekła do noszenia garów z jedzeniem do jej samochodu. Zamierzała przewieźć to wszystko na dwa razy, ponieważ więcej by się nie zmieściło.

Pierwotnie festiwal miał się odbyć w Suwałkach, na ryneczku, ale z okazji Bożego Ciała i promowania województwa podlaskiego tym razem wszystko zostało rozstawione w Gawrych Rudzie na placu przed restauracją i kolejką wąskotorową oraz na ulicy, która w połowie została zablokowana. Scena, tym razem większa, stanęła tuż przy kościele, a parking zrobiono przy tartaku. Ktoś – pewnie jakaś biedna, źle opłacana dusza lub stażysta – tak to wszystko zaplanował, że każde stoisko było rozrzucone w przestrzeni bez ładu i składu. Region sejneński stał obok Białegostoku, a Suwałki gdzieś w okolicach tartaku.

Cały festiwal miał się zacząć o dziesiątej. Amadeusz pomógł mamusi rozstawić garnki i zamontować palniki do podgrzania jedzenia. Turyści, którzy przyjadą do Gawrych Rudy, będą mieli kulinarne używanie. Każde stoisko oferowało a to wyroby rękodzielnicze, a to jedzenie własnoręcznie robione przez mieszkańców, w tym pieczywa, ciasta, mięsa i potrawy regionalne. Cała wioska zgodnie podzieliła się robotą i każdy miał coś innego do zaoferowania. Amadeusz przewidywał, że stoisko mamusi będzie najbardziej oblegane, ponieważ jak tylko zaczęli podgrzewać garnki, po ulicy popłynął swojski zapach jedzenia, który był w stanie dotrzeć do każdego głodomora. W oddali zobaczył Gizelę w jej nieodłącznej czerwonej sukience; stała przy stoisku promującym jeziora suwalskie. Zauważył, że wokół tego straganu zebrało się najwięcej panów. Jan Hades chodził od stoiska do stoiska i robił zdjęcia. Od czasu do czasu mijał Amadeusza i puszczął mu oczko.

Czas płynął, a Wagner pomagał mamusi. Podliczał pieniądze, wydawał resztę i błagał Boga na kolanach, żeby goście mu wszystkiego nie zjedli. Na jego nieszczęście turyści, którzy bardzo powoli zjeżdżali się do Gawrych Rudy, wydawali się dostawać jakiegoś rodzaju szaleństwa, kiedy przechodzili obok ich stoiska, i kupowali po kilka sztuk na raz. Po godzinie garnek był w połowie pusty. Tak jak serce Amadeusza. Wagner nie mógł się w takich warunkach skupić na śledztwie, kiedy miał jedzenie na wyciągnięcie ręki. Tak blisko i tak daleko.

Kolejne dwa kartacze zjadły dwie starsze kobiety. Serce Amadeusza przepełniło się żarem.

Rano odebrał jeszcze kilka wiadomości od Sokólków, którzy informowali go radośnie o tym, jak im się jedzie. Że mijają Suchowolę i Augustów, że skończyła im się kielbasa, ale że mają kabanosy, że Młody Sokółka potrafi wybekać alfabet, że Pani Sokółka zrobiła sobie pasemka i że przywożą do Suwałk w prezencie ubitego świniaka.

Na ulicy przewijały się znajome twarze dzieci i dorosłych. Amadeusz widział Banana i Brajana biegających z wiatraczkami, a ze sceny dobiegały dźwięki muzyki wykonywanej przez zespoły z całego województwa podlaskiego. Specjalnie na tę okazję zorganizowano specjalne dowozy autokarami z dworca do Gawrych Rudy, więc ludzie napływali na festiwal falami. Garnki mamusi powoli stawały się puste, ku wielkiemu niezadowoleniu Amadeusza.

Około godziny dwunastej, kiedy to lokalny pijak, którego Amadeusz zwykle widział pod sklepem, zagrał nieudolnie na trąbce hejnał, na scenę wbiegł Staszek. Wyglądał fatalnie. Błady, z rozwianym włosom, ledwo trzymający się na nogach. Chwycił mikrofon i oznajmił głośno:

– Muszę się wypowiedzieć! Muszę! – Wybuchnął płaczem. Za nim pojawił się Banan z wiatraczką w ręce.

– Tatusiu, chodź do domu. Nie czujesz się dobrze – powiedział przerażony.

Amadeusz opuścił stoisko mamusi i udał się w poblizsze sceny. Żołądek podpowiadał mu, że musi tam pójść.

– To byłem ja! To ja ją zabiłem! – wyszlochał w mikrofon. – Aresztujcie mnie, bo ja już dłużej nie dam rady...

– Tatusiu... – Banan zaczął płakać.

Pod sceną zebrał się tłum, w tym dwóch policjantów, którzy zostali oddelegowani do kontroli porządku na festynie. Amadeusz poczuł szturchnięcie i zobaczył Hadesa, który zajął miejsce tuż przy nim.

– I to ja kradłem! Ja kradłem... Złapała mnie w nocy i wystraszyła... Ja nie chciałem... Ja się bałem... Zaczęła mnie szarpać i chciałem się od niej uwolnić... A ona wtedy tak dziwnie upadła i krzyknęła, a ja uciekłem jak tchórz, jak żałosny tchórz, którym jestem. – Padł na kolana.

Na scenę weszli policjanci i zabrali na wpół przytomnego Staszka ze sobą, zostawiając płaczącego Banana z wiatraczką. Na całe szczęście mamusia szybko zareagowała, biorąc chłopca ze sceny i tuląc go z pocieszająco.

– Wiedziałaś? – Hades nie przestawał robić zdjęć.

– Domyślałem się. – Amadeusz popatrzył za mamusią, która szła na zakrystię. – Chodźmy za nią. – Pociągnął reportera i ruszyli w stronę kościoła. Za nimi szli zaabsorbowana Gizela, Antek, Krystian i wikary. W drzwiach przywitał ich ksiądz Karol.

– Co za tagedia. Co za tagedia! – rozpaczał w głos.

Usiedli razem przy stole. Mamusia już karmiła zapłakanego Banana ciastem.

– Jedz, kochanie. Spokojnie. – Gładziła go po główce.

– Ale jazda! – Krystian wybuchnął śmiechem. – Staszek sierota? Przecież on boi się własnego cienia.

– Dokładnie! – zawtórował mu Antek.

– Przestań! – poleciła mu Gizela i uciła.

– Ja nic nie rozumiem. – Wikary chwycił się za głowę. – Kompletnie nic.

– Ty nigdy nic nie rozumiałaś, Wiesiek – westchnęła Gizela.

– Ja też nic nie rozumiem. – Hades nadal robił zdjęcia.

– Jeszcze poczekajmy chwilkę i wszystko wam wyjaśnię – powiedział spokojnie Amadeusz, patrząc po zebranych.

– Rozwiązałaś zagadkę? – Jan wyszczerzył się zadowolony.

– Tak.

Wszystkie pary oczu wpatrywały się w niego zdziwione.

– Wagner? To on myśli? – Krystian prychnął.

– Duszku, złamałaś obietnicę. – Mamusia nie przestawała głaskać Banana, który jednostajnym rytmem wsadzał sobie kawałki ciasta do ust. Po jej minie widział, że szybko mu nie odpuści.

– Amadeuszu... plosiłem cię. Widzisz, do czego doplowadził twój grzech? Modłę się za ciebie, moje dziecko. – Ksiądz wykonał przy nim znak krzyża.

– Jeszcze chwila. – Wagner wydawał się sobie nic nie robić z zebranych.

Nagle drzwi na zakrystię otworzyły się szeroko i wbiegli Mundial, Dzesika i Brajan.

– To wszystko jest nie tak! – Brajan łapał ciężko powietrze.

– Ja wszystko powiem! Ja wszystko wyjaśnię! – Mundial prawie się uwiesił z rozpaczy na księdzu.

– Te, synek wracaj do matki i nam nie przeszkadzaj, bo Wagner nam powie, kto tu morduje we wsi. – Krystian rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Kiedy mu musimy wyjaśnić! – Dzesika ciągnęła ojca za ubranie. – Zabierz mnie na policję!

– Wszystko się wyjaśni, nic się nie martwcie – uspokoił ich Amadeusz. – Wszystko już wiem. I zaraz opowiem. Usiądźcie. – Wskazał im miejsce na ławie przy ścianie.

– To tu zabito Francę? – Mundial poprawił okulary, patrząc na stół i podłogę, na której w miejscu, gdzie znaleziono Francę, widniał nowy dywan.

- Efekt domina. Wiecie, co to jest? – zapytał Wagner.
- Jak przewrócisz jedno drewno, to ono przewróci kolejne i tamto kolejne, aż wywróci się wszystko – powiedział Brajan ku zaskoczeniu swojego ojca.
- Ale mam łebskiego chłopaka. Ty, Krystian, chyba zostanę ojcem przyszłego polityka! – Antek podrapał się po swoich włosach.
- Dokładnie. Tak jak efekt lawiny. Jedna drobna rzecz zapoczątkowuje kolejne. I kolejne. Od tego to wszystko się zaczęło.
- Od czego? – zapytała Gizela.
- Od ciebie – powiedział spokojnie.
- Ja nikogo nie zabiłam! Oszalałeś? – Kobieta popatrzyła na zebranych przerażona, że sobie pomyślała o niej coś, co nie jest prawdą.
- Wszystko się zaczęło, gdy poznałeś swojego pierwszego męża – zaczął Amadeusz.
- A... on. – Gizela przewróciła oczami.
- Nie układało się wam za dobrze. Nie chcę tu wskazywać palcem winnego...
- To była jego wina – powiedziała Kozłowska przekonana o swojej racji.
- To nie jest ważne. Szukałeś pocieszenia. Szukałeś miłości, a ponieważ nie mogłaś jej odnaleźć w małżeństwie, to znalazłaś je gdzie indziej.
- Co? Gdzie niby? – Krystian popatrzył na Gizelę ze złością.
- U wikarego – rzekł cicho Amadeusz, patrząc na Wiesława.
- Co? U tego brzydala? Gizelka, ty chyba masz siano zamiast mózgu – wyśmiał ją Antek.
- Tak było za pierwszym razem i za drugim razem, kiedy ponownie wyszłaś za mąż. Owocem twojej pasji z wikarym są Kazio i Zdzisio.
- Boże, Amadeusz, weź się uspokój i przestań kłamać. – Gizela zaczerwieniła się i zadarła nos.
- Przepraszam, ojczu. Jestem słaby. – Wiesław padł na kolana przed Karolem. – Jestem tak słaby...
- Nic nie szkodzi, dziecko. Bóg jest miłosierny i wybacza wszystkim, którzy żałują. Tak miało być. Miałeś zostać ojcem, miałeś zasmakować zakazanego owocu...
- Serio? Z nim? – Hades spojrział na Gizelę ubraną w czerwoną sukienkę i kompletne jej przeciwieństwo: brzydkiego, rudego Wiesława. – To król Karol kupił korale koloru...
- Ktoś ją kiedyś zobaczył, jak wchodziła na plebanie. A za nią mężczyznę w sutannie. I dopowiedział sobie Karola, bo Wiesław... Wygląda, jak wygląda. Nikt nie obstawiałby Wiesława.
- Miłość nie wybiera – odezwała się cicho mamusia w ramach solidarności kobiecej.
- Z biegiem lat podjęłaś decyzję, że prawdziwy ojciec tych dzieci powinien płacić alimenty. Poszłaś więc do Wiesława, mówiąc mu o obowiązkach, i przekonałaś go do oddawania ci co miesiąc dużej części jego pensji, ale to nie wystarczało.

– Boże, weź tu utrzymaj dwójkę dzieciaków i matkę za alimenty i grosze. Nie da się – prychnęła niezadowolona, przykrywając ręką naszywkę z napisem „Dior” na torebce.

– Nie wymawiaj imienia jego nadalemno – zwrócił jej uwagę Karol.

– Kiedy to nie wystarczało, a ty chciałaś coraz więcej i więcej, zdesperowany Wiesław, bojąc się, że straci pracę, jak się wszyscy dowiedzą, zaczął podkraść pieniądze z datków.

– Drobne kwoty. Wybacz mi, ojczy. – Wikary zaczął pociągać nosem.

– Jest ci wybaczone. – Karol serdecznie uściśkał Wiesława.

– Ksiądz nie zgłaszał tego policji, mimo że przez osiem miesięcy suma urosła do prawie dziewięciu tysięcy sześciuset złotych.

– Nie, tyle na pewno nie było – powiedziała Gizela.

– Mogło być. Wybaczcie mi. – Wiesław znowu padł na kolana, a Gizela wywróciła oczami.

– I co, niby przez Gizelę to wszystko? – Antek podrapał się po głowie. – Nie rozumiem, co to ma do rzeczy z Francją.

– Już do tego dochodzę – uspokoił go Amadeusz. – W międzyczasie w wiosce zaczął działać złodziej.

– A nie złodzieje? – poprawił go Hades.

– Ej, a kartacze wczorajsze? Myślałem, że mamy tę sprawę załatwioną – powiedział szybko Krystian do Amadeusza, mrugając do niego porozumiewawczo.

– O czym ty mówisz, Duszku? – zapytała mamusia, natychmiast domagając się odpowiedzi.

– Krystian i Antek zaczęli robić dochodowy biznes nocny – wyjaśnił zgromadzonym Wagner.

– Tak, bardzo dochodowy – potwierdził Antek, za co dostał kuksańca od Krystiana.

– Cicho bądź, ty paplo!

– I podczas jednej z pierwszych takich nocnych wypraw za Krystianem podążył jego syn, Mundial.

– Czy to prawda, smarkaczu? – Krystian spojrzał zdenerwowany na syna.

– Tak. – Mundial kiwnął głową.

– W domu tak ci złoję dupsko pasem, że nie będziesz w stanie chodzić!

– I wpadł na pomysł – przerwał mu Amadeusz. – Jego najlepszy przyjaciel Banan miał problemy finansowe w domu. Więc Mundial postanowił mu zaproponować zabawę w Robin Hooda.

– Zabielenie bogatym i dawanie biednym? – zapytał Karol.

– Prawie. – Banan wytarł buzię z okruszków.

– Chodziliśmy po domach i zbieraliśmy warzywa i owoce. Połowę zostawialiśmy, a połowę braliśmy – dodała Dżesika.

– Jako zapłatę za nasz trud. Ale to dopiero niedawno. Jak było bardzo źle. –

Mundial spojrział ze smutkiem na przyjaciela.

– I do nich dołączyli Brajan i Dżesika – rozwinął wątek Amadeusz.

– Co? – Antek spojrział na swoje dzieci. – Chyba te geny macie po swojej matce, nie po mnie. Dochowałem się dzieci złodziei.

Mamusia spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Więc cała czwórka latała nocą po wsi i zbierała czereśnie, jajka i pomidory? – zapytała.

– Tak – potwierdził Amadeusz.

– Skąd pan wiedział? – zapytał go podejrzliwie Mundial.

– Bo Franca was widziała – powiedział.

– Co? – Gizela zrobiła okrągłe oczy.

– To oni są „ż” i „b”? – Jan Hades nie nadał z notowaniem.

– Tak. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, ale potem domyśliłem się, że chodzi o „ż” – rzygacz, czyli o Mundiala, który kiedyś zwymiotował jej na buty, a „b” oznacza bachora, czyli Banana, który jest... jaki jest.

– Dlaczego zapisała rzygacza niepoprawnie? – zdziwił się Hades.

– Pewnie pisała na szybko. Może nie chciała, żeby ktoś się domyślił... Nie wiem tego dokładnie.

– Dlaczego to robiliście? – zapytała mamusia.

– Pewnie z nudów. Tak ci złożę tyłek paskiem, że... – Krystian już zaczął ściągać pasek.

– Dla pieniędzy. Wszystko to sprzedawali w Suwałkach. Na targu – wyjaśnił Amadeusz.

– Ale jak? – zapytał Hades.

– Chowaliśmy rzeczy w krzakach w lesie, a potem po szkole wieźliśmy je na targ – wydukał Mundial.

– Prawda – potwierdziła Dżesika.

– I nikt nie zauważył? – Gizela nie była w stanie wyjść z zaskoczenia.

– Nie. – Brajan wytarł nos.

– Przypomniałem sobie dodatkowo, jak mi coś Sokółkowie opowiadali o dzieciach, które same ze skrzynkami jeżdżą autobusem. Że niby przynoszą pecha. Wtedy wpadłem na to, co robili z skradzionymi rzeczami i jak je sprzedawali.

– Nieźle... łebski dzieciak. Głowa do interesów po tatusiu. Ale co to ma wspólnego z morderstwem? – Antek poklepał syna po głowie.

– Zaraz do tego dojdę. Zarobione pieniądze wrzucali Staszкови do kieszeni, a część chowali na czarną godzinę.

– To ja wpadłem na ten pomysł i to moja wina. – Mundial wypiął pierś.

– Niestety to nie jest do końca prawda – wyjaśnił Amadeusz.

– Czyli te biedne dzieci w nocy szukały jajek? I to po ciemku? – Mamusia nie przestawała gładzić główki Banana.

– Tak – potwierdził Amadeusz.

– Mogliście, dzieci, przyjść do mnie! Nakarmiłabym was rosółkiem, naleśniczkami, zrobiłabym kanapeczki...

– A co to ma wspólnego z Francą? – zapytał Hades.

– Widziała ich, jak przemykają nocą, i zapisała to sobie, żeby nie zapomnieć.

– I nic z tym nie zrobiła? Dziwne to – stwierdził Krystian.

– Ponieważ Franca angażowała się często w kościele, pewnego dnia podsłuchiwała rozmowę Wiesława z Karolem dotyczącą kradzieży pieniędzy. Usłyszała tylko tę część dotyczącą kradzieży, nie tego, że Wiesław przyznawał się do winy. W tym czasie Staszek, zdesperowany rosnącymi rachunkami, postanowił zabrać część pieniędzy z zakrystii. Wszyscy wiedzieli, że ksiądz wiesza klucze w widocznym miejscu i nigdy nie zamyka drzwi, żeby ludzie mogli wchodzić, gdy są w potrzebie. Nie wiem, jak wpadł na pomysł brania z datków kościelnych, ale zaczął nocą podkraść pieniądze.

– To przeze mnie – powiedział cicho Banan. – Bo mu raz opowiedziałem, że ksiądz w ogóle nie zamyka pieniędzy i ich nie liczy. I że kładzie klucz na ścianie. Wiedzieli o tym wszyscy, co przychodzili pomagać mu przy mszy. Bo dawał nam potem jedzenie – wyjaśnił wszystkim Banan.

– Więc zaczął kraść. Drobne kwoty. A Franca uznała, że to chłopcy kradną z kościoła i postanowiła się na nich zacząć, żeby mieć dowody na wyrzucenie ich ze szkoły.

– A co to ma niby wspólnego ze mną? – zaprotestowała Gizela.

– Daj mu mówić – syknęła na nią mamusia. Amadeusz spojrział na nią z wdzięcznością.

– Więc tamtej nocy Franca poszła na plebanie i schowała się za drzwiami.

– Biedna dusza. – Ksiądz Karol załamał rękę.

– I tu przechodzimy do Bożego Ciała. Przypominam: jest noc. Około trzeciej nad ranem. Gizela jest w łóżku z Wiesławem... – Amadeusz dostał skurczów na samą myśl.

– Paskudnie, Gizela. – Mamusia zatkała uszy Bananowi.

– Krystian jest w burdelu – kontynuował Wagner.

– O mój Boże! – prychnęła mamusia, a Mundial westchnął zawstydzony.

– Dzięki, Wagner. – Krystian poprawił swoje włosy.

– Od zawsze wiedziałem, że mój ojciec to stary zbok. – Mundial pokręcił głową.

– Ksiądz Karol był na ostatnim namaszczeniu, Antek okradał jakiś dom...

– Nie kradłem, brałem, co mi się należy... – zaprotestował kolega.

– Ale historia. – Hades notował jak szalony.

– I przechodzimy do kulminacji. Franca zaczyna się na chłopców, myśląc, że ich złapie, a tu przez drzwi wchodzi Staszek. Nauczycielka poznała go od razu, bo pamiętała wszystkich swoich uczniów. Była wściekła, że nie wyrzuci ze szkoły chłopców, których nienawidziła. Zaczęli się przepychać i Franca niefortunnie upadła, uderzając głową o stół. Staszek uciekł przerażony.

– Czyli ją zabił – podsumował Hades.

- To jeszcze nie koniec. Franca dalej żyła – oznajmił wszystkim Amadeusz.
- Naprawdę? – Krystian zrobił okrągłe oczy.
- Skąd to wiesz? – Mundial spojrzał na Wagnera z podziwem.
- Żyła i próbowała wezwać pomoc. I ktoś ją usłyszał.
- Kto? – zapytała mamusia.
- Ktoś ją usłyszał i wszedł z zaciekawiony – kontynuował.
- Kto? – Hades zamarł nad notesem.
- Nie przedłużaj, Duszku, tylko powiedz kto!
- On. – Wskazał palcem.

Wszystkie oczy zwróciły się zaskoczone na księdza.

– Amadeuszu? Cóż ty mówisz? – Karol chwycił się za serce.

– Cały czas myślałem o tym zdjęciu, o tym, co zostawiła po sobie Franca. Wiadomość przed śmiercią. Kto upada z zaciśniętą pięścią i palcem wskazuje drzwi do kościoła? – Wyciągnął telefon i pokazał wszystkim zdjęcie, które zrobił kilka dni wcześniej. – Nie rozumiałem dlaczego. Ale potem Jan Hades – reporter napuszył się zadowolony – pomógł mi zrozumieć Francę, to, jakim była naprawdę człowiekiem, i rozumiałem.

– Miałem rację, że to ksiądz! Instynkt dziennikarza jeszcze nigdy mnie nie zawiódł! – Hades się uśmiechnął.

– Duszku, co ty mówisz? – Mamusia zdębiała.

– To są tylko moje przypuszczenia, ale czuję w środku, że to prawda. – Wagner chwycił się za brzuch. – Ksiądz wiedział, że ktoś kradnie, ale nikomu nic nie powiedział. Ma dobrą duszę, przyznaję, i wierzy... Zaraz, jak to szło? – zastanowił się. – Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Zwrócił się do Karola:

– Prosiłeś Boga o pomoc w pieniądzach i wierzyłeś, że sam Bóg rozwiąże problem ze złodziejem. Kiedy wracałeś z ostatniego namaszczenia i chciałeś zostawić na zakrystii torbę, a do kasetki odłożyć pieniądze, które dostałeś od rodziny za ostatnie namaszczenie, usłyszałeś krzyk. Zobaczyłeś uciekającego mężczyznę, więc postanowiłeś sprawdzić, co się dzieje. Gdy wszedłeś na zakrystię, twoim oczom ukazał się straszny widok. Otwarta kasetka z pieniędzmi oraz Franca, która powoli umierała na podłodze. Może wyciągnęła do ciebie rękę, może coś wystękała. Ty jednak uznałeś, że taka była wola nieba i że Bóg ją pokarał. A skoro Bóg ją pokarał, to ty nie możesz się tej woli sprzeciwiać. Odszedłeś i zamknąłeś drzwi. Swoją torbę zamiast na zakrystii zostawiłeś na dole na plebanii, dlatego z rana wikary poszedł, żeby ją tam zanieść. Mogłeś pomóc Franczy, ale nie pomogłeś. Jesteś więc tak samo odpowiedzialny jak Staszek.

– Taka była wola Boga, Amadeuszu. – Karol westchnął przeciągle, a mamusia odsunęła się od niego. – I widocznie Pan chce telaz, bym odpokutował za swoje grzechy. Przyznaję, gdy ją zobaczyłem, poczułem... ladość. Nie powinienem. Cieszyłem się, że Bóg mnie słucha i mi odpowiada. Cieszyłem się, że splawiedliwie Bóg się pozbył złego człowieka. Bo to był zły człowiek. Dużo się nasłuchałem podczas spowiedzi – o tym, jak lanila ludzi i słownie, i fizycznie, jak się zachowywała względem niewiniątek... Wiem, że popełniłem błąd. I muszę za to odpokutować – westchnął.

– Co teraz zrobisz? Ja nie dam zamknąć ojca! – Wikary wstał z klęczek, na których przebywał przez ten cały czas. – Zznam, że był ze mną! Że ja to zrobiłem! Będę kłamał i zwodził, ale nie dam go zamknąć!

– Nic nie zrobię, bo nie mam na to dowodów. Staszek się przyznał. Reszta należy do księdza. Czy sam się zgłosi i złagodzi wyrok Staszka, czy też spędzi resztę życia z wyrzutami sumienia.

– Duszku... – Mamusia wstała i podeszła do syna, po czym go mocno uściskała. – Dzisiaj zrobię ci kartacze i cokolwiek sobie tylko zapragniesz. Obiecuję. Jesteś wspaniałym człowiekiem. Jak można było odkryć takie rzeczy? Nie mogę wyjść z podziwu. To mój synek na to wpadł! Mój! Mój Duszek! – Rozejrzała się po zebranych.

– Ja też nie mogę wyjść z podziwu. – Gizela przysunęła się w stronę Amadeusza, ale została natychmiast zatrzymana przez Krystiana.

– Ksiądz zabił! Zupełnie jak w książkach! – Zachwycony Mundial poprawił okulary na nosie.

– Czy to znaczy, że tata będzie wolny? – zapytał Banan z płaczącą miną.

– Nie do końca, kochanie – powiedziała mamusia, nadal tuląc Amadeusza.

– Złobię to, co Bóg uzna za stosowne – ogłosił ksiądz Karol dobitnie wszystkim zebranych, spojrzał na krzyż, przeżegnał się i wyszedł z plebanii.

– Jakie to głupie. I jakie proste. – Hades pokręcił głową. – Ludzie giną przez takie głupoty.

– Ludzie giną z różnych powodów – westchnął Amadeusz.

– Co teraz będzie? – zapytała Dzesika.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. – Żołądek zaburczał zadowolony. Kolejna zagadka została rozwiązana.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Wagnera – a tak naprawdę radości – nie udało mu się spotkać z Sokólkami i zostać zeswatany z muzyczką. Mamusia zgodnie z obietnicą zrobiła mu kartacze wielkości melona, którymi zajadał się przez resztę dnia. Festiwal okazał się sukcesem, Hades napisał artykuł i wyjechał szybko do Sopotu, obiecując Amadeuszowi, że kiedyś się jeszcze spotkają. A mamusia została królową stoiska w Gawrych Rudzie – sprzedawszy wszystko, co przygotowała.

– Co za historia – powiedziała na koniec dnia, kiedy podjadali sękacza.

– Tak.

– Synku, jestem z ciebie taka dumna... Wiem, że mówiłam, co mówiłam, ale zrobiłeś na mnie ogromne wrażenie. Bardzo ogromne. – W kieszeni Amadeusza zapiszczał telefon. Wiadomość od rodziny Sokólków. – Kto to?

– Ludzie, których poznałem w pociągu. Nic ważnego.

– Nic ważnego? Nic ważnego? Miałeś się z nimi spotkać?

– Tak.

– Nie tak cię wychowałam, Amadeuszu. Nie wychowałam cię na tchórza!

– Ale mamusiu...
– Zaproś ich tutaj natychmiast! Jedzenia u nas w bród.
– Ale mamusiu...
– Nie ale mamusiuj mi.
– Oni chcą mnie zeswatać! – pożalił się.
– A ładna ta dziewczyna, z którą chcą cię poznać? Gospodarna? – zainteresowała się mamusia.
– Nie wiem – westchnął zrezygnowany. – Dlaczego ich chcesz zaprosić, a Hadesa nie chciałaś?
– Bo on jest obcy, nie z Podlasia. Ja witam tylko Podlasian – powiedziała, wyciągając z lodówki farsz na pierogi.
– A ona jest z Warszawy – zaprotestował.
– Ale rodzina z Podlasia, to się liczy.
– Niech będzie... A pierożki będą? – Oczy zaśniły mu radośnie. Czuł się spełniony, ale jednocześnie pusty. Wszystkie zagadki zostały rozwiązane i nie miał co robić.
– Tak, będą.
– Ale nie dawaj im, bo dla mnie nie starczy.
– Nie bądź taki pazerny, Duszku.
– Kiedy...
– Powiedziałam: nie kłóć się ze mną! Natychmiast ich zapraszaj!
Więc Amadeusz, chcąc czy nie chcąc, musiał do nich napisać i grzecznie przesłać swój adres.

Mamusia ucieszyła się na widok ubitego świniaka i od razu oznajmiła swojemu Duszkowi, że zrobi mu i gulasze, i bitki. Pan Sokółka wprawnym okiem otaksował dom i stwierdził:

– Podoba mi się. Żonka, może się tu przeprowadzimy? Do Giedrych Budy?

W odpowiedzi usłyszał jęki Młodych Sokółków, którzy ani mieli w głowie opuszczanie swoich kolegów i koleżanek.

– Mój mąż to taki wielki zgrywus. Nie zwracajcie na niego uwagi – powiedziała Pani Sokółka, śmiejąc się, i z wdzięcznością wzięła kawałek sernika z talerza, całkowicie ignorując morderczy wzrok Amadeusza.

Po drugiej stronie stołu siedziała młoda kobieta, którą przedstawiono mu jako kuzynkę Pani Sokółki. Słynna warszawska muzyczka. Amadeuszowi przypominała stracha na wróble. Każdy jej włos sterczał w inną stronę, na nosie miała czerwone okulary, a na sobie sukienkę w kwiaty. Była tak chuda, że prawie zahaczała o anoreksję.

– Klara gra na flecie – oznajmiła radośnie Pani Sokółka.

– Flecte poprzecznym – poprawiła ją rzeczona Klara.

– Ja też – powiedział Amadeusz i wymienił z nią spojrzenie pełne męki. Ani on, ani ona nie chcieli tu być i nie chcieli tu siedzieć.

– A właśnie, kochana pani – Pani Sokółka zwróciła się do mamusi – czy zna pani może niejaką Madame Butterfly? Czytam jej bloga od kilku lat i marzę, by spotkać się z nią w cztery oczy... Wiem, że stąd pochodzi!

– Madame Butterfly? – Mamusia spiekła raczka. – To ja.

– Mamusia? – Amadeusz spojrzał na nią zaskoczony.

– Pani? – Pan Sokółka sięgnął po kolejny kawałek sernika.

– Musiałam coś robić. – Wzruszyła ramionami. – Duszek chodził do szkoły, a ja chciałam z kimś pogadać, podzielić się przepisami. Kowalikowa zaproponowała pisanie bloga, więc zaczęłam pisać. Nawet nie wiedziałam, że ktoś go czyta. – Napiała się herbaty, cała czerwona.

– Mamusia? Ty umiesz obsługiwać komputer? – Flecista nadal nie był w stanie wyjść z szoku.

– A co ja, głupia jestem, że komputra otworzyć nie umiem? Klikam, a Zdzisio od Gizelki pomaga mi zdjęcia wrzucać...

– Pani chyba żartuje! U nas wszyscy to czytają! Wszyscy podziwiają! Nie czyta pani komentarzy pod wpisami?

– Co to takiego jest? – Mamusia się skrzywiła.

– Cała Polska jest pod wrażeniem pani wiedzy! Nie wierzę, że siedzę tu z panią i że pani mnie słucha... że chce pani ze mną rozmawiać! Jestem taka podekscytowana! Czy może mi pani zdradzić sekret, dlaczego pani ciasto do cepelinów się nie klei?

– Proste...

Od wysłuchania godzinnej tyrady mamusi na temat jedzenia Amadeusza uratował telefon. Przeprosił wszystkich grzecznie, wstał i wyszedł z domu. Ku jego zdziwieniu dzwoniła Karolina – flecistka z Wrocławia.

– Hej, Wagner! – usłyszał jej piskliwy głos. – Jak tam życie leci?

– Dobrze – powiedział zaskoczony. Dlaczego do niego dzwoniła?

– Mam dla ciebie wiadomość od Anny Serce. – Już wiedział dlaczego. – A najlepiej będzie, jak ona ci wszystko opowie.

– Ale...

– Halo? – Usłyszał w słuchawce głos wicedyrektor do spraw finansów. – Czemu pana nie ma w pracy?! – Dlaczego ta kobieta na niego krzyczała? I to w niedzielę?

– Słucham?

W ogródku kura rzuciła się na jabłko.

– Trwają próby, nie mamy flecistów, a pan robi sobie wakacje! Jeśli jutro tu pana nie zobaczę, to zostanie pan zwolniony, rozumiemy się?!

– Ale kiedy dostałem bezpłatny urlop...

– Który został cofnięty w piątek! Nie dostał pan maila?!

– Nie, nic nie dostałem... – Zastanowił się, ile razy wchodził na pocztę,

i przypomniał sobie, że nie było żadnego maila. – Ja chyba nie podawałem filharmonii mojego adresu...

– Czy myśli pan, że ja mam czas zajmować się takimi bzdurami?! Mail poszedł i ma się pan tu jutro stawić! Boże, co za debil – westchnęła i podała słuchawkę Karolinie.

– No, to już wiesz. Dyro cofnął ci urlop w piątek i potrzebujemy cię, bo nikt za taką kwotę nie będzie tu grał. – Roześmiała się. – I nie uwierzysz, co będziemy robić! – Zniżyła głos zaaferowana. – Ktoś atakuje muzyków z opery i część z nich jest w szpitalu, więc my wchodzimy na zastępstwo! Premiera za tydzień. Bierz dupę w troki i zasuвай tu do nas.

– Co?

– Już wyobrażam sobie twoją głupawą minę. Zapierdzielaj tu do nas, bo za tydzień gramy *Wesele Figara*. I potrzebujemy fajfusów – roześmiała się i rozłączyła.

Amadeusz stał przez chwilę oszołomiony, zanim zdecydował się zrobić krok z powrotem do domu. W salonie mamusia rozkręciła się, opowiadając o swoich licznych kulinarnych przygodach z masłem, a Pani Sokółka słuchała z wielką uwagą, notując coś od czasu do czasu.

– Wracam do Wrocławia – powiedział cicho.

Mamusia przerwała rozmowę i spojrzała na syna.

– Co?

– Wracam do Wrocławia – powtórzył spokojnie. – Muszę jutro tam być na próbie.

– Oszalałeś, chłopcze?

– Wzywają mnie do pracy – westchnął i poszedł do swojego pokoju się spakować. Nie miał tego wiele, tylko walizkę.

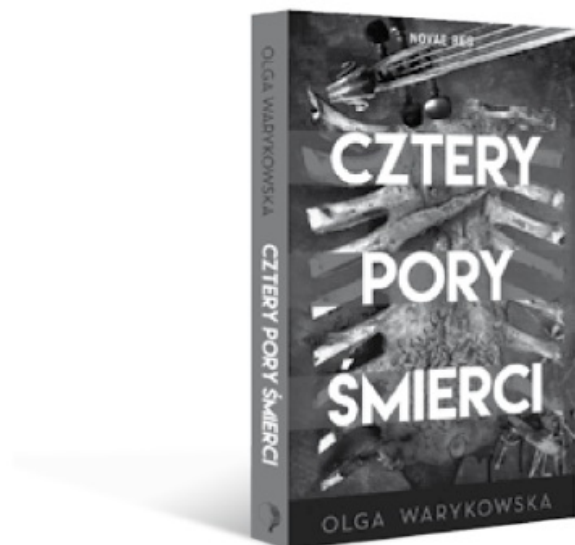
– A praca? A dzieci? A ja? – Mamusia ledwo powstrzymywała łzy, wchodząc za nim do pokoju.

– Zadzwońię. Obiecuję.

Sprawdził w komórce godzinę odjazdu pociągu i zamówił taksówkę. Nie chciał, żeby mamusia go odprowadzała. Nie byłby wtedy w stanie wyjechać. Dobrze się stało, że byli Sokółkowie, dzięki którym mamusia nie mogła z nim jechać, ponieważ jej obowiązkiem było zajęcie się gośćmi. Krótco się z nimi pożegnał i szybko wyszedł, zostawiając za sobą swój dom i mamusię, która pewnie szybko mu nie wybaczy.

Kiedy wsiadał do pociągu, czuł, że coś się skończyło. I że czeka na niego kolejna wielka przygoda we Wrocławiu. Nie wiedział tylko, czy jest na nią gotowy.

**Nakładem wydawnictwa
Novae Res ukazało się również:**



MÓWI SIĘ, ŻE MUZYKA ŁAGODZI OBYCZAJE. NIC BARDZIEJ MYLNEGO...

Podczas premierowego koncertu „Czterech Pór Roku” Antonio Vivaldiego w Filharmonii Wrocławskiej główny skrzypek - solista pada martwy na ziemię. Policyjne śledztwo nie trwa długo i kończy się osadzeniem w areszcie niewinnej osoby. Wtedy do akcji wkracza on – Amadeusz Wagner, nieśmiały, otyły flecista, który myśli przede wszystkim za pomocą swojego żołądka. Z zaskoczeniem stwierdza, że w roli detektywa czuje się jak ryba w wodzie. Już wkrótce uda mu się odnaleźć trop prowadzący do rozwikłania zagadkowej śmierci skrzypka, a niedostępny i mroczny świat artystycznych intryg stanie przed nim otworem...

Oto zaskakujący kryminał kulinarno-muzyczny, który przyprawi was o dreszcze i... burczenie w brzuchu!

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Karta redakcyjna](#)

Eine kleine trup
Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-8147-871-7

© Olga Warykowska i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Magdalena Wołoszyn
Korekta: Zuzanna Hejniak
Okładka: Paulina Radomska-Skierkowska

Wszystkie postacie i zdarzenia są fikcyjne, wszelkie podobieństwa do osób czy zdarzeń są przypadkowe i nie zamierzone.



NOVAE RES

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 725 19 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek